

Part Code  
ST1316

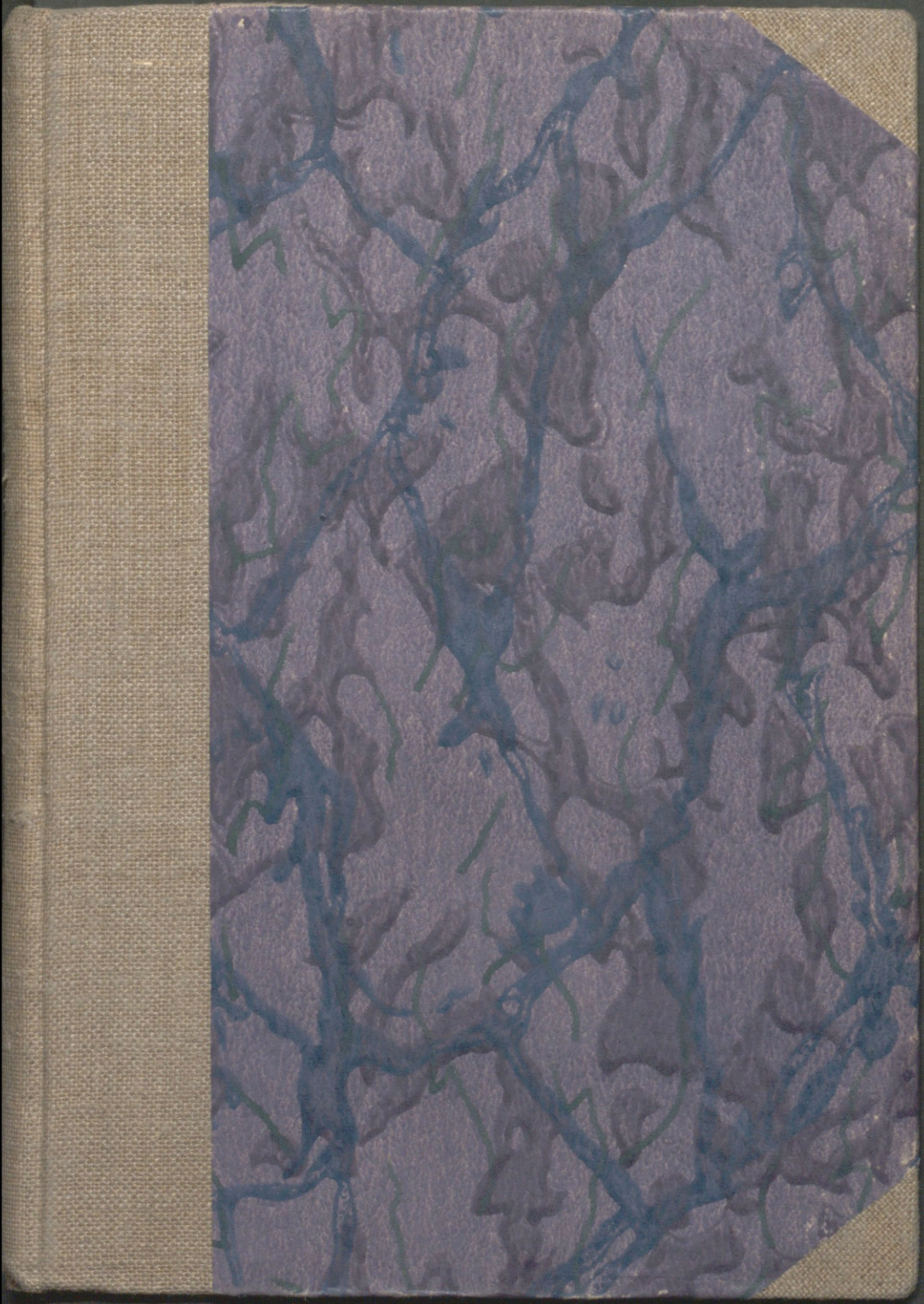
DANES  
-PICTA  
.COM



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



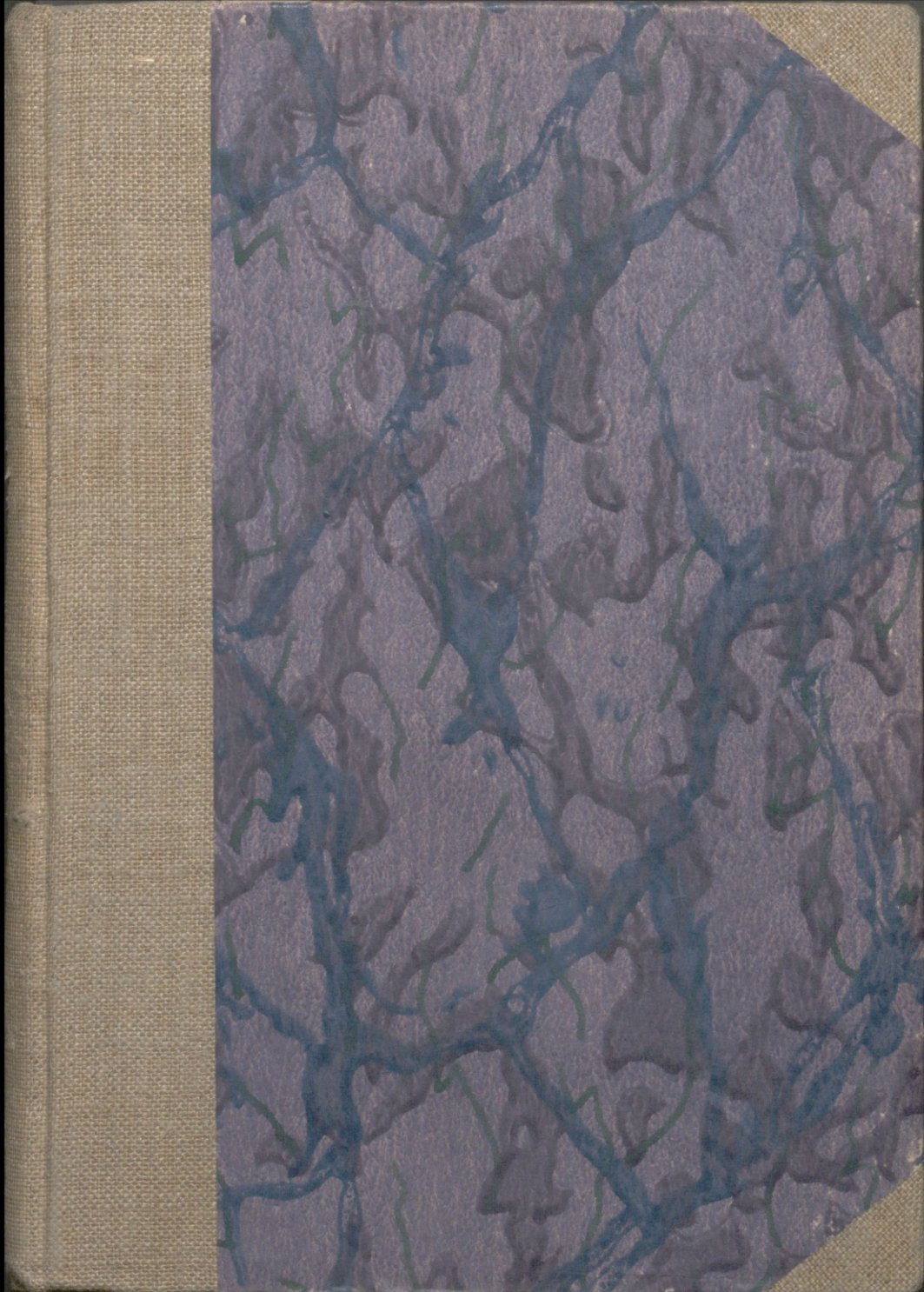
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES  
-PICTA  
.COM



JÓZEF PATELSKI

**WSPOMNIENIA WOJSKOWE**  
**z lat 1823—1831**

Wydał i przypisami opatrzył

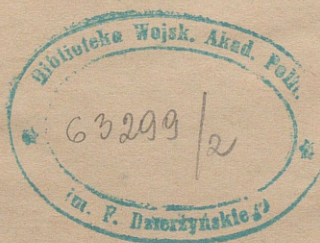
B. G.

KSIĘGARNIA STOWARZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO  
WILNO 1921  
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW.

# BIBLIOTEKA WILEŃSKA

---

---







**Józef Patelski.**

(Według minjatury ze zbiorów d-ra Adolfa Sternschussa  
we Lwowie).

## OD WYDAWCY.

---

Do szczegółów z życia Józefa Patelskiego, podanych przez niego samego w tej książce, niewiele dodać możemy. Urodzony w Galicji w r. 1805, podług własnego świadectwa, a w r. 1804 podług księgi Rodowodowej pułku 1-go strzelców pieszych, w którym rozpoczął swój zawód wojskowy, syn Pawła i Konstancji z Czyżowskich, stanu szlacheckiego, spędził lata dziecięce w Porębie-Żegocie, majątku hr. Szembeków, z którymi przez siostrę był spowinowacony; nauki początkowe pobierał w klasztorze O.O. Bernardynów w Alwernji, a następnie w gimnazjum św. Anny w Krakowie. Niedostateczne postępy w naukach, zbyt żywe usposobienie, nakoniec trudne położenie majątkowe rodziców zmusiły młodego Patelskiego do wystąpienia z trzeciej klasy gimnazjalnej.

Powodowany wrodzonym usposobieniem do służby wojskowej, udał się po pewnym czasie do Warszawy i tu wstąpił jako ochotnik do pułku, dowodzonego przez Piotra Szembeka, będąc zapisanym do księgi Rodowodowej tegoż pułku d. 8 stycznia 1823 roku, jako żołnierz, pod nr. 4297 ze wzmianką, że umie czytać i pisać. Pilność i znajomość służby sprawiły, że już po roku, w dniu 10-tym stycznia 1824 postąpił na podoficera do kompanji karabinjerskiej, czyli wyborczej pułku, a w dniu 10-tym lutego tegoż roku na sierżanta starszego, t. j. najstarszego podo-

ficera kompanji. W r. 1826 wstąpił do słynnej szkoły podchorążych pieszych, w której propaganda rewolucyjna znalazła tak dobitny oddźwięk. Jak sam przyznaje, pominięcie w awansie rzuciło go w objęcie spiskowców. Wraz z całą szkołą wziął czynny udział w wypadkach 29 listopada 1830 r.; w d. 9-tym grudnia tegoż roku, jako 26-cioletni młodzieniec, przywdział szlify podporucznika. Pozostając ciągle w pułku 1-szym strzelców pieszych, walczył w bitwach grochowskich d. 19 i 25 lutego, pod Liwem d. 14 kwietnia, Tykocinem d. 21 maja, odznaczył się zwłaszcza pod Ostrołęką d. 26 t. m.; d. 13 czerwca postąpił na porucznika, d. 14 lipca walczył pod Mińskiem; w początkach września objął dowództwo kompanji i na jej czele walczył w dniach 6 i 7 września w obronie Warszawy; d. 17 września został ozdobiony krzyżem złotym Zasługi wojskowej Nr 3083 i przedstawiony na stopień kapitana. Po ukończonej wojnie powrócił w rodzinne strony, w Krakowskie. Sądząc ze wzmianki w Pamiętniku, brał udział w wypadkach 1846 r.; w r. 1880 był jeszcze przy życiu. Dzielny żołnierz, wyborczy strzelec, tak pisze Patelski o swojej powierzchowności: „Natura nie była dla mnie macochą i nie poskąpiła w urodzie, ani postawie. W robieniu bronią i w ruchach wojskowych mogłem iść z każdym podoficerem naszego pułku o lepsze“. Ten sprężysty i urodziwy karabinjer, wybierany z pułku na posyłki do przybywającego do Warszawy monarchy, podług księgi Rodowodowej pułku, mierzył 2 arszyny, 6 wierszków i cztery ósmych, czyli blisko 1,71 ctm.; był twarzy okrągłej, oczu szarych, nosa małego, włosów blond i czoła wysokiego.

Pamiętnik, pisany pod wrażeniem chwili, bez źródeł pomocniczych, nie może rywalizować z historją w ścisłym przedstawieniu zdarzeń i wszechstronnem ich oświetleniu, tem nie mniej bywa niekiedy nieocenionem źródłem, jako charakterystyka ówczesnych ludzi i wypadków i jako tło ogólne czasu. Zalety te posiada w wielkiej mierze Pamiętnik Patelskiego i pod tym względem zaliczyć go

można do zasługujących na osobliwą uwagę. Oprócz zalet stylu jasnego, zwięzłego, malowniczego i pełnego humoru, wspomnienia noszą cechy rzadkiej w literaturze pamiętnikarskiej prawdomówności i ścisłości w podawaniu zdarzeń, zwłaszcza w drugiej swej części, t. j. w opowiadaniu o wybuchu powstania i samej wojnie. Podania autora są naogół zgodne ze źródłami urzędowymi, wszelkie zaś napotykanne, zresztą nieliczne, niedokładności, nieuniknione w pracy, pisanej z pamięci, staraliśmy się sprostować w przypiskach. Autor unika przytem tak częstego błędu pamiętnikarzy, opisujących wypadki, których nie byli świadkami, oraz starających się podnosić nadmiernie swoje zasługi, przyznaje się do swego stanowiska podrzędnego i win popełnionych, opowiada naprz., że skrucha o swem nazbyt surowem postępowaniu z żołnierzami z czasów swego feldweblostwa w lejtkompanji, surowości, wynikającej z młodego wieku autora, któremu zbyt wczesnie i nagle powierzono władzę i który w swej ambicji marzył wciąż o nowych odznaczeniach i awansach.

Czujemy się tu w obowiązku osłabić nieco podania autora o przesadnej, bezwzględnej, bezlitosnej surowości, jaką przełożeni stosowali rzekomo względem swych podwładnych w wojsku polskiem. Pojedyncze fakty Patelski zbyt uogólnia. Istotnie, przykład szedł z góry, i zbyt wielu podwładnych wszelkiego stopnia poszło w ślady wodza naczelnego. Lecz te wypadki nadmiernej surowości, tak nie licujące z duchem i charakterem narodowym, i właśnie dlatego, olbrzymiały w opisach; pomijano zaś przykłady przeciwne, jako zbyt naturalne i powszechne. Po wybuchu powstania, gdy pękły więzy karności zewnętrznej, wiążące mechanicznie hierarchje wojskowe, okazało się, że ścisły związek między żołnierzami i przełożonymi nie opierał się jedynie na tych podstawach. Niekarność uwydatniła się raczej wśród generalicji i wyższych wojskowych.

Patelski służył w walecznym, lecz mniej szczęśli-

wym pułku 1-ym strzelców pieszych, a przytem w bataljonie jego 3-cim, który dzięki złemu, graniczącemu ze zdradą, dowództwu w pierwszym okresie wojny poniósł klęskę d. 25-go lutego pod Grochowem, a i później nie odzyskał już zupełnego zaufania w sobie, jak to bywa z oddziałem w podobnych okolicznościach; stąd wynika, że w opisie autora działania wojenne, ograniczone do jednego bataljonu, nie są nacechowane tą dzielnością, dochodzącą nieraz do zuchwalstwa, jaka znamionowała większą część pułków polskich owego czasu.

Obecne wydanie Wspomnień Patelskiego jest powtórzeniem poprawionem i opatrzonem w przypiski wydania krakowskiego z r. 1880 p. n. „Opowiadania Kapitana Patelskiego powtórzył J. L.“, str. 256.

---

Jakże drogiemi są wspomnienia młodości! któż, doczekawszy się poważniejszego wieku, nie odżywiał je w pamięci, nie pielęgnował, nie chlubił się nimi? Starczyły one niejednemu za nagrodę całego życia, za osłodę lat sędziwych, a częstokroć za jedyny zasób wiedzy i rozmowy.

I nie dziw; umysł, skołatany i strudzony długoletnim mechanizmem codziennego życia, walką o byt i troską o przyszłość, nie przyjmuje już tak łatwo wrażeń świata zewnętrznego; a jedynie te, które wbiły się weń siłą młodzieńczego ducha, a zaskoczone rozwojem potęgującej się pamięci, gdzieś głęboko zaciśnięte zostały, odzywają się ciągle z całym bogactwem szczegółów i świeżością kolorów.

Jest przytem powszechną i wrodzoną skłonnością człowieka do porównywania terażniejszości z przeszłością z pomyślnym wynikiem dla tej ostatniej. Drobne przeciwności, towarzyszące wypadkom codziennego życia, zdarzone w wiosnie młodości, jako pobieżnie i lekko działające na umysł, już dawno zapomniane zostały. Przeciwnie te, które zabiegają nam drogę dojrzałego żywota, występują z całą grozą możliwych następstw, niepokoją i rozstrajają poważnie myślący a ostrożny umysł. Te przeciwności utrzymują go w ciągłym naprężeniu, a dla pociechy i wytchnienia zwracają pomimo woli ku przeszłości.

Wspomnienia przeszłości, nawiązywane do złotych chwil wieku młodocianego, mają jednak tylko osobistą

wartość, nie zajmują drugich, a wygłaszane przesadnie, w niewłaściwym miejscu lub w nieodpowiedniej chwili, grzeszą nawet przeciwko zasadom przyzwoitości. Są one własnością prywatną w najrozleglejszym znaczeniu tego słowa, a tem samem przedmiotem rozmowy w najściślejszym kółku rodziny.

Z pod tego powszechnego prawidła wyjęte być powinny wspomnienia, odnoszące się do zdarzeń krajowych, które choć w drobiazgowych szczegółach opisać lub objaśnić są zdolne.

Dzieje naszej przeszłości zestawić i oświecić mogą jedynie wiarogodne pamiętniki i opowiadania osób współczesnych, gdyż nie było w zwyczaju, ani rzeczą dozwoloną rozpowszechnienie drobnych szczegółów życia publicznego przez dzienniki. Bez poznania zaś szczegółów historyk nie może wyrobić sobie bezstronnego sądu ani o właściwym przebiegu wydarzeń dziejowych, ani o charakterze ludzi, wśród nich działających.

Wezwany do opowiedzenia przygód mojej 10-cioletniej służby wojskowej i wypadków, których byłem naocznym świadkiem lub uczestnikiem, z chęcią dopełniam wezwania. Ze względów, powyżej przytoczonych, wypuszczam jednakże z moich opowiadań szczegóły, odnoszące się do pierwszych lat mojego życia, wspomnienia rozrywek mojej młodości, jej swawole i pustoty, smutki i uciechy dla mnie nieocenionej wartości, a przytaczam z nich tylko te wyłącznie, które są konieczne dla wytłómaczenia powodów, jakie się złożyły na przyobleczenie mnie w płaszcz żołnierza.

---

## I.

### **Czasy studenckie. Pułkownik Szembek. Przedstawienie w. księciu.**

Światło dzienne ujrzałem w d. 19-ym marca 1805 r. we wsi Włosienicy w obwodzie wadowickim, a lata chłopięce spędziłem w Porębie-Żegocie, włości dziedzicznej hr. Szembeków, podówczas w krakowskim departamencie W. Ks. Warszawskiego położonej.

Nauki początkowe pobierałem od OO. Bernardynów, których klasztor znajdował się w kolonji Alwernji, do dóbr Poręby należącej.

Odwieziony do szkół w Krakowie i umieszczony w bursie Jerozolimskiej, uczęszczałem do gimnazjum św. Anny. Ciągłe nieporozumienia o łacinę z profesorem Orłowskim, nigdy oficerem wojsk francusko-polskich, przedzierzgniętym nagle w żarliwego wyznawcę Selektów i Alwara<sup>1)</sup>, i mój czynny udział w ówczesnych zamieszkach studencko-policyjnych zachwiały moje dobre stosunki z prorektorem gimnazjum Wysockim i utrudniły modus vivendi z tym zrędnym i nudnym człowiekiem. Oprócz tego nieszczęście pożaru, któremu rodzice ulegli, sprowadziwszy ich zubożenie, nie dozwoliło korzystania dalej z nauki szkolnej, do której, prawdę powiedziawszy, i wielkiej ochoty nie miałem.

Epoka ówczesna nie odznaczała się bowiem zamiłowaniem do nauk, nie liczyła zdolnych pedagogów, mło-

dzień do siebie przyciągnąć umiejących, i nie posiadała środków do uprzyjemnienia i ułatwienia nauki. Duch wojenny Napoleona, gdzieś na zamorskich skałach uwięzionego, pomimo klęsk i materialnego zniszczenia kraju, żył jeszcze pomiędzy młodzieżą, zagrzewał jakąś nieokreśloną nadzieją, odwodził od zawodowej nauki i pracy i wiódł bez głębszej myśli w szeregi narodowego wojska. I ja, od dzieciństwa rwąc się do fuzyjki i pałasza, nasłuchawszy się od kolebki opowiadań o napoleońskich wojnach i tryumfach naszej broni, o niczem innym w mych snach dziecinnych nie marzyłem, jak tylko ażeby zostać kiedyś polskim żołnierzem.

Pozbawiony środków utrzymania, zapisany za uchem u kilku profesorów, po ukończonej trzeciej klasie gimnazjalnej, płaćtałem się jakiś czas po Krakowie, to przepisując referaty w sekretarjacie rządzącego senatu, to udzielając lekcji dzieciom jakiegoś stróża przy składzie soli w kościele św. Agnieszki.

Jedno i drugie zajęcie nie było ani korzystne, ani zachęcające... Pierwsze zawdzięczałem p. S., urzędnikowi senatu, u którego mieszkałem, drugie przykrej konieczności, gdyż owa korepetycja w dawnej zakrystji św. Agnieszki przynosiła zaledwie 4 złp. na miesiąc z dodatkiem szklaneczki mleka lub kawy.

Nieprzewidziany wypadek wydalenia p. S. ze służby Rzeczypospolitej z powodu nadużyć przy wydawaniu konsensów na szynki skrzywił nagle moją pozycję w sekretarjacie i kazał myśleć o odwołaniu z zajętego stanowiska przepisywacza.

Wyjazd p. S. do Warszawy, który za pośrednictwem jednego oficera z gwardji i grubej łapówki, wyliczonej gen. Roźnieckemu<sup>2)</sup>, otrzymał posadę przy policji tajnej, zostającej pod jego osobistem kierownictwem, natchnął mnie myślą przesiedlenia się do Warszawy i urzeczywistnienia moich marzeń przez wstąpienie do szeregów wojska polskiego.

Otrzymałszy jakie-takie opatrzenie na drogę, po-

zwolenie i błogosławieństwo rodziców i list polecający od mojego szwagra hr. Józefa Szembeka do brata stryjecznego pułkownika Piotra Szembeka, podówczas w warszawskim garnizonie zostającego, puściłem się w moim 16-tym roku życia w ten świat nieznaną, nieprzejrzaną śmiało i odważnie, jakby niesiony tysiącem żagli nadziei na pełne morze wątpliwych powodzeń i złudnej przyszłości.

Przybywszy do Warszawy w połowie grudnia 1821 roku <sup>3)</sup>, wyszukałem zaraz mieszkanie pułkownika Szembeka <sup>4)</sup>, a dzięki rekomendacji, którą przywozłem z Połębą, zostałem łaskawie przyjęty i przez panią pułkownikową, urodziwą gdańszczankę, z którą jednak po polsku dogadać się nie umiałem, filiżanką kawy uraczony.

Nie tyle dobre przyjęcie, jak wojskowa i sympatyczna postać pułk. Szembeka zaimponowały mi mocno i ujęły za serce.

Szembek nie był wprawdzie z postawy i wzrostu klasycznym rycerzem na wzór Chłopickiego, lecz jednym z tych drobnych, szczupłych, lecz czupurnych ludzi, co umieją otwartością i stanowczością postępowania zawładnąć nawet olbrzymami i wzbudzić w nich posażowanie i miłość wtedy, gdy ich nie głaszczą, lecz karzą. Przytem Szembek, choć dopiero w 33-cim krzyżyku życia się znajdował, a wygolony, jak panienka wyglądał, był już wówczas skończonym bohaterem, okrytym bliznami a uwieńczonym napoleońskim wawrzynem. Jako syn rodziców, osiadłych w zaborze pruskim, Szembek kształcił się w akademii wojskowej w Berlinie, którą z wyszczerzonym ukończył. Fatalny wynik bitwy pod Jeną zaprowadził go z patentem oficera pruskiego wprost do obozu polskiego, a gen. Dąbrowski, organizując hufce narodowe w Poznaniu, mianował go swoim adjutantem. Zaraz też po nominacji, porucznik Szembek wyważył Prusakom bramę forteczną w Tczewie, według tych wszystkich prawideł sztuki wojennej, jakie wykładali profesorowie nad Sprewą, a nadto odznaczył się pod

Gdańskiem, gdzie oprócz twierdzy i serce panny Fryderyki Beck zdobył. W kampanji 1809 r. za męstwo, okazane w obronie Torunia, otrzymał kawalerski krzyż *Virtuti militari* i stopień szefa bataljonu. Pochód do Moskwy w r. 1812 odbył na czele 11-go pułku piechoty, który mu dopomógł do zdobycia oznak Legji honorowej. W r. 1813 bronił odważnie i długo z tym samym pułkiem gniazda swej żony, warownego Gdańska, brocząc krwią przestrelonej ręki i zranionej nogi, po dwakroć mury oblężonego miasta.

Po upadku Napoleona i za powrotem wojsk polskich z Paryża, Szembek, idąc za przykładem wielu innych oficerów, podał się do dymisji, nie chcąc służyć pod w. ks. Konstantym, którego dzikie fantazje i brutalne postępowanie nabrały europejskiego rozgłosu.

Podówczas ajenci angielscy kręcili się po Warszawie i namawiali oficerów polskich do służby azjatyckiej, w krajach kompanji wschodnio-indyjskiej. Szembekowi przyobiecano rangę generała dywizji z płacą tysiąca funtów szterlingów, koszta podróży i pewną odprawę; a punkta przedugodne kontraktu służbowego na lat 12 już nawet umówione i podpisane były.

Koledzy Szembeka, wywiedziawszy się jednak, iż cesarz Aleksander zamierza i prowincje zabrane, jak Litwę, Wołyń i Podole, obdarzyć temi samemi swobodami i tą organizacją, jaką otrzymało Królestwo Polskie, a nawet z Królestwem Polskiem połączyć i numeryczną siłę wojska polskiego podwoić, tyle namowami wpłynęli na niego, iż podanie o dymisję cofnął i układy z Anglikami zerwał.

Szembek miał ustalone imię dobrego organizatora i instruktora wojska. Te przymioty odznaczyły jego pierś później rosyjskimi orderami św. Anny i Włodzimierza i postawiły na czele formującego się w Warszawie bataljonu strzelców pieszych gwardji.

Według sążnistych instrukcji w. księcia, pod względem ubrania, uzbrojenia i wymusztrowania bataljonu wy-



**Pułkownik Piotr Szembek,**  
dowódca pułku 1-go strzelców pieszych.  
(Z obrazu J. Łukaszewicza z r. 1823).



danych, rozpoczął Szembek mozolną naukę z owemi resztkami żołnierzy, co pozostali z krwawych wojen i wieloletniej tułaczki po całej Europie.

Oczywiście te stare wiarusy, wygrzane nad Ebro i Tybrem, a przemrożone nad Berezyną, nie zdołały pod tym samym kątem rozwartym wyrzucać nóg do góry, co młode rekruty, i dlatego, gdy Szembek po kilkumiesięcznej pracy wystąpił ze swoim bataljonem przed w. księciem dla popisu, zekpany od słów ostatnich, wraz z bataljonem wypędzony został z Saskiego placu.

Szembek i żołnierze uczuli się bardzo dotknięci postępkiem w. księcia, który rozjątrzył jeszcze bardziej i tak na niego rozdąsanych dawnych wojskowych, a nie wpłynął pomyślnie na rozwój organizacji nowego wojska.

Gwardyjscy strzelcy uczyli się dalej chodzić po dziedzińcu koszar Radziwiłłowskich, a tymczasem osoby, mające wpływ na w. księcia, w chwilach łagodnego usposobienia, czyniły mu przedstawienia na korzyść bataljonu, tak ciężko na honorze pokrzywdzonego.

W. książę dał się udobruchać, poznał swój błąd i w sześć tygodni po owym nieudanym popisie powołał znowu bataljon Szembeka przed siebie. A że w gniewie nie umiał nad sobą panować i nie przebierał w środkach, więc też naodwrot, wynagradzając wyrządzoną krzywdę, sypał bez rachuby pieniądze, szczerze przeproszał lub chwalił bez miary i końca.

Tej zmiany usposobienia doświadczył i ów bataljon strzelców przy powtórnym przeglądzie. W. książę znalazł go wzorowo wymusztrowanym i bez błędu odzianym; wykrecał nim w prawo i w lewo, a wszystko, jakby za pociągnięciem sznurka, ruszało się bez skrzywienia. Zacierał więc ręce z radości, biegał i wykrzykiwał: „Dobrze, dzieci... bardzo dobrze!..“

Dzieci, ośmielone powodzeniem, odpowiadały: „Rade lepiej...“, wyrzucały nogi coraz wyżej i wprawiły w. księcia w taki stan uniesienia, iż skoczywszy do Szem-

beka, zerwał mu but z lewej nogi, a powtarzając: „Tęgo, Szembek, tęgo...”

Ten wyskok fantazji w księcia w rodzaju tych, jakiej doświadczył i austriacki pułk dragonów z ks. Windischgraetzem na czele, bywał często powodem do złośliwych żartów z Szembeka, z powodu, iż nie miał wówczas skarpetki na nodze. Sam byłem świadkiem, w lat kilkanaście po tem zdarzeniu, żartobliwej pogadanki z pułkownikiem Dobrzańskim<sup>5)</sup>, w ciągu której z przekąsem winszował Szembekowi tak wielkiego zaszczytu.

Szembek, wykrzakawszy po dwakroć swoje ulubione, a w rozmowie zawsze używane, Monu-bodzieju, odparł niecierpliwie:

— A niech go wątroba spali, Monu-bodzieju, z jego karesami, ledwie mi nogi nie urwał. Wyobraź sobie but był palony uniformowy, uszy krótkie kryte, a haczyków do wciągania oczywiście przy sobie nie miałem. Z kobyły złazić i na bębnie siadać nie wypadało, więc się niemało napociłem, nasapałem, nażenowałem, zanim to przekłete bucisko, przy pomocy trębacza wpraktykowałem na nogę.

— To głupstwo, ale hrabia podobno nie miałeś skarpetki na nodze? — śmiejąc się dopowiedział Dobrzański.

— Bajka!.. to wymysł Wąsowicza, miałem przecież, Monu-bodzieju, onuczkę na drodze, — rumieniąc się na twarzy, odparł Szembek.

Uprowadzenie do pułku strzelców gwardji, raz powzięte, choć chwilowo tak pomyślnie zażegnane, spowodowało później w roku 1818<sup>6)</sup> jego zwinięcie, przeistoczenie w 4-ty pułk strzelców pieszych i przeniesienie podpułkown. Szembeka na dowódcę 1-go pułku strzelców pieszych.

W tym charakterze poznałem Piotra Szembeka, który odpowiadając mnie od siebie, wyrzekł na pożegnanie z ojcowską łagodnością: „Dobrze zrobiłeś, Monu-bodzieju, że powziąłeś postanowienie zostania żołnierzem; wesz-

mę cię do mojego pułku i przedstawię w. księciu, jako ochotnika“.

Ucałowałem rękę mojego protektora i spodziewanego dobroczyńcy, a niesiony na skrzydłach młodzieńczej wyobraźni, w myślach moich opuszczałem kwaterę pułkownika już najmniej w randze sztaboficera polskiego.

Złudzenie moje powiększył dzień przedstawienia w. ks. Konstantemu, jako naczelnemu wodzowi wojsk polskich.

Nigdy nie zapomnę owej uroczej, a tak obawianej chwili, w której znalazłem się na wspaniałej sali Brühlowskiego pałacu, w obliczu człowieka, przed którym truchleli nawet najstarsi wiekiem i rangą żołnierze, człowieka, osławionego z dziwactw i z takich przeciwności, jakimi są dobroć serca, połączona z okrucieństwem.

Było to w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia; Brühlowskie sale posłuchania zapchane były oficerami różnych stopni w świetnych ubiorach galowych, posyłki pułków pieszych, wyściągane i proste, jak lalki, wykrycały się na komendę, a wszystko, jak w kalejdoskopie błyszczące i różnobarwne, zestawiało się coraz odmiennie i przesuwało się przed moimi zdumionymi oczami.

Ponure milczenie niespokojnego oczekiwania przeważało radosne szeptanie na wieść, nadbiegłą z Belweduru, iż w. książę swe brwi olbrzymie wyczesał do góry, co było nieomylną oznaką dobrego humoru i z góry już rozstrzygało o losie wszelkich przedstawień i dziennych sprawozdań. Barometr belwederski nie zawiódł.

W. książę, wysłuchawszy raportu adjutantów wszystkich oddziałów wojska, podówczas w Warszawie konsystującego, a następnie przedstawień i prośb dowódców pułków w sprawach własnych lub podkomendnych, odprawiwszy posyłki pułków linjowych, wszedł do wielkiej sali, do której wprzód przez pułk. Szembeka wprowadzonym i na miejscu, przeznaczonem do przedstawiania ochotników, ustawiony zostałem.

W. książę był w zielonym mundurze kirasjera lejbb-

gwardji rosyjskiej<sup>7)</sup>, w szlifach generalskich i grubych akselbantach, jako oznakach rangi adjutanta cesarza. Pomimo średniego<sup>8)</sup> wzrostu, podniesionych ramion, a rozrosłych pleców, krótka, szeroka twarz w. księcia ze spleaszonym nosem, wyłysiała u góry, a okolona po bokach rudym faworytem, nie wydawała się na pierwszy rzut oka bardzo odrażającą. Wogóle powierzchowność w. księcia znalazłem nie tak wstrętą i groźną, jak ją powszechnie przedstawiano i opisywano.

Zbliżywszy się po kolei do mnie, po przedstawieniu przez adjutanta służbowego, zadał mi kilka urywanych pytań, skąd pochodzę i do jakiej broni wstępuję? Usłyszawszy moją prośbę o pozwolenie wstąpienia w szeregi 1-go pułku pieszych strzelców, pochwalił pułk, mój wybór i przychylnem skinieniem głowy pożegnał.

Olśniony i oszołomiczny przyjęciem u w. księcia, nie umiałem zdać sobie rachunku i ułożyć bilansu z tego, co sam doświadczyłem, a co od drugich słyszałem.

Jak to być może — zapytywałem siebie, — ażeby członek panującego domu, który przemawia tak łagodnie i łaskawie do nieznanego studenta, który otrzymał staranne wychowanie, szlachetnie pokochał ubogą dziewczynę, dla niej wyrzekł się tronu, praw dynastycznych dla dzieci i jak ideał filozofa, wśród niesłychanych trudności dworu petersburskiego, rozwiązał małżeństwo z w. ks. Anną Fedorówną, a doprowadził Joannę Grudzińską do stopni ołtarza, miał być owym strasznym, bez serca tyranem, za którego wówczas w opinii publicznej uchodził?...

Bilans mojego rachunku wskazywał też długo plus na korzyść w. księcia, dopokąd sam się nie przekonałem, że do rachunku nie wstawiłem miodowych miesięcy małżeństwa i owego dobrego humoru, z jakim w. książę podniósł się z łóżka.

---

## II.

### Wstąpienie do wojska. Pakunek żołnierza. Rewja pod Brześciem.

Zostałem więc żołnierzem w 1-ym pułku strzelców pieszych, a przeznaczony przez pułkownika Szembeka do kompanji wołyżerskiej kapitana Przyborowskiego<sup>9)</sup>, doznawałem od niego prawdziwie ojcowskiej opieki i rady.

Karność w wojsku polskiem, zaprowadzona według wzorów rosyjskich, przypominała czasy spartańskie.

Dla młodzieńca, wypieszczonego w domu lub roz-  
zuchwalonego w szkołach, wdrożenie się do tego rygoru  
wojskowego, do tej czystości ubrania i mieszkania było  
zgrzyzieniem twardego orzecha, nietyle dla zębów, jak dla  
grzbietu niebezpiecznem. Dlatego błogosławiłem życzli-  
wość pułkownika, że mnie oddał na początek pod kome-  
ndę szlachetnego i na wybryki młodości wyrozumiałego  
człowieka.

Stary żołnierz, Stepaniak, naoczny świadek piękne-  
go zgonu pułk. Sobolewskiego pod Almonacid<sup>10)</sup> i bohater  
jakiegoś nieudanego romansu z madrycką Dolores, cheł-  
piący się co chwila z hiszpańskich wydarzeń, zajął się  
gorliwie moją edukacją.

Zadanie nie było łatwe, szczególnie dla mnie, który  
widziałem się jakby nowonarodzonym dzieckiem, gdy  
nauka rozpoczęła się od przyswojenia sztuki chodzenia,  
podnoszenia nóg, przystawiania, zwracania i biegania lub

też gdy się na nowo uczyłem rozbierania i ubierania sukni, czyszczenia broni, blach i pasów, pakowania tornistra i t. p.

Jakoś przy pomocy francuskich zakł<sup>ę</sup>c Stepaniaka i przy moich dobrych chęciach poszła nauka prędszej, niż się spodziewałem, a pułk. Szembek ucieszył się bardzo i przyrzekł donieść do Poręby, gdy mu przedstawiony zostałem wymusztrowanym żołnierzem i przed nim bez błędu wojskowe obroty odbyłem.

Z nastaniem cieplejszej pory roku rozpoczęły się ćwiczenia w polu i marsze na większą odległość. Pułki strzeleckie, uważane za lekką piechotę, obowiązane były do szybkich obrotów i przyśpieszonego pochodu. Jedno i drugie wykonywane było z wielką ścisłością, przechodziło jednak siły mojego wieku.

Karabin z bagnetem ważył około 15 funtów<sup>11)</sup>, tornister z płaszczem i manierką mniej więcej 30, pasy z ładownicą, pałaszem i bagnetszajdą 8, kaszkiet z kordonaми i łuskami 10, chleb 3 funty, razem funtów 66. Doliczwszy do tego 12-to funtowy kociołek do gotowania żywności, który naprzemian co dwudziesty żołnierz na pasie przez ramię nosić powinien, a w czasie kampanji i 60 ładunków z kulami, to łatwo wytłómaczyć sobie można, dlaczego znużony żołnierz upadał często w marszu pod ciężarem pakunku.

W tych czarnych pasach, skórach i ceratach, zaledwie ruszać się mogłem i wyglądałem z początku jak chudy koń huzarski.

Mundur naszego pułku był granatowy, kołnierz i wyłogi tego samego koloru, wypustki i łapki żółte, guziki białe z numerem pułku, naramienniki żółte z numerem dywizji (I.) wykrojonym z ponsowego sukna<sup>12)</sup>.

Z przyborów toalety żołnierskiej najdokuczliwszym były dla mnie tornister i kaszkiet dla tej prostej przyczyny, iż żołnierz nie mógł mieć kieszeni ani w płaszczu, ani w mundurze lub w spodniach; nie nosząc zaś torby na

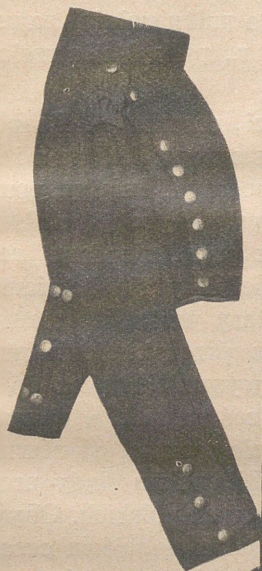
chleb i drobiazgi, mieścił wszystko na grzbiecie lub na czubie głowy.

Ileż to przedmiotów pod rygorem surowej kary w tem przeklętym ciełęciu pomieścić potrzeba było! Bielizna dolna i górna, furażerka, trzewiki, śrubokręt, grajcar, łyżka, mantelzaczek sukienny z igłą, nićmi, napastką, szydłem i dratwą, wosk czarny z korkiem i drewnianym przyrządem do roztarcia i polerowania tegoż, szczotki do sukni i butów, sukienny skalnik z 12 skałkami w ołowianej oprawie, a wszystko tak ściśle i wzorowo w swem miejscu ułożone być musiało, ażeby w każdej chwili przez przełożonych, od podoficera zazwyczaj, z łatwością przejrzane i sprawdzone być mogło. Nawet w. książę zwracał szczególniejszą uwagę na pakunek żołnierza, a gwałtowne zdarcie tornistra z posyłki pułku pieszego w celu przejrzania garderoby było jego ostatnim aktem, jako naczelnego wodza wojsk polskich, dokonanym własnoręcznie na 7 godzin przed wybuchem listopadowego powstania.

Ciężar tornistra wypełniała blaszana manierka na kłapie i płaszcz, przez ramię lub na wierzchu tornistra umieszczony, równiuteńko w trąbkę skręcony, obwinięty w ceratę, rozciągniętą na dwóch kółkach drewnianych, połączonych szpagatem.

Na głowie w kaszkiecie, ozdobionym metalowym orłem, a przy kompanjach karabinjerskich i włosiennem piórem, wysokości 20 cali<sup>13)</sup>, mieścił się już istny magazyn ruchomości prywatnych. Tam chleb i kiełbasa, chustka do nosa i tytoń, fajka, karty i pieniądze najbezpieczniejsze miewały schowanie.

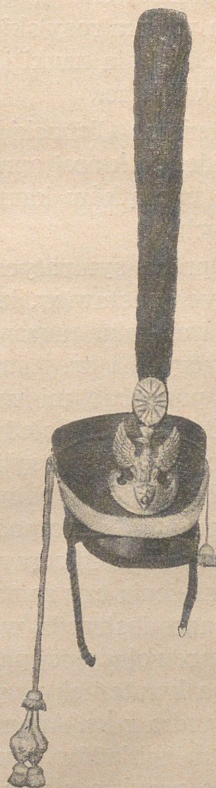
Opakowanie to, o którym dzisiejszy żołnierz niema nawet w przybliżeniu wyobrażenia, umieszczone na ciełe, wyściąganiem do figury, obleczonem w ciasny mundur, przystrojonem w krawatę jak chomąto, nie dozwalało zginać się lub schylać, gdy cośkolwiek na ziemię upadło; połączone ze sztywnością i zegarową akuratnością ruchów, daje też niejaką miarę trudów, nietylko na placu



**Kurtka mundurowa**  
żołnierza pułku 1-go  
strzelców pieszych  
z r. 1822.



**Karabin piechoty**  
z r. 1815—1831.



**Kaskiet karabinjera**  
(1815—1826).

(Ze zbiorów Br. Gembarzewskiego).

ćwiczeń i przeglądów wojskowych, lecz szczególnie na dalekich pochodach i marszach.

Słodyczy podobnego marszu doznałem też w całej pełni, gdy wojsko polskie ruszyło na wielką rewję pod Brześć Litewski<sup>14)</sup>, gdzie połączone z Litewskim korpusem wojska rosyjskiego, w sile około 60,000 ludzi, miało zwodzić dla nauki i popisu na wielką skalę urządzone harce wojenne.

Generał Cichocki<sup>15)</sup> wprowadził do obozu naszą brygadę, do której oprócz naszego pułku należał zawsze, aż do początków kampanji 1831 r., pułk 3-ci strzelców pieszych.

Oprócz sympatycznej postaci cesarza Aleksandra, groźnych postaw w. książąt Konstantego, Mikołaja i Michała i orszaku zagranicznych oficerów i książąt, pomiędzy którymi i ks. Adam Czartoryski się znajdował, niewiele pozostało mi w pamięci z owej nieudanej rewji pod Brześciem. Za ledwie rozgościliśmy się bowiem w obozie, urządzili posyłki do kwatery w. ks. Konstantego w Adamkowie i odbyli wstępne przedstawienia przed cesarzem, gdy niespodziewanie wyszedł rozkaz do rozejścia się<sup>16)</sup>. Oficerowie mówili coś na ucho o odkrytem sprzysiężeniu czy zamachu na życie cesarza, jak również, że miano dostrzedz w korpusie Litewskim ślady propagandy rewolucyjnej przez wojskowych polskich. Obywatele na kwaterach wspominali o jakimś zajściu cesarza Aleksandra z ks. Adamem Czartoryskim, generalnym kuratorem zakładów naukowych, który miał tam usłyszeć bardzo przykre słowa z powodu wzburzenia umysłów młodzieży w Wilnie i patriotycznego usposobienia Wołynia przez Krzemieniec, a które wobec stanowczo porzuconej myśli połączenia Litwy i ziem Ruskich z kongresową Polską krzyżowały i opóźniały zamiary zrusyfikowania tych prowincji. Czy tak było w samej rzeczy, zapewnić nie mogę, gdyż byłem za młody, ażebym znaczenie kombinacji i spisków politycznych mógł rozumieć, a do

tego wówczas, kiedy o niczem innem tylko o awansie marzyłem.

Odwrót z pod Brześcia wynagrodził sownie trudy pochodu i liczył się do najprzyjemniejszych chwil mojej młodości. Pułki nasze powracały z ziemi, do Polski nie należącej, i maszerowały przez okolice, w których wojska polskiego nie znano. Witano je też po drodze z zapalem i ze staropolską gościnnością przyjmowano. Ileż to kur, kaczek i baranów wyzionęło wówczas ducha na traktament dla nas! ileż wychylono kielichów, ile rozdano żołnierzom chleba, wędlin i słoniny! a wszystko zakwitowano oddziałom z życzliwym słowem i bez wynagrodzenia.

Dniówki, czyli dni spoczynku, jeżeli wypadły u zaciąankowej szlachty, to już i dla nas żołnierzy, pochodzących z lepszych domów, były obfitem źródłem zabawy. Pan Gabryel przyniósł masła i miodu, pan Wojciech wędlin i sera, my chleb i wódeczkę, szlachcianki piwko własnej roboty. Nuż palić koperczaki, warzyć krupnik z wódki, miodu i korzeni, gwarzyć, śmiać się i całować, a na zakończenie, sprowadziwszy wsiowego skrzyпка i basistę, hejże dopiero oberka, przebieganego krakowiaka, łamanego lub drobnego sztajera. Uciecha trwała zwykle do dnia białego, dopokąd natrętny dobosz pod oknem na zbór nie uderzył, a wtedy całuj i ściskaj prędko a silnie narodowego brata lub siostrę, zlewaj głowę wodą, pij strzemiennego, stawaj do szeregu i ruszaj w drogę, nie raz ze łzawem okiem lub draśniętem sercem.

---

### III.

#### **Kapitanowa Michalska. Operacja śledziowa. Komory pułkowe.**

Okolice Płocka przeznaczone zostały na rok 1824<sup>17)</sup> na zimowe legowiska naszego pułku. Pierwszy batalion wraz z sztabem stanął w mieście, drugi pod dowództwem podpułkownika, późniejszego naczelnego wodza, Macieja Rybińskiego<sup>18)</sup> w Lipnie i w okolicznych wsiach i miasteczkach. Moja kompanja późną jesienią 1823 roku zajęła Dobrzyń, a pluton, w którym służyłem, dostał się na dobra obywatela Orłowskiego.

Odmienny tryb życia i niewysłowione trudy żołnierskiego zawodu złamały moją młodą konstytucję i sprowadziły na mnie ciężką chorobę. Doznałem w niej jednak troskliwej opieki i synowskich względów od p. Orłowskiego, za co przez cały ciąg mojego życia darzyłem jego imię wdzięcznem wspomnieniem.

Przyszedłszy do zdrowia na początku 1824 r., układałem właśnie z córkami p. Orłowskiego plan kampanji zapustnej, gdy otrzymałem nagle awans podoficerski<sup>19)</sup> i rozkaz przeniesienia się w 48 godzin do karabinjerskiej kompanji wyborczej Feliksa Michalskiego<sup>20)</sup>.

Z żalem pożegnałem rodzinę mojego gospodarza i ukochanego kapitana Przyborowskiego, a rozpocząłem służbę podoficerską w Płocku pod dowódcą kompanji Michalskim. Początki były przykre i trudne do zniesienia.

Michalski, jakkolwiek człowiek świątły i sprawiedliwy przełożony, był jednak temperamentu cholerycznego, a przytem nadzwyczaj ruchliwy i punktualny w służbie. Nic nie uszło jego oka, a najdrobniejsze wykroczenie przeciwko regulaminowi wojskowemu ścigało na grzbiet winnego dotkliwie kary. Surowość kompanijnych wyroków łagodziła jednak dobroć jego żony, wielbionej Iberji córki, zdobytej przez Nadwiślańskie legjony w Andaluzji; wyuczyła się ona nieco po polsku i pod drzwiami pokoju męża podsłuchiwała rannych raportów. Słyszając grzmiący głos swojego Felixé i delikwentowi dyktowane kije, interwenjowała zwykle z taką energią, iż chłosta zmniejszoną lub na różgi zamienianą bywała.

Ta miękka strona pana kapitana<sup>21</sup> dobrze była znana żołnierzom i dlatego nieraz szła apelacja od wyroku do pani kapitanowej; a droga łaski, przez jej dobre serce zawsze otworem stojąca, zwykle z pomyślnym skutkiem przez winowajców odbywana była. To też, jak matka przez dzieci, tak Michalska od żołnierzy ukochaną była, a jej ogródek, pielęgnowany ręką szeregowców kompanji, liczył się do najpiękniejszych w Płocku.

Nieszczęście drugich, jak to zwykle bywa, wypadło niespodzianie na moją korzyść i dopomogło w krótkim przeciągu czasu do powtórnego awansu. Powód był następującym.

Przy sztabie była komora naszego pułku, czyli zapasy bielizny i mundurów, z warsztatem naprawy broni i rynsztunku. Komora ta wraz z pociągami pułkowymi mieściła się w Płocku w jednym opustoszałym klasztorze i zostawała pod osobistym zarządem pułk. Szembeka, na którego rachunek szły zyski i straty na komorze.

Otóż pewnego poranku, mając służbę w kompanji, otrzymałem rozkaz zebrania broni, potrzebującej naprawy, i odniesienia na komorę do puszkarzy. Wziąwszy kilku żołnierzy z mojego sierżantstwa, spełniłem polecenie; lecz jakież było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do

warsztatu naprawy broni, zastałem w nim Szembeka wśród wybuchów najgwałtowniejszego gniewu.

Bierzmował on właśnie z całą siłą uniesienia jakiegoś żołnierza, krzycząc z całego gardła:

— Gadaaj, bestjo Monu-bodzieju, prawdę.

Żołnierz, któremu głowa, jak wahadło wprawo i wlewo chodziła, nie mógł przyjść do słowa; a ja, widząc otoczenie żołnierza struchlałe i blade, zrobiwszy lewo wtył, wynosiłem się co prędzej. „Stój!“ jak piorun wyleciało z ust pułkownika. „Monu-bodzieju bestjo, rozumiesz, będziesz zaraz potrzebnym“.

W tej chwili wszedł żołnierz służbowy i salutując pułkownika, położył na warsztacie puszkarskim 12 śledzi, oczywiście niemoczonych.

Zmiarkowałem zaraz, iż rzecz rozchodzić się będzie o zastosowanie systemu karno-śledczego, przeszczepionego do Polski przez wice-prezydenta m. Warszawy Lubowidzkiego, a w piwnicach ratusza wówczas z tak dobrym skutkiem na Cytronie zastosowanego, którego doprowadzono do lizania wilgotnych murów podziemia, picia własnego moczu i t. p. katuszy.

Przezcucie nie zawiodło. Żołnierz skazany został na doraźne zjedzenie przyniesionych śledzi; przyczem mu i nazewnątrż tą smaczną rybą smarowano usta. Widoczny brak apetytu utrudniał operację i niecierpliwiał pułkownika.

„Monu-bodzieju, Patelski, karm go!“ — a na ten rozkaz wziąłem z warsztatu dłuto, rąbałem śledzie i palcem biedakowi wpychałem do gardła. Nadejście oficera służbowego z żołnierzami z odwachu uwolniło mnie od pełnienia dalej tej koleżeńskej usługi.

Powróciwszy na kwaterę, dowiedziałem się powodów tej śledziowej kary, żadnym kodeksem karnym nie przewidzianej, i tego niezwykłego wzburzenia umysłu, znanego z łagodnego serca i dobrego humoru, pułkownika.

Komora pułkowa a zatem i kieszeń pana pułkownika zostały okradzione. Porucznik Krzysztof Markow-

ski<sup>21)</sup>, będąc ubiorem i mając komorę pod swoim nadzorem, przybrał sobie do pomocy krewniaka, żołnierza Modzelewskiego, wielkiego niezgułę i jąkałę, którego w ten sposób chciał wykierować na podoficera. Modzelewski zakochał się w pewnej płochej dziewczynie, a nie będąc urodziwym, za pomocą kosztownych podarunków i sutych biesiad chciał rozbudzić i uwięzić serce niestałego bóstwa.

Podarunków i traktamentów dostarczała oczywiście komora pułkowa, Modzelewskiemu otworem stojąca, a właściwie poczciwi żydkowie, którzy wynosili z niej tytułem kupna całe postawy sukna, płótno, skóry i t. p. przedmioty.

Zdradzeni kupcy zaarrestowani zostali z pominięciem sądów cywilnych przez Szembeka i do podziemnych grobów klasztoru wrzuceni.

Czy ich tam śledziami karmiono, a ich żony, jak Cytronowa, czy im tam wodę w ustach donosiły, nie wiem; ale z przestrachu biedne żydziska mocno się pochorowały.

Zrobił się też w mieście wielki rozruch i wrzawa. Redziny aresztowanych czyniły wielkie starania o ich uwolnienie, ofiarując to znaczny okup, to grożąc pułkownikowi procesem.

Niektóre domy niemieckie, pozostałe w Płocku z pruskich czasów, domagały się interwencji od pułkownikowej, która, będąc córką pruskiego kupca, Niemców zwykle faworyzowała. Tym razem interwencja była daremną, bo pułkownikowa, jako kobieta rachunkowa, nie mogła mężowi nigdy przebaczyć, iż on, niemal jedyny z pułkowników, nie ciągnął materialnych korzyści z komory pułkowej. Według ówczesnego urzędnika, pułkownicy byli przeznaczeni, jak niegdy starostowie, do zrobienia fortuny. Temi starostwami, mniej lub więcej korzystnymi, były pułki konne i piesze. Dowódcy pułku wyplacano bowiem z komisarijatu wojennego wszystkie potrzeby pułku gotówką; on zaś krajał mundury, szył bu-

ty, naprawiał broń, piekł chleb i t. p., słowem, zaopatrywał wszystkie potrzeby żołnierza. Zysk na dostawie tych przedmiotów wojskowych był ogromny. Weźmy za przykład obuwie: pułk pieszy liczył 2,000 głów i potrzebował na rok 6,000 par trzewików, za które komisarjat wypłacał 6,000 rubli. Skóry kupowano w wielkiej ilości i po cenach niższych, a szewcami byli żołnierze, odkomenderowani do szwalni, i z wyjątkiem musztry bataljonowej i pułkowej, od służby frontowej uwolnieni. Obuwie nie kosztowało zatem więcej nad 3,000 rubli. W tym samym stosunku był dochód z ubrania i rynsztunku żołnierzy, z naprawy broni i zakupu furażu dla pociągów i t. p.

Tak działo się w piechocie, a cóż dopiero w kawalerji! Wachmistrze szwadronowi zakupowali tysiącami korcy i centnarów owies, siano i słomę, a zakupowali po wsiach z pierwszej ręki i tanio, gdyż obywatele byli zadowoleni, że sprzedawali odrazu i odbierali gotówkę.

Furaż zakupiony liczone jednak w kontroli pułkowej po cenach targowych, znacznie wyższych, jakie potwierdzali bez trudności na rachunkach prezydenci miast i miasteczek. Pułkownik brał zwykłą cenę zakupu do kieszeni, kapitan miał furaż bezpłatny, wachmistrz honorarium od sprzedawcy; a tak bez wielkich nadużyć i bez niczyjej dotykanej szkody wielu niższych oficerów było zadowolonych, a pułkowników bogatych. Wyjątkiem był Szembek, chociaż manipulacja na komorze naszego pułku nie różniła się w niczem od postępowania innych, na wszystkie boki wyzyskiwanych komór pułkowych. W naszym ulu pułkowym tylko role pszczoł i trutni odmienne były obsadzone.

Szembek zadowolony był zaszczytem i przykrościami dowództwa pułku, korzyści zaś ciągnęli: pułkowy kwatermistrz kapitan Żarski<sup>22</sup>), kasjer kapitan Obalski<sup>23</sup>) i inni podkomendni. Nieraz bywała o to burza z pułkownikową, której namacalne na Żarskiego dowody podsuwał adjutant Frezer<sup>24</sup>). Szembek w tym punkcie, jak

Achilles w pięcie, był nieco za słabym i nie mógł się wyswobodzić z pod wpływów Żarskiego, który nie robiąc malwersacji i postępując prawidłowo, dorobił się dużego majątku, a wzięwszy z wojska dymisję, piękną wioskę zakupił.

Otóż Szembekowi zdawało się po odkryciu kradzieży, że komora z oszczędności nie zdoła pokryć niedoboru i szkodę ze swej płacy będzie musiał wynagrodzić. Trzymając się więc zasady w. ks. Konstantego, iż konstytucja to ja, nie zważał na prośby otoczenia, na groźby żydów, lecz sam prowadził śledztwo i gotował się do wydania surowego wyroku.

Miłość jednakże, jaką nietylko u wojskowych, lecz i u osób stanu cywilnego posiadał, sprowadziła w osobie prezesa komisji wojewódzkiej Rembielińskiego<sup>25)</sup> pośrednika pomiędzy uwięzionymi kupcami a okradzioną komorą. Zapłacono sownie szkodę, winnych oddano sądowi cywilnemu, a skargi, wniesione na pułkownika o gwałt zadany, jakoś tam stłumiono z obawy przed w. księciem, który Szembeka lubił a żydów nie cierpiał.

Ponieważ w tej sprawie i feldwebel naszej kompanji Grefkowicz był skompromitowanym, przeto zdegradowany został na podoficera i do kompanji 6-tej przeniesiony; a ja na jego miejsce, rozkazem pułkownika z d. 10-go lutego 1823 r.<sup>26)</sup>, sierżantem starszym, czyli feldweblem zamianowany zostałem.

---

#### IV.

### Obowiązki sierżanta. Srogość postępowania. Bigos hultajski.

Spełniła się miara moich życzeń, gdyż o stopniu oficerskim, wśród głębokiego pokoju i obok pozostałości z czasów dawniejszych, nawet marzyć nie mogłem.

Ranga starszego sierżanta była zresztą na owe czasy dość znaczną. Pobierał on 36 złp. miesięcznej płacy, rację żołnierską, składającą się z czarki wódki,  $\frac{1}{2}$  funt. mięsa i  $1\frac{1}{2}$  funt. chleba, a nadto miał swego ordynansa i kwaterę o 2 izbach.

Do obowiązków feldweblowskich należała opieka i dozór nad 12 podoficerami, 2 doboszami, 2 trębaczami i 170 żołnierzami kompanji, co dla takiego, jak ja 17-letniego chłystka, było zadaniem niełatwym do spełnienia. Z obowiązkami nowego urzędu połączone było i prawo nieograniczonego płazowania żołnierzy; a ze wstydem wyznać dziś muszę, iż z prawa tego, za najmniejszym wykroczeniem, najrozciąglejszy użytek robiono. Brutalne obchodzenie się z żołnierzami, bicie, szturchanie i przezywanie obelżywymi słowami, przeszczepione z wojska rosyjskiego, z którem w ciągłej styczności nasi wyżsi wojskowi pozostawali, było i w wojsku polskim tak powszechne i zwykłe, iż nikogo nie dziwiło, jeżeli wyższy niższego przed frontem wypłazował lub karczemnymi wyrazami zwołał. Pułk nasz, wobec tego, co się działo w innych pułkach, a w szczególności u naszych sąsiadów, związanych z nami węzłem brygadowego małżeństwa, a dowodzonych przez pułk. Sierakowskiego, liczył się do wyjątków od powszechnej reguły postępowania<sup>27)</sup>.

Ta szorstkość i surowość w obchodzeniu się z żołnierzami była wskazaną z góry i tolerowaną przez w. księcia, który choć był prawdziwym dobrodziejem wojska polskiego i najtroskliwszym opiekunem żołnierzy, był zarazem ich pierwszym i najgłówniejszym prześladowcą. Ileż razy sam aresztował i odwoził przyaresztowanych na odwach lub karciał własną ręką i publicznie! Ileż razy, uniesiony nieusprawiedliwionym gniewem, nie wydawszy rozkazu do zaprzestania musztry, którą sam kierował, odleciał jak strzała do Belwederu, skąd dopiero po kilku godzinach lub późnym wieczorem nadsyłał rozkaz odejścia do koszar lub do namiotów.

I w naszym pułku, sierżant Kadłubowski, szlacheckiego rodu, długo nosił na twarzy ślady wielko-książęcego gniewu. Na musztrze dywizyjnej pod Warszawą, przy Szwedzkich szańcach, stanął raz w linii wytycznej jednym ramieniem na bok. Dostrzegł to w. książę, rzucił się z koniem na niego, a dobywszy szpady, płazem uderzył go kilka razy po twarzy. Skaleczony, odsiadywał jeszcze w obozie 48-godzinny areszt pod namiotem za omyłkę.

Zły przykład toczy się zwykle, jak kula na dół.

Nie dziw zatem, że nazajutrz po tem zdarzeniu, porucznik Aleksander Sejdler<sup>28)</sup>, dowodzący plutonem wotyżerskim w mojej kompanji, żołnierza, obok niego stojącego w szeregu, ciężko skaleczył w lewą nogę. Żołnierz, nie dosłyszawszy lub nie zrozumiawszy komendy, zrobił fałszywy ruch bronią, a Sejdler, chcąc go zaraz ukarać, nic nie mówiąc, spuścił szpadę na dół i wierceł nią w bucie żołnierza. W tej samej chwili inny żołnierz w trzecim szeregu dopuścił się podobnego wykroczenia. Karząca ręka Sejdlera, na razie dotknąć go nie mogła, lecz korzystając z chwili wypoczynku, wyprowadził go za front, zdjął bagnet z karabinu, a rozkazawszy podoficerowi, ażeby mu podniósł płaszcz do góry, własnoręcznie bił, jak słup stojącego, trójgraniastym bagnetem, przez płócienne spodnie, aż do krwi i omdlenia.

Podług tych wzorów postępowali i feldweble z żołnierzami; a sumienie moje wyrzuca mi nieraz, że i ja płazowałem starych, dymem napoleońskich wojen okupowanych, żołnierzy, dla których powinienem był mieć miłość i poszanowanie.

Taki był jednak duch czasu owej epoki, a rygor i posłuszeństwo tak ślepe, iż nieraz nakazywało panować nad prawami natury. W obozie pod Powązkami pojawiła się jednego lata w naszym pułku biegunka; a pomimo tego nie uwolniono nas od musztry i przeglądu przed w. księciem. Choroba wybierała ofiary wśród ściśniętych szeregów. Z bólu i osłabienia żołnierze upadali na ziemię, lecz komenda: „stój!“ i „równaj się!“ grzmiała tak surowo i donośnie, iż kto tylko na nogach utrzymać się zdołał, ani na chwilę poza szeregi ustąpić nie mógł. Smród w kolumnach był nie do zniesienia; lecz pomimo to w. książę obchodził szeregi podług przepisu i zwyczaju.

Moje feldweblowskie obowiązki wypełniałem nader gorliwie, przyjąwszy do pomocy pisarskiej żołnierzy-ochotników; a że nowa miotła z początku dobrze zamiała, więc i ja najskwapliwiej obchodziłem co chwila mieszkania moich żołnierzy, doglądając czystości kwater i efektów żołnierskich, przeliczając bieliznę i wydatki, dozorując menaż, moralne sprawowanie się i t. p., chociaż do tych czynności administracyjno-policyjnych zaledwie co dni 14 obowiązany byłem. Gorliwość moją ostudził jednak wkrótce następujący wypadek.

Wchodzę do kwatery czterech żołnierzy podczas pory obiadowej i zastaję na stole wyśmienity bigos. Skosztowawszy go według instrukcji, nabrałem do niego niewysłowionego apetytu, a że żołnierze zaprosili do miski, więc podjadłem sobie potężnie owego bigosu.

Wieczorem przy apelu mówi kapitan Michalski do zgromadzonych podoficerów kompanji, iż w mieście okradziono masarza i zabrano mu szynki, kiełbasy, wędzonki i t. p. mięsiwa. Podejrzanie pada na żołnierzy z pułku strzeleckiego, lecz niewiadomo z której kompanji i dla-

tego zalecił baczność na żołnierzy i raport w danym wypadku.

Ja, mając w świeżej pamięci i w obładowanym żołądku ów wyborny bigos, donoszę zaraz wobec oficerów kompanji i owych podoficerów, iż w południe jadłem bigos niezwyklej dobroci, a zatem prawdopodobnie przyprawiony owemi skradzionemi mięsiami.

Dla sprawdzenia istoty czynu udaje się zatem całe zgromadzenie z przybraniem warty, za moją wskazówką, do kwatery owych żołnierzy, a znalazłszy jeszcze potężny zapas bigosu, tyle miało wątpliwości co do pochodzenia owych kiełbas i wędlin, iż z winowajcami zjadło je pierwiej do szczętu, zanim ustaloną została przedmiotowa istota czynu, że bigos sporządzony został ze skradzionych wędlin masarza.

Kucharzy bigosu wzięto pod straż i odstawiono na odwach; kapitan wypłacił szkodę, wyrządona rzeźnikowi, lecz mnie, jako sierżantowi kompanji, kazał zakupić kilkanaście prętów laskowych przyzwoitej grubości. Nazajutrz odbył się w mieszkaniu kapitana sąd na winowajców i wypadł wyrok na głównego sprawcę Przybylskiego, opiewający na 100, zaś na trzech innych żołnierzy po 50 kijów. Jak zawsze, tak i tym razem interwencja pani Michalskiej nie była daremną. Wyklóciwszy się z mężem po hiszpańsku, wymogła na nim zamianę kijów na różgi. Sprowadziłem więc kilka mioteł; porobiono różgi; kompanję zwołałem na apel wieczorny o 6-tej z południa na dziedziniec klasztoru, w którym była komora pułkowa. Po apelu utworzono czworobok, wprowadzono winnych, rozdano różgi i rozpoczęła się egzekucja na gołe ciało winowajców.

„Starszy sierżant, rachuj!“ — zawołał kapitan; a ja wśród jęku egzekwowanych, przeklinając ów bigos prawdziwie hultajski i moje zbyt troskliwe wkładanie nosa do kwater żołnierskich, nie bez wzruszenia spełnić musiałem przykre obowiązki rachmistrza.

---

## V.

### Węże. Przygoda w stolicy. Oddanie pułku w. ks. Mikołajowi.

Jeszcze przed moją nominacją na starszego sierżanta, doszedł nas rozkaz cesarza Aleksandra, przekazujący pułk nasz w. ks. Mikołajowi, który też od tego czasu nosił imię Pułku strzelców pieszych w. ks. Mikołaja; a że 1-sza kompanja wyborcza miała w szczególności prawo do nowego tytułu, przeto i ja uhonorowany zostałem godnością feldwebła kompanji w. ks. Mikołaja<sup>29)</sup>.

Po tytule nadszedł i rozkaz marszu do Warszawy na zwykłe obozowisko letnie pod Powązkami, jak również celem przedstawienia się nowemu szefowi pułku, który w tym roku miał przyjechać z Petersburga.

Marsz wypadł w maju, czy w początkach czerwca 1823 r., a z owego marszu pozostał mi w pamięci olbrzymi wąż, który o kilka łokci od przechodzącego bataljonu podniósł się z mokrzadeł ugoru, na wysokość najmniej dwóch łokci, a wytrzeszczywszy ślepią, wodził niemi, wpatrywał się w nas, jakby chciał zrachować. Żołnierze wstrzymywali kroku z podziwu i przemyśliwali nad jego schwytaniem, lecz major Rolbiecki<sup>30)</sup> napędzał do marszu i nie wstrzymał kolumny. Dopiero żołnierz z tylnej straży, wy dobył stempel z karabina, z tyłu podbiegł do węża i silnem uderzeniem poniżej łza zabił, lecz dla grubości i długości potworu nie mógł zabrać z sobą.

O drobnostce tej wspominam dlatego, iż wówczas panowała manja mówienia i zajmowania się węzami z powodu, iż na dziedziniec pałacu Sapieżyńskiego spadł z powietrza [tak] wąż dość znacznej wielkości, którego pochodzenia wytłómaczyć sobie nie umiano. Żalowaliśmy zatem, że z węzem tak się stało i że nie przynieśliśmy z sobą gościńca dla gabinetu historii naturalnej w Warszawie.

Wejście do stolicy odbyło się ze zwykłymi honorami wojskowymi i pułk rozkwaterowany został po domach.

Po dwudniowym wypoczynku nastąpił przegląd pułku przez naszego dywizjonera Stasia Potockiego<sup>31)</sup>, a następnie wystąpienie w pełnej gali przed w. ks. Konstantym, który zadowolony z postawy i obrotów pułku, wyraził przed frontem zadowolenie Szembekowi, iż zaszczyt, jaki spotkał armję polską przez odznaczenie jednego z pułków imieniem w. ks. Mikołaja, dostał się pułkowi pod jego dowództwem. Zaraz też potem odeszliśmy do obozu, a z obozu w pierwszych dniach września do Warszawy wrócili z powodu spodziewanego przyjazdu w. ks. Mikołaja.

Pułk zajął kwatery na Tamce, na Ordynackiem i na innych pobocznych ulicach, a ja z moją kompanją rozłożyłem się przy ulicy Wareckiej w bliskości szpitala Dzieciątka Jezus.

Rozkaz sztabu głównego zapowiedział przyjazd w. księcia na dzień 9-ty września i wzbronił oficerom i żołnierzom wychodzenia na ulicę w ubraniu codziennem lub niekompletnem. Równocześnie wykończano na gwałt podteraną w obozie toaletę pułkową, wstrzymano wszelkie urlopy, odkomenderowania i t. p., ażeby pułk przyzwoczicie i w komplecie mógł być przedstawionym i odanym w. ks. Mikołajowi.

Jak zwykle, los ślepy i przekora mieszają zamiary i myśli ludzkie, tak i wówczas nieszczęście zrządziło, iż wskutek niedozoru policyjnego w mieście wielka liczba żołnierzy z naszego pułku stała się niezdolną do służby.

W mojej kompanji wyborczej, imieniem spodziewanego gościa zatytułowanej, a zatem przy uroczystościach przyjazdu w. księcia i odbioru pułku do odegrania najważniejszej roli przeznaczonej i z muzyką pułkową na straż honorową odkomenderowanej, 45 ludzi, czyli czwarta część kompanji, przez lekarza bataljonowego do szpitala Ujazdowskiego odesłaną została.

Rejwach stał się w pułku ogromny. Pułkownik, dowiedziawszy się o tem, co odkryto, przybiega na plac Saski, gdzie właśnie stałem w linii z podoficerami, przeznaczonymi do wachparady, jak wówczas zwykle zmianę wart nazywano. Z przyśpieszonego ruchu rąk Szembeka, wyciąganych do kapitana Michalskiego, i z zakłopotanej postaci ostatniego przeczuwałem zapowiedź zbliżającej się burzy.

I w samej rzeczy, w jednej chwili skręcił się z impetem Szembek ku naszej linii i w najwyższym gniewie, z zaiskrzonymi oczami, udając, że mnie nie zna i nie poznaje, zawołał:

— Monu-bodzieju, bestjo przeklęta, czy ty jesteś feldweblem kompanji w. księcia?

— Dotąd ja, panie pułkowniku — odpowiadam z pokorą.

— To ty nie wiesz, co się w kompanji dzieje z twoimi strzelcami, — to ty nie powiesz, gdzie i jak to się stało?

Sumitowałem się, jak mogłem, lecz gniew pułkownika, zamiast uśmierzać, wzburzał się coraz silniej.

— Poczekaj, Monu-bodzeju, — zaciskając pięści, dopowiadał Szembek, — ja ciebie zdegraduję, w areszcie zgnoję... i Bóg wie, co już tam dalej słów z ust pułkownika leciało i jakie plagi egipskie nad moją głową zapowiedziane być miały, gdy nagle rozległ się krzyk komendy, grzmot bębnow i odgłos muzyki, intonującej „Boże Cara chroń“, i w. ks. Konstanty pojawił się na zmianę straży na Saskim dziedzińcu.

Wróciwszy do kwatery, wygotowałem codzienny

raport kompanijny i odesłałem do adjutanta pułkowego Frezera, który je od wszystkich kompani pułku odbierał, w jeden wykaz ściągał i, jako raport pułkowy, do sztabu brygady odsyłał.

Wkrótce przybiegł żołnierz, na służbie u pułkownika zostający, z wezwaniem, ażeby natychmiast szedł do adjutanta.

— Oho!.. myślę sobie, — masz degradację, zapowiedzianą przez pułkownika, a co najmniej, zwykle kpanie za błąd rachunkowy w raporcie.

Bojąc się powalać czechczyrów <sup>32)</sup> i ubrania, już na jutrzejszy przyjazd w. ks. Mikołaja przygotowanego, biorę płaszcz na siebie i, nie chcąc być spostrzeżonym, za wskazówką żołnierza, przesuwam się zaułkami przez ogródki, sienie, izby szynkowe i sklepiki starego Pocijowa aż do jakiegoś pałacu, w którym mieszkał na dole Szembek, a na piętrze mieściła się adjutantura pułkowa.

Nieśmiało wchodzę do kancelarji i, jak lis przed chartami, wyciągam się prościuteńko u drzwi samych.

„Nie bój się — z uśmiechem przemówił Frezer, — wiem, jak ciebie skudłał pułkownik na Saskim placu. Już go gniew minął, nie pamięta, co mówił, kompanję podłata innymi żołnierzami, a ciebie przeznaczył do złożenia raportu w. ks. Mokołajowi. Pojutrze, przed wachparadą, pójdziesz ze mną do Brühlowskiego pałacu, wskażę ci tam salę i miejsce, gdyż ja składać będę raport z całego pułku, a ty z kompanji wyborczej. Sądzę, że na tem źle nie wyjdiesz, tylko raport pięknie wysztuchuj, byczka nie zrób, a przy wymawianiu imienia w. księcia języka w ustach nie zapomnij. Przy względach i poparciu pułkownika, jakie posiadasz, mogą się tobie z odwiedzin w. ks. Mikołaja i szlify wykroić.

Nie podzielałem tych nadziei, lecz ujęty życzliwością Frezera i fajeczką, którą mnie poczęstował, wynurzyłem się do głębi serca z moim żalem, jaki miałem do pułkownika za niesprawiedliwe, srogie i publiczne zszarpanie

mojego honoru i imienia; przytem zrobiłem uwagę, iż przeciskając się teraz zaułkami do kwatery pułkownika, rozpoznałem się w tajemnicach Warszawy i odkryłem gniazdo złego, które się mieści nie w dzielnicy mojej kompanji, lecz w najbliższem sąsiedztwie sztabu pułkowego.

Daty i spostrzeżenia moje były tak przekonywające, iż Frezer napisał odpowiednie wezwanie do komisarza obwodu, który przysłał zaraz rewizora; a przy jego pomocy i naszych żołnierzy urządziłem obławę i przeszło dwadzieścia różnych nieszczęśliwych istot z owych zakamarków i żydowskich szynkowni przed kwaterę pułkownika ściągnąłem.

Na płacz i krzyki wybiegł na werandę pułkownik, a zobaczywszy uwijających się strzelców i Frezera, zapytał o przyczynę rozruchu.

Felwebel, przez pułkownika dzisiaj skarcony, — odpowiada Frezer, — wyszukuje dowody swojej niewinności i poddostatkiem znajduje ich pod drzwiami pułkownika.

— A, Monu-bodzieju! tobym się był pierwiej śmierci spodziewał, niż tego wstydu! — zawołał Szembek. Hej! zaprzęgaj konie, — jadę do Wojdy, do Wojdy, Monu-bodzieju; ja tego organistowskiego syna, co śmie być naczelnikiem miejskiej policji, rozumu i porządku nauczę!

Z zadowoleniem słuchałem tych wybuchów gniewu i sapania pułkownika i cieszyłem się w duchu, że ta ranna przygoda załatwiła się tak pomyślnie w przeddzień reprezentacji u w. ks. Mikołaja.

W. ks. Mikołaj zabawił w Warszawie przez dni kilka, w ciągu których nastąpiło oddanie pułku, przegląd i musztra. Wszystko poszło składnie i gładko według naprzd ułożonego programu. W. książę był zadowolony, chwalił wiele, lecz do nagród i spodziewanego awansu nie przyszło.

Po wyjeździe w. księcia powróciliśmy znowu na dawne zimowe leże i rozpoczęli, przez żołnierzy tak upragnione i urozmaicone, życie po kwaterach.

---

## VI.

### Obóz pod Warszawą. Imieniny Szembeka. Pułkownik Sierakowski.

Rok 1824 przeprowadził Saturn z naszym pułkiem zwykłym trybem lat poprzednich z tą może różnicą, iż do obozu pod Warszawą weszliśmy w d. 18-tym czerwca, a wyszli z obozu, jak w roku ubiegłym, w d. 1-szym września.

Było to niezwykle zdarzeniem, gdyż według porządku, raz na zawsze zaprowadzonego, otwarcie obozu w d. 13-tym czerwca, a zamknięcie w d. 13-tym października następowało. Nasz pułk zaś, jako w Płocku mniej potrzebny, zwykle ten cały przeciąg czasu pod namiotami koczował, w. książę uważał bowiem obozowanie pod gołym niebem za najlepszą szkołę dla żołnierza; ściągał też zwykle z całego Królestwa wszystkie pułki piesze polskie i rosyjskie, jak również i całą artylerję, pod Warszawę i nie mógł się dość nagniewać, że dla braku pomieszczenia we wsiach sąsiednich, oprócz kawalerji gwardji, nie mógł więcej nad jeden pułk jazdy polskiej sprowadzić.

Letni obóz pod Warszawą nie był też prostym koczowiskiem wojska, dorywczo obranem, lecz obozem, założonym systematycznie i zamieszkałym stale według naprzód wskazanego porządku. Wsie i miasteczka nasze mogły brać wzór z obozu, którego place i ulice, wysy-

pane miałkim piaskiem a obłożone darnią, schludne namioty i ozdobne ogródki pod względem smaku budowy i czystości utrzymania ubiegać się mogły o lepsze z najpiękniejszymi dworkami.

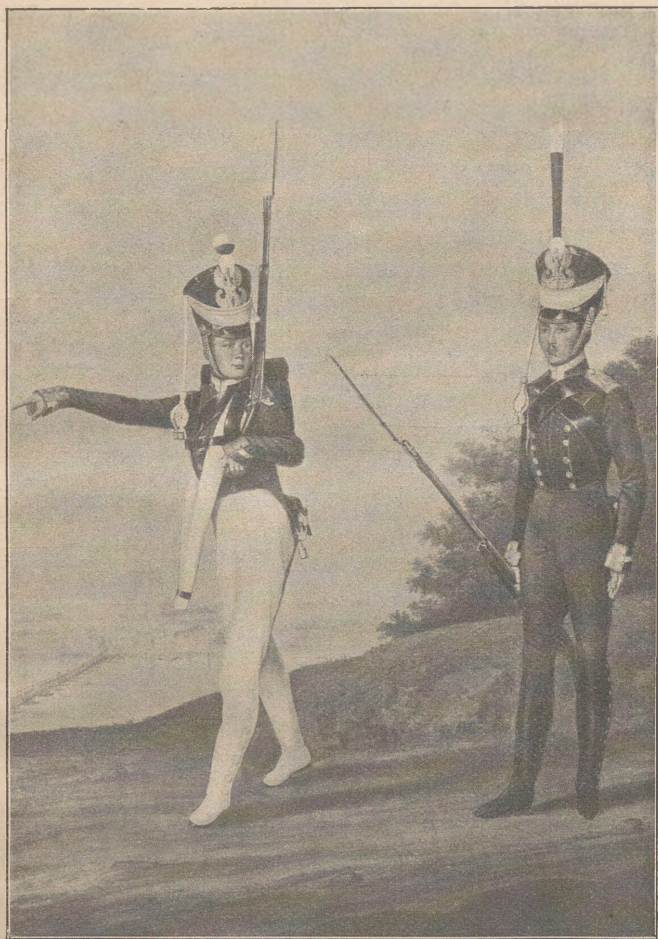
Pierwszą dzielnicę obozu tworzyła gwardja rosyjska piesza z głównym odwachem na czele, drugą pułk grenadierów gwardji polskiej i bataljon saperów; dalej w równoległych linjach leżały dzielnice innych wojsk i artylerji. Nasz pułk mieścił się zawsze w pierwszej linii czwartej dzielnicy, mając na przodzie odwach pułkowy i piękny na biało pomalowany barak Szembeka, osadzony w gustownym ogródku. Płócienne namioty, okopane wokoło, zamieszkiwali żołnierze po osiemnastu w każdym namiocie. Mój namiot stał za kompanją i był zarazem kancelarją kompanji.

W baraku Szembeka pełno bywało odwiedzin z miastą i gości z obozu. Szczególniej dzień śś. Piotra i Pawła w owym roku uroczyście był obchodzonym. Zeszło się bowiem święto jego imienia wraz z legitymacją hrabiostwa, ogłoszoną przez dzienniki warszawskie.

Szembekowi przycinano częstokroć, że jest pruskim hrabią i że tytułu, nadanego ojcu przez zagranicznego monarchę, bez zatwierdzenia heroldji Królestwa w Polsce używać nie może.

Otóż Szembek złożył dowody wyniesienia jego rodziny do godności hrabiowskiej; a gdy wyznaczona ad hoc komisja dowody te sprawdziła, hrabiostwo zatwierdziła i orzeczenie swe w pismach publicznych na kilka dni przed imieninami ogłosiła, zdawało się przy dźwięku muzyki pułkowej i dymie samowarów, że św. Piotr rozsądzi barak pułkownika od samych pękających butelek szampana.

Ta uciecha w baraku Szembeka była wydarzeniem niezwykłym, wywołanem obchodem rodzinnego święta. Zwykle panował w nim poważny spokój, przerywany niekiedy wesołą pogadanką lub żartobliwym śmiechem osobistych przyjaciół Szembeka.



**Pułk 1-szy strzelców pieszych.**

Podoficer bataljonu 2-go w zupełnym ubiorze letnim i podoficer karabinierów w ubiorze paradnym zimowym.

(Podług obrazu J. Łukaszewicza z r. 1823).

W barakach innych pułkowników i generałów działo się częstokroć inaczej. Sąsiedztwo o ścieżkę z bogatymi a rozpustnymi oficerami gwardji rosyjskiej demoralizowało wielu naszych wojskowych. Gra w karty i piątki rozpowszechnione były bardzo.

Barak pułk. Sierakowskiego, dowódcy 3-go pułku strzelców pieszych, w najbliższym sąsiedztwie naszych namiotów stojący, był ulubionem miejscem schadzki wyznawców Faraona.

Tam brzęk złota i srebra, jakby kajdanów pokutującego ducha, odzywał się zwykle do dnia białego, do wystrzału z armaty, który ze wschodzącem słońcem dawał znak do rannej pobudki i powstania na nogi.

Przy liczniejszym zgromadzeniu, lub w zamiarach hazardowniejszego przedsięwzięcia, wnoszono się cichaczem na całą noc do Warszawy, zwykle do kwatery pułk. Siemiątkowskiego<sup>33</sup>). Tam zgrywano się nieraz do białej nitki; a gen. Kuruta<sup>34</sup>), guwerner w. księcia, a później jego przyboczny urzędnik i doradca, gen. jazdy i szef policji tajnej Roźniecki, gen. Knorring<sup>35</sup>), Markow i Strandmann<sup>36</sup>), dowódcy gwardyjskich pułków jazdy rosyjskiej, byli nieodstępnyimi towarzyszami u zielonego stolika.

Sierakowski, jako żołnierz, używający najlepszego imienia, wsławiony w wojnie neapolitańskiej i odznaczony wielu orderami, nie umiał opanować szalonej namiętności do gry nad siły.

Niewczas, przesycenie trunkiem i zawody, doznawane od zmiennego szczęścia, pozbawiając go nieraz spokojności umysłu i pieniędzy, których zawsze wiele potrzebował, zapalały go nieusprawiedliwionym gniewem i wrogo usposabiały względem podkomendnych oficerów i żołnierzy. Kasa i komora pułkowa zawsze były puste, a pułk brudny i źle odziany. Gniew w. księcia, jak piłka, rzucona pułkownikowi, spadał zwykle z coraz większą gwałtownością na dowódców kompanji, a z nich na grzbiety biednych żołnierzy.

Bicie szeregowców i awantury z kapitanami bywały

na porządku dziennym; odbywały się one zwykle nie w cztery oczy, lecz przed frontem kompanji, częstokroć w taki sposób, że Sierakowski, przejrzawszy kompanję, stawał na prawem skrzydle, przed dobozami, a zmierzwszy którego z nich przenikliwym wzrokiem, wołał podniesionym głosem: „To ty, hyclu, śmiejesz się z tego, że kapitan do lustracji przyprowadził tak brudną kompanję?.. kapitanowi wolno być flejtuchem, lecz wara tobie, dobozowi, wyśmiewać się z brudów kapitana!”

Wobec podobnego postępowania, kto mógł, wynosił się zawczasu z pod komendy Sierakowskiego. Nikt nie chciał oddać syna do 3-go pułku strzelców, dlatego oficerów dystyngowanych i sierżantów lepiej wychowanych w pułku nie było.

Przebrała się jednak miarka nadużyć Sierakowskiego.

Jakoś w owym czasie szembekowskiego festynu wracał Sierakowski, zmyty na czysto, przed wschodem słońca do obozu. W drodze spotkał się z wyładowanym wozem żydowskiego furmana. Woźnica Sierakowskiego, żołnierz niefrontowy, gdyż cywilnych sług dla złego obchodzenia się z nimi dostać nie mógł, zjechał mu z drogi.

— To ty, hyclu, będziesz żydom zjeżdżał z drogi?.. dam ja ci naukę! — zawołał Sierakowski, a przybywszy do obozu, zamiast do swego baraku, zjechał przed namiot kancelarji pułkowej.

Pisarze i żołnierze służbowi, zaskoczeni znieacka, rozmarzeni snem, który pokleił ich powieki, nie zerwali się odrazu na równe nogi i nie stanęli frontem przed niespodziewanym gościem. Na nich ostudził więc Sierakowski swój gniew pierwszy; dostrzegłszy bowiem buty uniformowe, oprawione w prawidła, wyjął z nich strzałkę i użył do potężnego wytrzępania, gdzie mógł i trafił, rozespanych. Następnie zawołany wachmistrz od pociągów ściągnął z kozła furmana i wyliczył mu w obliczu pułkownika 25 kijów.

Tajna policja wiedziała aż do najdrobniejszych szczegółów o wszystkim, co się dzieje w koszarach i w obozie, a że i w niej znachodzili się ludzie z sercem i sumieniem, więc jeden z jej członków ujął się za biednymi żołnierzami. Napisano sążnistą suplikę, wyliczono nadużycia pułkownika, wyprowadzono z obozu owego furweza i ukryto w domu pod Karczochem, w alei, prowadzącej od kościoła św. Aleksandra do Belwederu.

Ostrożność ta była konieczną, albowiem komisarze policji w rannych godzinach, w których przejeżdżał w. książę na plac Saski lub do obozu, zatrzymywali zwykle osoby, które zabiegały w. księciu drogę dla oddania prośb i zażaleń, i byliby niewątpliwie sprzątnęli i owego ciurę obozowego.

Ciura, usłyszawszy w ukryciu dobrze mu znany a do grzmotu podobny turkot ciężkiego pojazdu w. księcia i dostrzegłszy pędzącą cwałem historyczną czwórkę kasztanów, zaprzęzoną w poręcz, wyleciał śmiało na gościniec, trzymając do góry w lewej ręce prośbę, a w prawej na dół furazerkę.

Spostrzegł w. książę żołnierza, kazał stanąć, odebrał prośbę, a przeczytawszy napis, zabrał ze sobą od dawcę, zawiózł na odwach pod Białego Orła<sup>37)</sup>, kazał wziąć w areszt i odjechał do obozu.

W obozie, po przeglądzie oddziałów, przeznaczonych na zmianę wart, po odprawieniu adjutantów i posyłek w baraku Stasia Potockiego, dowódcy I-szej dywizji piechoty, w. książę, zgromadziwszy około siebie zebranych na wachparadę generałów i pułkowników, wydobył z zanadru skargę i kazał ją w głos czytać majorowi Aksamitowskiemu<sup>38)</sup>, zastępcy komendanta placu Warszawy, mówiąc: „Słuchajcie, Panowie, was to obchodzi, ja nie wiem, o co rzecz idzie“.

Po odczytaniu pierwszych ustępów zażalenia struchleli obecni, zbladł Sierakowski, poczerwieniał w. książę; a gdy i imię Siemiątkowskiego, pułkownika ze sztabu w. księcia wymówione zostało, przerwał w. książę dalsze

czytanie, krzyknawszy chrapliwym głosem: „Dość, dość tego, niech sąd rozstrzyga!“ — a wyrwawszy skargę z rąk czytającego, rzucił ją audytorowi dywizji Tarnowskiemu<sup>39</sup>), nakazał ściśle śledztwo, uwięzienie Sierakowskiego i w największym gniewie z obozu wyjechał.

Gniew w. księcia był już zapowiedzią wyroku potępienia na oskarżonego; a że zwykle po upadku groźnego olbrzyma wobec ofiary, powalonej na ziemię i bezsilnej, nie brakuje na oskarżycielach, faktach i świadkach, przeto i śledztwo, przez w. księcia pilnie dogłądane, wykryło niemały szereg grzechów i nadużyć Sierakowskiego.

Sąd wojenny, złożony z reprezentantów wszelkich stopni wojskowych aż do sierżanta na dół, rozważywszy winę pułkownika i mając na uwadze rozcietrzewienie się w. księcia, wydał wyrok bardzo surowy, gdyż oprócz pozbawienia znaków honorowych, zdegradowania na prostego żołnierza, jeszcze i na kilkunastoletnie więzienie w twierdzy.

Wyrok, przedłożony w. księciu do zatwierdzenia, przejść musiał przez ręce gen. Kuruty, jako szefa kancelarii wojskowej w. księcia. Przebiegły Grek, mając na sumieniu Sierakowskiego, a w kieszeni niejedną brylantową tabakierkę, a może i niejeden z jego tysiączków, stawianych na kartę, dopóty biegał po wszystkich pułkownikach wojska polskiego i tyle rozprawiał o zagrożonym honorze wojska, iż wymógł na nich podpisanie przygotowanej prośby o ułaskawienie osądzonego.

W. książę, ów prawdziwy Rosjanin w Warszawie, a polski patriota w Petersburgu, który zawsze i wszędzie szczyił się i chełpił wojskiem polskim, które wychował i stawiał je za wzór do naśladowania na dworze swojego brata, zakrywał starannie ujemne strony naszej armji i tłumił wszystko, co rozgłoszone, ubliżać mogło honorowi wojska lub naruszać jego piękne imię; chętnie też w przystępie dobrego humoru, który Kuruta doskonale przysposabiać i wybadać umiał, prośbę pułkowników

przyjął, a będąc z woli cesarza nieograniczonym panem życia i wolności żołnierzy, złagodził wyrok, odpuszczając karę haniebną degradacji i więzienia.

W ich miejsce w. książę odebrał dowództwo pułku Sierakowskiemu, wydał go z czynnej służby, ograniczył na połowę pensji, czyli umieścił na reformie i osadził pod dozorem policyjnym w małym miasteczku Serocku, z którego pod żadnym warunkiem wydalać się nie mógł.

Siemiątkowski wyszedł z tej przygody obronną ręką; a wyrok w. księcia, wprowadzony natychmiast w wykonanie, zmieniała dopiero noc listopadowa. Legł w niej trupem od kul naszych, obok Saskiego dziedzica, posunięty na stopień generała brygady Siemiątkowski, a Sierakowski<sup>40)</sup>; wyniesiony na dowódcę 17-go pułku piechoty, odznaczył się ojcowską troskliwością o rannych żołnierzy, wielkim poświęceniem i męstwem w korpusie Giełguda, przerznął wraz z Dembińskim od Kurszan do Warszawy i zdobył w tym pamiętnym pochodzie pochwałę Sejmu polskiego i szlify generalskie.

---

## VII.

### Samobójca. Pobyt ces. Aleksandra w Warszawie. Szkoła Lankastra.

Wiosna 1825 r. skupiła nas znowu w bataljony; a rozkaz, zawiadamiający o zamiarze przyjazdu cesarza Aleksandra dla otwarcia sejmu, powołał nas do Warszawy. Najprzód ściągnięto nas do komory pułkowej w Płocku, a tam krawcy, szewcy i puszarze wzięli nas w obroty. Po kompanjach tylko szydła, igły i młotki warczały; a za dni kilkanaście cały pułk, jak lalka wystrojony i świeżo obszyty, gotowym był do dalszego pochodu.

Moja kompanja rzłożoną była w owym czasie w jednej z kolonji niemieckich pod Płockiem. Ja mieszkałem w domku szewca, obarczonego sześciorgiem dzieci, a pobyt u niego pozostał mi pamiętnym z kawy, którą mnie gospodarstwo raczyło. Trudnili się oni obok swego rzemiosła wyrobem cykorji, którą w niedzielę na sprzedaż do Płocka nosili, a powracając kupowali kawy za 6 groszy. Otóż ten zapas kawy przeznaczony był na cały tydzień dla ich rodziny i dla mojej osoby, a zatem dla głów dziewięciu. Tej kawy z domową cykorją gotowano codziennie na śniadanie cały garniec, do którego gospodyni w miejsce cukru wpuszczała łyżkę praśnego miodu. Gospodarz obdzielał nas chlebem ze smalcem wieprzowym, a był tak wielkim mistrzem sztuki krajania, iż odrobinę smalcu, na koniec noża pochwyconą, umiał jednym pociągnięciem ostrza rozprowadzić po kromkach, krajanych na całą długość chleba. Za kawę tę wraz z obiadem i wieczerzą płaciłem rubla na dni 10; a przy ciągłym ru-

chu ciała, młodzieńczy żołądek wyrabiał i zaostrzał smak do potraw tak dalece, że kuchnię pani szewcowej dzisiaj jeszcze wyżej stawiam nad słynną garkuchnię paryskiego Palais Royal, we dwadzieścia lat potem z przymusu odwiedzana.

Po wejściu do Warszawy kompanja moja rozmieszczoną została na Lesznie, a ja się dostałem do mieszkania jednego handlarza koni wierzchowych i powozowych, gdzie mnie zaraz na wstępie spotkało przykre a niespodziewane zdarzenie.

Był w mojej kompanji podoficer Bugajny, stary żołnierz, służbista, postawa piękna i marsowa; a choć o nim kontrola pułkowa, przez kolegów z ruska podrzeźniana, wspominała, że „nieznajet ani czytaty ani pisaty“, to jednak był słynnym z czyszczenia pasów, które z pod jego ręki wychodziły, jak z lakierni, a co wówczas było jedną z głównych kwalifikacji na podoficera.

Otóż, jak poprzednim tak i tym razem, żołnierze po wejściu do Warszawy, jakby parafianie jacy, byli w pierwszej chwili oszołomieni widokiem i uciechami wielkiego miasta. Trudno ich było na kwaterach dotrzymać, w karności i w porządku dopilnować. I mój Bugajny wymknął się zaraz pierwszego wieczora po apelu na miasto i wężej nie powrócił.

Rano poszedł oczywiście raport do kapitana o Bugajnym, a z powrotem wrócił rozkaz do poszukiwania zbiega. Ponieważ Bugajnego znali najlepiej żołnierze z jego sierżantstwa, więc podzieliłem ich na 5 oddziałów i puściłem w pogoń na Warszawę. Sam, udawszy się na plac Saski do wachparady, oberwałem tam potężnego kpa za Bugajnego i rozkaz, w razie przychwycenia, osadzenia w areszcie w mojem mieszkaniu i przygotowania narzędzi do egzekucji.

Niemile było przywitanie z Bugajnym, gdy za powrotem zastałem go przed moją izbą pod strażą żołnierzy. Zadrżałem na jego widok, gdyż o interwencji pani kapitanowej nie mogło być mowy, a mnie czekały obo-

wiązki nietylko rachmistrza, ale i oprawcy. Za ledwie posłałem żołnierza z doniesieniem o przychwyceniu Bugajnego, gdy tenże, wyprosiwszy się na stronę, powtórnie umknął. Ślę drugi odmienny raport, odbieram przez pełnomocnictwo i osobiście potężnego nosa, ciężkie zaklęcia i straszne groźby. Rozsyłałm znów żołnierzy, biegam sam po mieście, nie wiedząc na razie, co począć. Trzeciego dnia schwymano dopiero bratka gdzieś w szynkowni na Furmańskiej ulicy, pijanego, zawałanego, z obdartymi galonkami od munduru i z kozikiem w ręku, którym się bronił przy aresztowaniu.

Dostawszy przecież tę rybę w moje ręce, zdjąłem z niej mundur, spodnie i buty dla udaremnienia możliwej ucieczki, wypożyczyłem na chwilę komórkę, na skład opału przeznaczoną, i w niej Bugajnego zamknąłem, postawiwszy żołnierza przed drzwiami.

Po złożonym raporcie o ujęciu włóczęgi, gdyż za zbiega podany nie był, rozkazał kapitan Michalski zgromadzić się podoficerom kompanji w mojem mieszkaniu na apel wieczorny i sam, jak Heród rozżłoszczony, na odbycie sądu i egzekucji wyroku przybiegł. Rozkazuję ordynansowi ubrać Bugajnego i przyprowadzić z komórki do mojej izby. Jakież jednak ogarnęło mnie przerażenie, gdy po chwili wyczekiwania powraca poseł zalekniony i błady z doniesieniem, że Bugajny przyjść nie może, bo wisi...

Biegnę do komórki, a za mną pobiegł Michalski, — i w samej rzeczy spostrzegamy Bugajnego, wiszącego u stragarza. Wspinam się więc po okragłakach, przecinam powróż pałaszem, lecz w tej chwili wisielec wali się na mnie, strąca ciężarem swym z okragłaków, i tak obydwa spadamy na kapitana Michalskiego, gasimy światło w jego ręku, a jego samego przewracamy na ziemię. Kapitan, zapyłony i zaperzony, wydobywa się z pod trupa, wylewa cały strumień przekleństw na moją głowę i miota zarzuty, żem winien śmierci Bugajnego i jego duszę wezmę na sumienie.

Wyrazy te, wygłaszane wśród zbiegowiska ludzi i podoficerów kompanji, dotknęły mnie do żywego. Ze łzami w oczach pisałem i rozsyłałem raporty do adjutantury, do komendy placu, do audytora i t. p. Około godziny 11-tej w nocy zebrali się dopiero lekarz, audytor, kapitan placu Wierzbicki <sup>41)</sup>, a obejrzawszy miejscowość i trupa, spisali protokół oględzin i zdarzonego wypadku.

Kapitan Wierzbicki, widząc mnie pomieszany i łzawym, zapytał o przyczynę, a gdy ją wyjawilem, uspokoił mnie słowami:

— Bądź dobrej myśli, miał się powiesić, to się powiesił i na tem basta. Michalski jest moim znajomym, pomówię z nim jutro, a zapewne i słowa gniewu odwoła.

Podziękowawszy za życzliwość i dodanie otuchy, spędziłem resztę nocy obok wisielca, nie zmrużywszy oka, gdyż zdarzenie to na mój młody umysł niezwykle zrobiło wrażenie.

Nazajutrz od samego rana odbywały się znów komisje w mojem mieszkaniu, a przed każdą potrzeba było tłumaczyć się i składać wyjaśnienia. Nie obeszło się i bez odwiedzin Monu-bodzieja i gorzkich wyrzutów za niedozór żołnierzy. Nareszcie przyszedł rozkaz z pułku wykopania gdzie za miastem w gliniankach dołu i zakopania trupa. Wysłałem też zaraz podoficera i 4 żołnierzy na miejsce, przeze mnie wskazane, i zamówiłem na wieczór furgon pułkowy dla wywieżenia Bugajnego. Stało się według rozkazu; lecz żołnierze od pociągów nie mogli pociemku odszukać owych glinianek i grobu, i na niemałe zmartwienie powrócili z trupem do mego mieszkania; a że furgon musiał odejść do koszar, więc i trupa na noc w stacji pozostawiono. W dniu następnym, obawiając się znów zawodu, dopełniłem sam z żołnierzami smutnego obrzędu złożenia zwłok samobójcy do grobu; a choć się jego widoku nakoniec pozbyłem, długo jeszcze nie mogłem się uwolnić od nerwowego rozstroju i drażliwości umysłu.

Za przybyciem cesarza Aleksandra w końcu kwietnia 1825 r. do Warszawy <sup>42)</sup> rozpoczął się szereg zwyk-

łych uroczystości dworskich. Cesarz zagaił mową od tronu otwarcie sejmu <sup>43</sup>), a sejm z senatem naodwrot wyprawił cesarzowi świetny bal na 2.000 osób. Chóry śpiewały umyślnie na tę uroczystość ułożony hymn Ludwika Osińskiego, którego zwrotkę:

„Witaj królu polskiej ziemi,  
Ojcze! między dziećmi twemi“

lud powtarzał z radością i cieszył się jawnie i głośno z pobytu dobrego monarchy.

Pułk nasz sprezentował się na świetnej rewji, w dniu 8-ym maja na wielkim placu wojennym odbytej, i w ciągłym zostawał ruchu z powodu nieustających parad, wart i przeglądów. Trudy, połączone z temi przedstawieniami publicznemi, żołnierz znosił chętnie i cierpliwie, gdyż cesarz Aleksander z powodu niewysłowionej dobroci serca i szlachetnego postępowania, przez wojsko polskie nadzwyczaj był lubionym.

Wysoka postać cesarza, choć nieco pochylona, lecz w ruchach niewymuszona i swobodna, wyraz twarzy łagodny, zwykle uśmiechnięty, ośmielały żołnierzy do jego osoby, i dlatego z największą ochotą i radością odchodziły posyłki do cesarza. W ciągu dłuższego pobytu cesarza w Warszawie zauważono jednak niezwykłą smętność na jego bladym obliczu lub uśmiech melancholijny, jakby zwiastuny blizkiego zgonu, który też w samej rzeczy niedługo potem nad morzem Azowskiem nastąpił <sup>44</sup>).

Dzień 3-ci czerwca, jako dzień, poświęcony cesarzowi, uczciło wojsko polskie nabożeństwem w obozie, wśród którego po trzykroć dawano ognia ze 100 armat odrazu, następnie wielkim przeglądem, a w końcu wspianiałym fajerwerkiem, na który wyległa liczna ludność z Warszawy. Cesarz przyznał wojsku gratyfikację po rublu, blizko 100 podchorążym podporucznikowskie ryngrafy <sup>45</sup>), a wielu wyższych oficerów posunął w stopniu lub w randze.

Awansem tym pożegnał cesarz Aleksander armję

polską na zawsze; a choć następstwa tego awansu przedłużyli oficerami pułki tak, iż kompanje zamiast dwóch podporuczników, trzech a nieraz czterech liczyły, a wskutek tego ustały w latach późniejszych nominacje na oficerów, to przecież błogosławiono szczerze i wspominano długo pamięć sprawiedliwego i dobroczynnego monarchy.

Pamięć tę odżywiał w wojsku nowy inspektor piechoty, jakiego armja nasza w osobie czcigodnego gen. dywizji Izydora Krasińskiego <sup>46)</sup> zyskała.

Ten ze wszech miar szacunku godny starzec łagodnością i wyrozumiałością postępowania zjednał sobie od razu serca wszystkich wojskowych. On wpłynął na polepszenie bytu żołnierzy, na złagodzenie szorstkiego postępowania z nimi, ograniczył karę chłosty, orzekaną arbitralnie przez dowódców kompanji, nieraz bez sprawiedliwej przyczyny lub umiarkowanej miary, i zajął się gorliwie umysłowem<sup>o</sup> wykształceniem żołnierza.

W tym celu podzielono szeregowców na 4 klasy. Żołnierze klasy 1-szej wykluczeni zostali z pod chłosty, a za przewinienia służbowe przenoszeni byli do 2, 3 i 4 klasy. Dopiero w klasie 4-tej, za wyrokiem sądu koleżeńskiego, posługiwano się chłostą o ograniczonej liczbie rązów lub w miejsce kary nakazywano roboty publiczne, jak zamiatanie przed koszarami, czyszczenie kloak i t. p.

W kompanjach zaprowadzono naukę czytania i pisanja, czyli, jak wówczas zwano, szkołę Lankastra <sup>47)</sup>; a pocieszającym był widok naszego obozu w dni słotne, gdy na całej linii po namiotach, jak żaby po dołkach, skrzeczeli żołnierze, powtarzając a, b, c, lub kreślili po piasku liczby 1, 2, 3.

Reformy gen. Krasińskiego nie podobały się w. ks. Konstantemu, a obawiając się, ażeby nowy generał piechoty nie rozbudził uspionego ducha żołnierzy i nie wyrobił w najniższych warstwach społeczeństwa poczucia godności człowieka, usunął go od zarządu piechotą, chociaż rozklasyfikowanie żołnierzy i szkołę Lankastra zatrzymał.

---

## VIII.

### Bal oficerski. Akademicy. Pogrzeb Zajączka. Kąpiel wiślana.

Po zwinięciu obozu na początku jesieni 1825 r. odmaszerował nasz pułk w okolice Sochaczewa, a sztab pułku z 1-szym bataljonem zamieszkał przez zimę w Rawie.

Pułk. Szembek, lubiany powszechnie z powodu wesołego usposobienia i towarzyskiego pożycia, zaznajomił się wkrótce z obywatelami okolicy.

Ze znajomości wypływały liczne odwiedziny, polowania, śniadanka, a za nadejściem karnawału nieustające zabawy i kuligi. Zwykle zapraszano pułkownika z całym korpusem oficerów, a on dopiero, uwzględniając prywatne stosunki gospodarza, dobór towarzystwa i rozmiary zamierzonej zabawy, wybierał odpowiednią liczbę oficerów, gładszej wychowanych, do tańca lub muzyki zapalonych, i z nimi zjeżdżał w odwiedziny.

Ulubieńcem pułkownika był Franciszek Bobiński <sup>48)</sup>, w r. 1831 ostatni dowódca naszego pułku, piękny i odważny oficer a zawołany tancerz i słynny mistrz oberka; bez niego nie obeszła się żadna zabawa lub wesele. Zwykle nad ranem, gdy towarzystwo, znużone trunkiem i tańcem, ziewać i o powrocie do domu myśleć zaczynało, brał Szembek skrzypeczki do ręki, a krzyknąwszy na Bobińskiego: „A niema ciebie tutaj, Monu-bodzieju!..“ zapalał na nowo zabawę, którą dopiero gasiło wschodzące słońce i na stół znoszone półmiski z bigosem.

Odstrzeliwając się obywatelom, oficerowie naszego pułku wyprawili wielki bal w Rawie, który w ówczesnej kronice karnawałowej niepoślednie miejsce zajął.

Salę balową przystrojono w broń, chorągwie i rynsztunki wojenne, cukry i ciasta sprowadzono z Warszawy, a bufet zaopatrzone w doborowe potrawy i wina. Muzyka pułkowa pod kierunkiem kapelmistrza Czapplewskiego, znanego kompozytora skocznych mazurów i radawaszek, a ucznia słynnego Jana Derki, co na 24 tręb urządził w wojsku polskim muzyki konne i strzeleckie, zaco mu na pogrzebie 5 muzyk pułkowych przygrywało, dodawała animuszu zabawie. Tańce i hulatyka, ku powszechnemu zadowoleniu gości i gospodarzy, przeciągnęły się do jasnego poranku i skończyły zupełnem wysuszeniem balowej piwnicy.

Te zażyłe i serdeczne stosunki oficerów z obywatelami nie podobały się w. księciu i dały powód do pewnych wyjaśnień i tłumaczeń pułk. Szembeka w Belwederze i były prawdopodobnie przyczyną, iż oprócz owej zabawy, więcej podobnych balów pułkowych u nas nie bywało.

W Rawie doszła nas wiadomość o nagłej śmierci cesarza Aleksandra i o niespodziewanem wstąpieniu na tron zamiast naszego w. księcia i wodza, jego młodszego brata, w. ks. Mikołaja. Wiadomość ta wywołała u jednych smutek za zgonem monarchy, prawdziwie życzliwego Polakom, u innych radość z powodu nieprzewidzianego awansu szefa naszego pułku na cesarza, a tem samem i obudzonych nadziei, posunięcia się w randze lub zyskania orderów.

W pułku poczęto nas koronować na wszystkie strony. Orły u kaszkietów, podpinki, guziki, patrontasze, otrzymały korony a naramienniki N. I.

Ktoś dowcipny, nie domyślający się rosyjskiego Nicolao, zapytał, czyby nasz pułk nosił jeszcze dawne imię cesarza Napoleona I? Żart dostał się do uszów w. księ-

cia, który też na niemałe zmartwienie naszych krawców i komory pułkowej, zamienić kazał rosyjskie N. na polskie M.

Na obrzęd pogrzebowy cesarza Aleksandra przyszliśmy w początku kwietnia do Warszawy i tworzyli szpalery około Mennicy. Obrzęd ten opisany został piórem i rysunkiem w olbrzymiej książce<sup>49)</sup> tak drobiazgowo, iż nic więcej o nim opowiedzieć nie można. Jeden szczegół jest może nieznanym, że młodzież akademicka urządziła wówczas pewien rodzaj demonstracji i pojawiła się w pochodzie pogrzebowym w mundurach starych i połatanych, obsytych zbrudzonemi tasiemkami i z oznakami żałoby na ramionach, więcej do ścierek, niż do kropy podobnych. Tem jaskrawiej odbijało od niej kilka par prawników z partji konserwatywnej, czyli tak zwanych „Uczniów Szremskich“, przy szpadach, w kapeluszach stosowanych i w galowych mundur-fracach. W naszych szeregach dziwiono się powszechnie, że w. książę, który w owym dniu, jak pruski dyrektor policji, z konia pilnował sam porządku pogrzebowego, jawiąc się raz na początku, to na końcu tegoż, nie dostrzegł uchybienia młodzieży. Zdaje się, że wzrok w. księcia, tak bystry w śledzeniu i odkrywaniu najdrobniejszych usterek naszego stroju, nie dopisał owego poranku, gdyż przy znanej porywczosci umysłu, pomimo fioletowej szuby rektora i poważnych tog profesorów, byłby niewątpliwie wypędził akademję z żałobnego pochodu.

Młodzież akademicka zostawała już wówczas w naprężonych stosunkach z rządem i z w. ks. Konstantym. Podejrzewano ją ciągle o spiski, szpiegowano, w mieszkaniach przetrząsano, ze szkół wydalano lub w aresztach więziono.

W owych czasach poznałem się z niejakim Cyprysińskim, o którym opowiadano następujące zdarzenie. Wskutek donosu policji tajnej o gromadzeniu się akademików w pewnem mieszkaniu na Starem Mieście, otrzymał komendant placu Aksamitowski polecenie przychwycenia

zgrupowanych na gorącym uczynku, przeszukania mieszkania i przyaresztowania mniemanych spiskowych.

Aksamitowski ze śledziami, jak wówczas nazywano policjantów<sup>50</sup>), dopełnił ściśle wszystkiego po ukazie, a znalazłszy we wskazanem mieszkaniu 7 studentów, zabrał ich z książkami szkolnemi, osadził na głównym odwachu i złożył raport w. księciu.

W. ksiązę kazał sobie przedstawić przyaresztowanych i rozpoczął sam indagację, na którą imieniem kolegów współaresztowany Cyprysiński odpowiadał. Tłómaczenie szło dość gładko w tym kierunku, iż zebrania uczniów ożywione były duchem religijno-moralnym i miały na celu oprócz wspólnej nauki niewinną rozrywkę śpiewu.

— Aha! — krzyknął w. ksiązę, — wy śpiewacie, — a co śpiewacie?.. Zapewne nie godzinki?

Cyprysiński dla przekonania, iż śpiewają tylko obojętne, całkiem niepatriotyczne piosenki studenckie, uzyskawszy pozwolenie w. księcia do powtórzenia śpiewu, zaintonował pieśń o „Staroście“; a gdy chór dopowiedział o „moście“, wyleciał w. ksiązę jak oparzony, krzycząc:

— Poszły won duraki; Aksamitowski, puszkaj tę hołotę.

Cyprysiński odznaczał się wielkim dowcipem i zdolnościami do nauk. Koledzy kochali go bardzo, a tylko wrodzona lekkomyślność skazywała go na ciągłą walkę o chleb codzienny. Żył też jak drugi Bijas, omnia sua z sobą nosząc. Sprawdziłem to raz osobiście, spotkawszy go o 5-tej zrana na ulicy, niosącego na grzbiecie siennik, miotłę, cybuch i dzbanek.

— Dokąd peregrynujesz, kolego? — zapytałem Cyprysińskiego.

— Przeprowadzam się — odrzekł.

Domyślając się, że cały majątek ze sobą niesie, dorzuciłem żartobliwie:

— Czy tylko czego nie zapomniałeś w dawnem mieszkaniu?

— Sądzę, że nie, bo śmieci należą się gospodarzowi wzamian za komorne, — wypowiedział z ironicznym uśmiechem zapytany i poszedł dalej.

Rok 1826 był rokiem wspaniałych pogrzebów. Za ledwie bowiem ukończyły się uroczystości pogrzebowe i nabożeństwa za spokój duszy cesarza Aleksandra, pogrzeb słynnego chirurga Dybka<sup>51</sup>), któremu wielu wojskowych zawdzięczało lekarską pomoc, gdy umarł w końcu lipca ksiązę Zajączek, namiestnik Królestwa.

Nie roszczę sobie prawa do wypowiedzenia własnego sądu „o ćwierć-królu bez nogi“, jak Zajączka przezywano, lecz powtórzyć winienem podówczas powszechnie panujące zdanie, iż Zajączek, jak przegrał wszystkie bitwy, w których dowodził, tak również pobitym został na głowę i na polu działań administracyjnych w kongresowym Królestwie.

Ten fatalizm, jaki ciążył zawsze nad jego głową, pozbawił go w r. 1812 nogi nad Berezyną, wawrzynów w powstaniu Kościuszki i w legionach Dąbrowskiego, wymroził również i miłość w sercach rodaków. Nad jego zgonem nikt łez nie ronił, słów żalu i współczucia nie głosił; a tylko pompa pogrzebowa przypominała obecnym, że umrzeć musiał człowiek wielki, skoro królewskie honory oddawano zwłokom.

Cała armja polska, zgromadzona, jak zwykle, w letnim naszym obozie, wraz z naszym pułkiem wyruszyła na pogrzeb pod Wolę i utworzyła otwarty czworobok wzdłuż gościńca, wiodącego do Opatówka pod Kaliszem, dokąd zwłoki Zajączka przewiezione być miały.

Po nabożeństwie żałobnem w kościele św. Krzyża, nadciągnął od Warszawy i wyjechał w czworobok wspaniały kondukt pogrzebowy. Całuny od trumny, złożonej na sześciokonnym karawanie, trzymali 2 ministrowie, 2 generałowie i 2 senatorowie. Przed trumną niesiono ordery, za trumną prowadzono wierzchowca zmarłego. Gwardja polska otwierała i zamykała pochód, w którym mieściło się duchowieństwo świeckie i zakonne, urzędni-

cy różnych władz i w. ks. Konstanty z licznym orszakiem oficerów polskich i rosyjskich.

Przed kościołkiem na Woli zatrzymał się pochód. Księża odśpiewali ostatnie psalmy, pokropiono trumnę, pułki sprezentowały broń, artylerja wygłosiła przepisane salwy, a biskup sandomierski ks. Burzyński<sup>52)</sup>, ów nieustraszony misjonarz, który w Egipcie spotkał się z Zajączkiem w przeddzień bitwy pod Piramidami, z eskortą szaserów konnych gwardji puścił się dalej w drogę ze zwłokami księcia namiestnika.

Po powrocie do obozu, w zwykły sposób bawiliśmy się w wojnę do jesieni, zabijając śmiertelne nudy figlami, jakie gwardji rosyjskiej lub znieawidzonemu Newachowiczowi, dzierżawcy akcyzy, naprzemian były płatane. Są one znane z opowiadań innych osób, jak owo cudowne przemienienie wódki w ocet przez w. księcia, posypanie głów gwardyjskich ziemią i t. p., i z tego powodu ich nie powtarzam. Rozejście się na kwatery zimowe opóźniło w tym roku zapowiedziane przybycie do Warszawy francuskiego marszałka Marmont ks. Raguzy<sup>53)</sup>.

W. ks. Konstanty zatrzymał na jego przyjęcie brygadę kawalerji i naszą brygadę strzelecką, przeniósłszy ostatnią z namiotów do szop obozowych.

Ks. Marmont wraz ze swym adjutantem, generałem Talon, pułkownikiem hr. Caraman i z licznym orszakiem przybył na Powązki i był świadkiem naszych obrotów, na skinienie w. księcia z ogniem i bez ognia odbywanych. Na dzień następny zapowiedziane zostało przesunięcie wpływ tyraljerów na prawy brzeg Wisły.

Był to dzień straszny, dlatego zapamiętałem sobie, iż nazywał się w kalendarzu dniem 15-tym października 1826 r.

Choć jesień była dość ciepła, przecież rankami były przymrozki, które zacienione płytkie wód rozlewy na lód pościnały. Pomimo tego w. książę postanowił nas wykapać w obecności dostojnego gościa.

Należąc do patentowanych pływaków, wyćwiczo-

nych przez Józefa Zaliwskiego, owego partyzanta w latach 1831 i 1833, w wojskowej szkole pływania w Marymoncie, odkomenderowany zostałem nad Wisłę, gdzie z innymi pływakami naszej brygady, całkiem rozebrany, jedynie w krótkich majtkach, w furażerze na głowie i w płaszczu, zawieszonym na ramionach, przeszło godzinę na przybycie książąt wyczekiwałem.

Nareszcie nadjechały powozy z Angielskiego hotelu z Francuzami, przybył i w. ks. Konstanty, uraczył nas zwykłym pozdrowieniem: „Zdrawstwujcie rebiata!“ — my na odwet zabelkotali, jak indyki: „Zdrawia żelajem!“ — porzucili płaszcze i na komendę skakali do wody. Ja, jako podoficer, według instrukcji miałem trzymać przez szmatkę pałasz w zębach, ale że przy podobnych ćwiczeniach, zachłyszawszy się wodą, gubiliśmy w Wiśle pałasze, więc przywiązałem go sobie do okoliczności płóciennych i tak płynąłem, nawołując żołnierzy, jeżeli się który opóźniał i w równej linii nie płynął.

Broń i patrontasze z ładunkami złożone były na małych tratawkach, które płynący za szeregami żołnierze, jak konie zaprzężeni, na pasach parcianych ciągnęli, z tyłu zaś dwaj inni pływacy równowagę traterek podtrzymywali.

Ciężka była to przeprawa. Zdawało się, że nie do zimnej wody, lecz że do waru wskoczyliśmy; lecz jakoś w porządku i szczęśliwie udało się Wisłę przebyć. Dostawszy się na brzeg przeciwległy, chwyciliśmy za broń, rozsypali się w tyraljerów i rozpoczęli ogień, dzwoniąc zębami na grzmot naszych karabinów. Komendę posyłał nam w. książę z lewego brzegu przez trębacza, którą trębacz, co z nami Wisłę przepłynął, powtarzał. Przeszło godzinę trwała uciecha naszego a podziwienie zagranicznego księcia, lecz jak wyglądało nasze ciało, niełatwo sobie wyobrazić można.

Wróciwszy wpływ lub na łodzi wojskowej na lewy brzeg Wisły, zastaliśmy zapowiedzianą gratyfikację po złp. 1 i wódkę, przygotowaną w obfitości. Podpułkownik

d'Hauterive<sup>54</sup>), komendant szkoły pływania, widząc nas granatowych i skostniałych, kazał niektórym wycierać kocami i nie ograniczył się w rozdawaniu racji wódczanych. Ja sam w małych odstępach czasu wychyliłem 4 duże czarki wódki i kłusem z zamrożoną rzeszą puściłem się do obozu z powrotem.

W obozie nie było dostatecznej pościeli, a płaszcz niepodszyty, niewiele dodawał ciepła i dlatego radykalne wygrzanie po tej piekielnej kąpieli nastąpiło dopiero w kilka dni później, gdy objuczeni jak wielbłądy, przepływające piaszczystą pustynię Sahary, znaleźliśmy się w marszu na równinach mazowieckich, dążąc do zimowych legowisk.

---

## IX.

### Szkoła podchorążych pieszych. Obrachunek Srula-Peterka. Zarębianka.

Jednostajność życia wojskowego, spędzanego naprzemian w obozie pod Powązkami lub po kwaterach małych miasteczek, przerwało moje odkomenderowanie do szkoły podchorążych pieszych w Warszawie.

Jaki był cel tej szkoły i jakie postępowanie z nią w. księcia, opowiadać zbyt (55). Są to sprawy powszechnie znane, wielokrotnie opisane, ocenione i osądzone. Nie wykraczając przeciwko grzechowi powtarzania, ograniczę się zatem do przytoczenia samych administracyjnych szczegółów, o jakich nie zdarzyło się mnie czytać w wspomnieniach uczniów tej szkoły.

Za mojem przybyciem, szkoła podchorążych pieszych mieściła się w podłużnym gmachu, służącym niegdyś za mieszkanie dworzanom króla Poniatowskiego, a położonym pomiędzy koszarami jazdy rosyjskiej i letnim pałacem królewskim, Łazienkami zwanym, i liczyła 360 uczniów. Liczbę tę zmniejszono wkrótce do 220, albowiem przyjęto za zasadę, iż każdy pułk piechoty powinien mieć na nauce 16 sierżantów starszych lub młodszych. Pułk grenadierów gwardji, mający o 4 kompanie więcej od pułku linjowego, posyłał stosunkowo więcej, zaś bataljon saperów mniej kandydatów na podchorążych. W szkole umieszczonych było wraz z nami 50 jun-

krów z pułków pieszych gwardji rosyjskiej, stojących w Warszawie, i z bataljonu instrukcyjnego w Skierniewicach, lecz ci podchorążowie mieszkali w osobnych salach, przy stole jadalnym siedzieli razem, a z nami tylko musztrę i niektóre nauki wspólnie odbywali.

Naczelny dozór i kierownictwo nad szkołą spoczywało w ręku podpułk. grenadierów Olędzkiego<sup>56)</sup>, a w dniach ostatnich, gdy szkoła wpadła w podejrzenie wspierania tajemnych spisków, objął dowództwo nad nią przyboczny adjutant w. księcia, generał Trębicki<sup>57)</sup>. Jako oficerowie dyżurni i profesorowie urzędowali wówczas: kapitan Felicjan Drzewiecki<sup>58)</sup>, porucznik Jan Bortnowski<sup>59)</sup>, podporucznicy: Piotr Wysocki<sup>60)</sup>, Antoni Zabłocki<sup>61)</sup> i Stanisław Paczkowski<sup>62)</sup>, wszyscy z pułku grenadierów gwardji. Przy junkrach był Romanowski z wojska rosyjskiego, a wielu innych niższych oficerów ze sztabu głównego lub kwaterymistrzostwa, naprzemian do naszej szkoły, jako instruktorów lub nauczycieli, przeznaczano.

Nauka i umysłowe wykształcenie podchorążych było wielce zaniedbane, a dopiero ku schyłkowi szkoły poczęto uczyć rysunków topograficznych, wyrobu materiałów palnych i wykładać matematykę wyższą, artylerję i nieco strategji.

Główne zajęcia, programem szkoły nakreślone, stanowiły ćwiczenia z bronią w ręku, fechtowanie, pływanie i taktyka, poczynająca się od szkoły plutonu, a sięgająca aż do tajemnic kierowania i obracania dywizją; co wszystko po pacierzu, jaki stanowiło codzienne recytowanie regulaminu służbowego, przy pomocy 2 doboszy i 2 trębaczy odbywało się w najróżnolitszym kierunku.

12 podchorążych odbywało codziennie służbę i pilnowało porządku wewnątrz gmachu, w kuchni, w sali jadalnej i w sypialniach.

Służba domowa w szkole podchorążych liczyła głów 37, a wchodziła w jej skład: feldwebel z 2 pisarzami, gospodarz z podgospodarzem, piwniczny i kredencierz,

minister oświecenia olejem i łojem, golarz i brudziarz, odbierający bieliznę znoszoną a wydający czystą, 2 kucharzy, podkuchty i posługacze.

Mieszkaliśmy brygadami, t. j. po 32 w jednej sali, a jadali razem przy czterech długich stołach, nakrytych białymi rańtuchami, które zamieniono później na czarną ceratę z numerami białymi. Zastawa stołu była prosta, lecz przyzwoita; wazy i salaterki cynowe, talerze fajansowe a miski na pieczone gliniane. Łyżkę, widelec i nóż każdy podchorąży musiał mieć przy sobie; a gdy był na służbie, talerz jego był przewróconym i pod nim nazwisko, na karteczce dla kontroli napisane. Karteczki te odbierał podchorąży, będący na służbie w sali jadalnej, pilnował odbioru naczyń i odesłania jadła na salę dla nieobecnych. Do stołu siadaliśmy według numeru pułków, a półmiski roznosili posługacze, rozpoczynając jednego dnia od prawego, a w dniu następnym od lewego skrzydła.

Spis potraw i liczba porcji były wypisane na tablicy w kuchni, a oficerowie dyżurni i sam w. książę, zwiedzając szkołę, nie zaniedbywali nigdy zajrzenia do garnków i skosztowania jadła. Dzięki tej troskliwości pożywienie było smaczne i obfite. Obiad składał się zwykle z rosółu, sztuki mięsa z chrzanem, ogórkiem lub ćwikłą i z pieczeni z jarzyną. Bułka chleba i butelka piwa dla dwóch były przeznaczone; a do kolacji dawano również chleb i piwo, częstokroć pieczeń z kaszą, a co czwartek ziemniaki, których przy naszym wilczym apetycie gotowano około 6 korcy odrazu.

Na święta Wielkanocne była osobna dotacja, wynosząca blisko złp. 6,000, i dlatego święcone było obfite i sute. Za żywność z opraniem i światłem płaciliśmy miesięcznie po złp. 18, co jednak później na złp. 24 podwyższone zostało. Wogólności administracja szkoły, na samorządzie oparta, była wzorową; oszczędność tworzyły fundusz żelazny, który w chwili wybuchu powstania wynosił złp. 30,000, lecz na wielkie zmartwienie na-

sze ulotnił się wraz z komendantem Olędzkim do obozu w. księcia i więcej nie wrócił.

Egzaminy składane były po dwuletniej nauce, przed w. księciem. Odbyte z dobrym postępem, uprawniały do stopnia oficerskiego w razie awansu, otwartego przez ubytek w pułku. Ze względu jednak, że śmierć nie czeptała się łatwo oficerów polskich, dobrowolne wzięcie dymisji lub przymusowe wykreślenie z kontrol wojskowych wydarzały się rzadko, przeto i posuwanie się na oficerskie szczeble pełzło żółwim krokiem. Nadto pułki piesze, jak powyżej wspomniano, zapchane były oficerami nadetatowymi i dlatego wydostanie się na stopień podporucznika, nawet z 15 latami służby i świetnie złożonym egzaminem w szkole podchorążych, należało do osobliwości, jak nazywaliśmy, równorzędnych pojawieniu komety.

Zjawienie się takiej komety obliczył razu jednego w sposób dość jowialny jeden z moich kolegów pułkowych, sierżant Piotr Grudziński<sup>63</sup>), pod nazwiskiem Peterka Sruła w szkole podchorążych znany; miał on bowiem zwyczaj przechwalania się nieustannie swoim pokrewieństwem z Joanną Grudzińską, żoną w. księcia Konstantego, przyczem się zawsze palcami po rudych faworytach skrobał. A że wszystko, co miało związek lub odnosiło się do w. księcia, było przez nas znieawidzone i zgóry wyszydzane, więc i Grudziński, jak tylko zaczął swoje opowiadania familijne i zajechał ręką do faworytów, każdy z kolegów upominał go zaraz:

— Peterku... Srułu, nie żydkuj, bo cię odeślemy, pomimo twej kuzynki, do rabina.

Otóż ten Peterek pewnego razu, w chwilach wolnych od nauki i musztry, nic się do nas nie odzywał; siedział zamyślony przy swoim stoliku i ciągle coś pisał, kreślił i rachował. Nawoływania, szturchańce, podejrzenia, że talmud tłumaczy, odpychał z gniewem, nie przerywając tajemniczej pracy. Nareszcie dnia trzeciego tej niezwykłej przemiany w jego gadatliwym usposobieniu, gdy po obie-

dzie leżąc na pryczach ułatwiliśmy żołądkom odbycie procesu trawienia, staje na środku sali Peterek, a nakazawszy milczenie i otrzymawszy pozwolenie zabrania głosu, odczytuje patetycznie wyniki swych mozolnych badań nad rozwiązaniem zagadnienia: ile lat potrzeba do życia podchorążemu belwederskiej szkoły, który się już wyuczył komenderowania dywizją, ażeby mógł zostać choćby generałem brygady polskiego wojska?

Wziąwszy za podstawę obliczenia: stały pokój w Europie, liczebną potęgę armji polskiej, z 36,000 do 100,000 głów nigdy powiększyć się nie mającą, i siłę żywotną wyższych oficerów, nie ulegających księżosuszowi i zastosowaniu pałki, przyszedł Peterek do rezultatu, iż podchorąży żyć powinien lat 288, miesięcy 9, dni 22 i godzin 7, ażeby się mógł doczekać buljonów generalskich.

Krzyk oburzenia zerwał się na rachunki Peterka; poduszki i koce, jak grad, posypały się na jego głowę, zwały na ziemię, a po krótkiej chwili, skrobał się Peterek już nie po faworytach za niemiłą przepowiednię.

We dwa lata po tem zdarzeniu, pod ogniem dział nieprzyjacielskich, roznoszących hojnie śmierć i awanse, nieraz żartowaliśmy sobie z proroctwa Peterka.

— A co, Peterku, jakże twój rachunek? Tyś już porucznikiem, Kamilek (podchorąży Mochnacki)<sup>64</sup>) majorem, podporucznik inspekcyjny Wysocki pułkownikiem i dowódcą pułku, — czyż więc wam 286 lat życia potrzeba, byście zostali generałami?

— Pomyliłem się w rachunku, — smutnie odpowiadał Peterek, — lecz obawiam się jeszcze gorszej pomyłki, ażeby te szlify, co nam na ramionach przez jedną noc wyrosły, nie wznosiły się w górę zbyt szybko i kiedyś nie zawisły na haku.

Tym razem sprawdziła się przepowiednia Peterka, lecz nie sprzedajmy biegu wypadków.

Zegarową monotonność klauzury szkolnej, strzeżonej z wojskową surowością, rzadko kiedy przerywała jaka głośniejsza sprawa lub żywsza rozrywka.

Oczywiście na drobnych psotach nigdy nie zbywało, jakie myśl płocha, uczniom właściwa, profesorom i stróżom porządku, nie lubianym lub zgryźliwym, wszędzie i po wszystkie czasy wyrządzać zwykła.

Nie było i nie będzie prawdziwej szkoły bez antreprenera figlów i bez kozła ofiarnego dla uczniów. Pierwszym był u nas podchorąży Zaręba<sup>65</sup>), drugim porucznik Bortnowski, którego służbistość, posunięta do przesady, połączona z flegmą śledziennictwa i dobrocią serca, ośmielała do różnorodnych podstępów i żartów.

W niedziele i w święta, szczególnie w zapusty, dla zabicia wieczornych nudów tańczyliśmy zwykle sami ze sobą. W wielkiej sali jadalnej składano na stos stoły, na nich siadali z pomiędzy nas zrekrutowani muzykanci, władający smyczkiem lub palcami po gitarze, a chociaż ich melodyjne tony rozdzierały uszy, tańczyliśmy nieraz zapamiętałe poza godzinę, przeznaczoną na nocny spoczynek.

Pewnego wieczora wspomniany Edmund Zaręba, drobnego wzrostu a gładkiego lica, wracając z drugim koleżką od matki z niedzielnego wyżerunku, przebrali się w suknie siostry i dorożką zajechali przed szkołę. Wszedłszy niepostrzeżenie do naszej sali, wielką sprawili nam radość. Hoże dziewczuchy całowano i ściskano serdecznie, jak prawdziwe, a hulano z niemi jak z baletnicami. Bortnowski, który miał dyżur, zwabiony do sali niezwykłym ożywieniem i hałasem, osłupiał na widok niewiast w pośrodku kadetów.

My z naszej strony zmyślili przestrich, poczęli uciekać, chcieli dziewczęta ukryć lub uprowadzić. Bortnowski, nie domyślając się podstępu, począł biegać za dziewczętami, łapać je, krzyczał o pomoc na podchorążych, stojących na straży, i wśród głośniego zamieszania, z wielkim umęczeniem ciała i umysłu, pochwycił nareszcie owe dziewczuchy. Dziewczęta w płacz i przed nim na kolanach, załamując ręce, prosiły o przebaczenie i wolność, lecz surowy Cerber, głuchy na wszelkie zakłęcia i przed-

stawienia, że to są panienki z lepszych domów, zamknął je do szkolnego aresztu i klucz od niego wziął do siebie.

W nocy rozebrały się dziewczęta i przez kratę wydały nam swoje kaftaniczki, spodniczki i czepeczki, które starannie ukryliśmy w naszych siennikach.

Nazajutrz rano, przy zwykłym raporcie, składanym komendantowi szkoły, doniósł Bortnowski z całym namaszczeniem służbisty o naszym wybryku i przychwyceciu dwóch dziewcząt na sali jadalnej.

Olędzki, zgorzsony naszym postępkami, kazał nam stanąć do szeregu, wypalił groźną perorę, rozpytywał się w zdarzeniu i szukał winowajców.

Zapytywani tłumaczyli się jednak, iż o niczem nie wiedzą i żadnych dziewcząt na sali nie widzieli. Również i koledzy, będący wówczas na straży, wymawiali się niewiadomością tego, co się na sali działo, i nie dawali żądanych wyjaśnień; a gdy udano się do aresztu i Bortnowski własnoręcznie go otworzył, spostrzeżono z zadziwieniem siedzących na pryczy dwóch podchorążych.

Podchorążowie twierdzili, iż oprócz napadu złego humoru pana porucznika nie znają innej przyczyny uwięzienia, kobiet nigdzie nie widzieli, a gdy i przy nich nic podejrzanego nie znaleziono, Bortnowski, widząc się jakby opętany od czarta, przeżegnał się krzyżem i wzdargliwie splunął, komendant roześmiał się na głos i całe zdalenie sennemu rozmarzeniu Bortnowskiego przypisał.

Zaręba został odtąd Zarębianką, jeszcze więcej kochaną od wszystkich. Nikt go inaczej nie nazywał, nawet i wówczas, gdy został podporucznikiem w 1-szym pułku piechoty linjowej. W krwawym boju pod Białolęką, poległ za ojczyznę: zwiedziony Bortnowski i hoża Zarębianka...

---

### Koronacja cesarza Mikołaja. Uwięzienie. Obchód konstytucji.

Cztery lata, spędzone w szkole podchorążych, nie wzbogaciły mojej pamięci zajmującymi wspomnieniami.

Najważniejsze z nich odnosi się do aktu koronacji cesarza Mikołaja na króla polskiego w r. 1829, w którym uczestniczyłem, jako starszy sierżant kompanii J. C. K. Mości, będąc powołanym do pułku dla pełnienia obowiązków służby frontowej. Z pułkiem wziąłem też udział w uroczystościach koronacyjnych, które w samej rzeczy dla oka były wspaniałe, dla umysłu wzruszające.

Cały miesiąc maj 1829 r. był zarazem jednym pasmem przeglądów, parad i popisów wojskowych, a żołnierz nie rozbierał się prawie z galowych mundurów.

Już w dniu 9-tym maja odprawiono ze zwykłą wystawnością uroczystość dnia urodzin w. ks. Konstantego, podczas której pułk nasz z gwardjami rosyjsko-polskimi, po solennem nabożeństwie, defilował i rzeźbiście oświetlał koszary.

W trzy dni potem, salutowaliśmy koronę, vulgo polską zwaną, wieszoną z Petersburga przez mistrza obrzędów szambelana Żaboklickiego, a eskartowaną, od granic Królestwa aż do zamku warszawskiego, przez 4 żołnierzy z pułku strzelców konnych gwardji.

W dniu 17-tym maja tworzyliśmy szpaler od mostu pod Żoliborzem, wprost ulicy Spadek, świeżo wystawio-

nego na Wiśle, podczas wjazdu cesarza Mikołaja wraz z żoną i następcą tronu. Długo oczekiwaliśmy w ściśniętych szeregach, pchani tłumami ludności, na ten wjazd królewski. Nareszcie dało się słyszeć 9 strzałów armatnich na znak zbliżenia się królewskiej pary do Pragi, 71 strzałów nadjechania do mostu, a 101 przybycia na Zamek, na którym równocześnie zatknięto chorągiew z herbami państwa.

Bito równocześnie we wszystkie dzwony, muzyki pułkowe grały hymn cesarski, dobosze odbijali paradny marsz austriacki, ks. prymas z duchowieństwem katolickim śpiewał przed kościołem XX. Franciszkanów, lud krzyczał zapamiętałe—vivat, uliczniki—piwa, a tak wśród niemałego huku i krzyku, przeciągnął pochód królewski około godziny 12-tej z południa przed linjami naszego pułku, skręcił następnie w ulice Freta, Długą, Miodową i zniknął z naszego oka. Nigdy nie zapomnę widoku pięknej, imponującej postawy cesarza Mikołaja na wspaniałym koniu, wraz z 11-letnim następcą tronu w. ks. Aleksandrem, podówczas szefem 1-go pułku strzelców konnych polskich<sup>66</sup>), na małym koniku postępującym obok ojca i przepysznej karety, zaprzężonej 8 końmi, wiozącej sympatyczną królowę polską Aleksandrę. Heroldowie, paziowie, ministrowie, szambelani i generałowie niemal wszystkich wojsk europejskich towarzyszyli wjazdowi cesarza. Co dalej się działo, opowiedzieć nie umiem, albowiem sformowawszy się w kompanje, postępowaliśmy zdaleka za pochodem i odeszli do koszar.

W koszarach malkontenci i agitatorowie rewolucyjni, których w szeregach wojska i w szkole podchorążych podówczas już nie brakowało, kładli nam zaraz do uszów z oburzeniem rozpowszechnianą wiadomość, iż cesarz Mikołaj przed kościołem Franciszkanów z konia nie zsiadł, a tem samem ks. prymasa, reprezentanta interregnum polskiego, niosącego mu z kropidłem błogosławieństwo Boże nie uszanował i w nim cały rzymskokatolicki naród polski obraził.



**Pułk 1-szy strzelców pieszych.**

Adjutant w ubiorze służbowym i kapitan karabinierów w ubiorze paradyjm zimowym.

(Podług obrazu J. Łukaszewicza z r. 1823).

Nazajutrz odbyła się wielka wojskowa parada przed cesarzem na placu Saskim, której cesarzowa przyglądała się z okien pałacu króla saskiego. Natura nie była dla mnie macochą i nie poskapiła w urodzie, ani w postawie. W robieniu bronią i w ruchach wojskowych mogłem iść z każdym podoficerem naszego pułku o lepsze. Z tego powodu pułk. Szembek wyznaczył mnie do złożenia kompanijnego raportu cesarzowi. Po paradzie wywiązałem się z zadania dobrze i odtąd, przez cały przeciąg pobytu cesarza w Warszawie, chodziłem na plac Saski lub do Brühlowskiego pałacu, jako posyłka z raportem lub dla zdania hasła cesarzowi z pułku jego imienia.

W trzy dni po paradzie odprawioną była msza polowa pod namiotem na placu broni za Muranowem. Cesarzowa była również obecną, a siedząc w karecie, witała swój pułk 2-gi strzelców konnych<sup>67)</sup>, który jej imieniem zaszczycony został. Następca tronu w. ks. Aleksander, dzisiejszy cesarz rosyjski, ubrany w mundur szasera polskiego z amarantowymi rabatami, na kucyku, sam prowadził nasz 1-szy pułk strzelców konnych i defilował przed ojcem, otoczonym książętami krwi, ciałem dyplomatycznym, generałami cudzoziemskimi i własnym sztabem. Szkołą podchorążych pieszych dowodził podchorąży Aleksander Łaski<sup>68)</sup> i dźwięcznym głosem, do dzwonka podobnym, powtarzał komendę, z ust w. księcia odbieraną. Wszystko wiodło się, jak z płatka, do wykonania zamachu na życie cesarza nie przyszło, a tylko na zakończenie ulewa, jak z cebra, rozpedziła tłumy widzów i nas zmoczyła do suchej nitki.

W dniu 24-tym maja nastąpił akt koronacji, której o tyle byłem świadkiem, iż oparty plecami o drzwi wchodowe katedry św. Jana, strzegłem na ulicy z kompanją mojego pułku drewnianego pomostu, pokrytego czerwonym suknem, po którym orszak koronacyjny nadszedł z zamku królewskiego.

Już uroczysty przyjazd ks. prymasa Woronicza do kościoła, którego poprzedzał jeden kanonik na koniu, wy-

wołał niesłychane podziwienie. Sam pochód królewski otwierały i zamykały oddziały jazdy gwardyjskiej, postępujące pieszo, a za nimi przesuwało się tyle ministrów, senatorów i różnych dygnitarzy, niosących: miecz, pieczęć, chorągiew, order Orła Białego i t. p. oznaki godności królewskiej, iż tego wszystkiego, co widziałem, ani zliczyć lub spamiętać nie mogłem. Tylko postać cesarza w mundurze generała polskiego i cesarzowej w królewskim płaszczu z ogonem, niesionym przez 6 paziów, jak również ks. Hessen-Homburg, któremu towarzyszył hr. Goczałkowski w mundurze austriackiego oficera, utkwiły głębiej w mojej pamięci. Zresztą wszystko odbyło się ściśle według naprzód ogłoszonego programu, z poważnym nastrojem a głębokim spokojem, nieusprawiedliwiającym na szeroką skalę rozwiniętych środków ostrożności, jak: skonsygnowania wojska rosyjskiego w koszarach i zaopatrzenia w ostre naboje, ustawienia gwardji polskiej za Żelazną bramą, a innych oddziałów wojska polskiego po różnych ulicach, — chyba ten krzyk 2,000 pań na zapadającym się amfiteatrze z desek przed Zamkiem lub trzask łamiącego się pomostu po przejściu króla, przy rozszarpaniu purpurowego podkładu.

Po koronacji, jeszcze przez trzy dni, trwały uczty, powinszowania, bale, przedstawienia sceniczne i iluminacje. I lud bawił się ochoczo, pomimo podżegań, że cesarz znów obraził prymasa, wkładając sobie sam koronę na głowę, a na cesarzową łańcuch orderu Orła Białego, gdyż mu zastawiano stoły z jedzeniem i napitkiem na placu Ujazdowskim, urządzano zabawy i gry publiczne, otwierano teatru i t. p. Tylko nasza dola żołnierska, oprócz rublowej gratyfikacji i odpuszczenia różnych kar przestępcom wojskowym, w niczem się nie poprawiła.

Ciągle pogotowie w koszarach i nieustające czyszczenie broni i mundurów paradnych nie dozwalały nawet podziwiać ówczesnych uciech stolicy, do której według obliczeń dzienników spłynęło do 200,000 ludności.

Wpisanie następcy tronu, cesarzowicza Aleksandra,

do pułku grenadierów gwardji polskiej<sup>69</sup>), udekorowanie Szembeka orderem św. Stanisława 2-giej klasy i posunięcie na generała 3-ciej brygady z pozostawieniem przy dowództwie pułku, podpułk. Rybińskiego na pułkownika i dowódcę 1-szego pułku piechoty, majora Jutrzenki na podpułkownika i w tym stosunku innych oficerów naszego pułku o jeden stopień wyżej, nie wynagrodziły moich osobistych trudów i nie wpłynęły radośnie na moje usposobienie.

Kto wie, ile to wówczas kosztowało zachodów i pracy przygotowanie kompanji na przegląd choćby przed w. księciem, jak łamało fizyczne siły obcisłe ubranie, chód, ruchy i obroty automatyczne, ten łatwo zrozumie, iż długotrwałe obchody koronacyjne zdolne były do skruszenia najsilniejszej konstytucji żołnierza. I ja, nad siły umęczony od dni kilkunastu, zmoczony nieraz do koszuli, uległem prawom nieubłaganej natury i dostałem silnego napadu zimnicy; ratowałem się, jak mogłem, piółunówką, broniąc uporczywie przed odwiedzinami Ujazdowskiego szpitala.

W tydzień po koronacji, przybył do Warszawy dzisiejszy cesarz niemiecki, podówczas ks. Wilhelm pruski, a z przyczyny obdarzenia go orderem Orła Białego odbyła się przed nim na Saskim placu wojskowa parada w obecności cesarza. Składając, jak zwykle, kompanijny raport, byłem tak osłabiony, iż zaledwie trzymałem się na nogach i hasło zmienionym głosem wymówiłem.

Cesarz, widząc mnie cierpiącym, położył rękę na mojem ramieniu i rzekł łagodnie:

— Ty jesteś słabym?

— Tak jest, Wasza Cesarska-Mości, — odpowiedziałem nieśmiało.

— Skoro tak, idź do szpitala.

Chciałem odpowiedzieć, że chorobę przetrwam w kompanji, lecz w. ks. Konstanty, ów duch złego w dobrej godzinie, dosłyszawszy rozmowę, dopowiedział coś chra-

pliwym głosem za mnie, dał znak ręką, a ja, zrobiwszy na lewo w tył zwrot, wstałem napowrót do szeregu.

Wówczas ważyła się właśnie sprawa awansu w szkole podchorążych, — a cesarz zażądał od siebie nominacji na oficerów: jednego z gwardji grenadierów, drugiego z gwardji strzelców konnych, a trzeciego z pułku linowego jego imienia.

Zalecono też w. ks. Konstantemu do przedstawienia cesarzowi: wachmistrza od strzelców konnych Chmielewskiego, sierżanta z gwardji grenadierów Aleksandra Łaskiego, nawiasem mówiąc, już wówczas naczelnika sprzysiężenia rewolucyjnego w naszej szkole i owego zapaleńca, co ze szkołą podchorążych na rewji, powyżej wspomnianej, chciał dać ognia do rodziny cesarskiej, — i mnie z wojska linowego.

Przy protekcji Szembeka, który, gdzie mógł i jak umiał, dzwonił na mój awans, znany osobiście cesarzowi z tyłu kompanijnych raportów i owej konsultacji lekarskiej na Saskim placu, kołysałem się w słodkich myślach i w bujnej wyobraźni mojej biegałem już po kawiarniach, cukierniach i teatrach warszawskich, po owym zakazanym a w młodym umyśle wyidealizowanym rajach niewysłowionych rozkoszy ludzkich...

— Za młody... — zawołał w. książę, — i tem jednym słowem z listy przedstawionych wykreślił.

Przez przeciąg uroczystości koronacyjnych w. książę Konstanty był w fatalnym humorze. Czy zazdrość z powodu koronacji brata na króla narodu, którego sądził się być królem de facto; czy przykrość, iż na rozkaz cesarza przywdziać musiał wstrętny mu mundur generała polskiego, dość, że w. książę ciągle popuszczał wodze swojemu gniewowi; zelżył on publicznie gen. Gendre, przez żonę spowinowaconego z dworem panującym, obił w przytomności cesarza przyboczną służbę swoją i spał na kominku ulubionego Constitutionel'a za artykuł o tych koronacyjnych przygodach.

I mnie los zawistny zawiódł, w kilka dni po owym niedoszłym do skutku awansie, za żelazne sztachety belwederskiego pałacu. W. książę, spostrzegłszy mnie pomiędzy posyłkami, bez pytania zakrzyczał gwałtownie:

— Za młodyś, paniczu... za młody, żebyś został podporucznikiem...

Zawrzała krew we mnie, gdyż służąc lat 8 bez skazy, tylko w w. księciu widziałem owego nieubłaganego wroga, który usuwa mnie od awansu, i nierozważnie wymówiłem w odpowiedzi jakieś słowo o mojej przyszłości wojskowej, jeżeli w starości zostanę podporucznikiem.

Zapienił się z gniewu w. książę, zacisnął pięści i krzyknął:

— Ja ci każę galony obedrzeć i skórę wygarbować!.. — lecz że tej groźby wówczas bez raportu do cesarza, jako właściciela pułku i szefa mojej kompanii wyborczej, spełnić nie mógł, więc skończyło się owo niepotrzebne zajęcie wzięciem mnie w areszt bez sądu i wyroku.

Po upływie tygodnia, gdy bataljon naszego pułku rozchodził się na zmianę wart w obozie, w. książę, jak kapelistrz wywijając rękami takt żołnierzom do podnoszenia nóg, co było oznaką już najlepszego humoru, w chwili, gdy przeciągała moja kompania wyborcza, zapytał Szembeka o mnie, a dowiedziawszy się, że siedzę w areszcie, zawołał:

— Uwolnić i w kontroli o uwięzieniu nie czynić wzmianki.

Tyle skorzystałem z awansu szefa mojego pułku na króla polskiego, tyle korzyści przyniosły w ofierze niewysłowione trudy owych mnie przez kolegów tak zardoszonych raportów, przedstawię i wart honorowych u cesarza. Znękany i smutny, z rozbitą nawą moich nadziei, po odjeździe cesarza i zwinięciu obozu, powracałem napowrót do szkoły podchorążych.

Gorycz doznanego zawodu, a jak mniemałem, i krzywda, mnie wyrządzona, pchnęły mnie od owej chwili

li z całą siłą młodzieńczego ducha do spisku, który się w naszej szkole coraz więcej rozpościerać zaczął.

Rok następny, a ostatni istnienia szkoły podchorążych z szeregu lat wszystkich najtrudniejszym był do zniesienia. Lato przeszło jeszcze w obozie dorocznym trybem, wśród zwykłych ćwiczeń i przedstawień wojskowych, których liczbę powiększył kilkutygodniowy pobyt cesarza Mikołaja wraz z żoną w Warszawie, przybycie w d. 24-ym maja 1830 r. następcy tronu pruskiego a brata cesarzowej wraz z ks. Heskim i przyjazd feldmarszałka Dybicza, wsławionego w wojnie tureckiej przedarciem się za Bałkany.

Dybiczowi oddawali wizyty wszyscy generałowie nasi, a wojsko polskie popisywało się przed nim, naśladowując wielką bitwę, rozpoczętą o świcie za obozem, a zakończoną osaczeniem mniemanego nieprzyjaciela, po silnym ogniu artylerji, świetnych atakach jazdy i wypróbowaniu chyżości naszych nóg na piaszczystych stokach okopów Szwedzkich.

Harce powiodły się wyśmienicie. Zabałkański Dybicz nie szczędził pochwał naszym pułkom, lecz sądzę, że w osiem miesięcy po tym turnieju mniej był zadowolonym z popisu tych samych żołnierzy na trzęsawiskach Wawru i Grochowa.

W kilka dni przedtem lub potem, odbyła się w obozie po raz ostatni, jakby w przeczuciu zgonu, przy niesłychanym napływie ludności miejskiej i wiejskiej, doroczna uroczystość nadania konstytucji, — i z tego powodu opis tego wspaniałego obrzędu na szerszą wzmiankę zasługuje.

Jak wiadomo, w dniu 20-tym czerwca 1815 r. wprowadzony został w urzędowanie, z wielką uroczystością, rząd tymczasowy Królestwa Polskiego, który równocześnie ogłosił akt abdykacji króla saskiego, jako w. ks. Warszawskiego, i promulgował zasady konstytucji, przez cesarza Aleksandra podpisane, a wypowiadające w art. 37-ym jasno i dobitnie, że te konstytucyjne zasady, odpowiada-

jące ustawie 3 maja 1791 r., będą odąd „głównym i najświętszym węzłem, jaki w przyszłości i na wieki wiązać będzie Królestwo Polskie z państwem rosyjskiem, tak w osobie cesarza, jak wszystkich jego dziedziców i następców“.

Pamięć tej chwili, z którą łączył się i akt złożenia przysięgi homagjalnej przez żołnierzy, święcono corocznie wpośródku wojska polskiego, a w r. 1830 w obecności cesarza, w. ks. Konstantego i Michała, książąt pruskich, marszałka Dybicza i wielu generałów i konsulów zagranicznych.

Równy ze wschodem słońca nieprzejrzane tłumy ludności warszawskiej zakrywać zaczęły wzgórza, ciągnące się od Parysowa ku Balicom. Szeregi pojazdów, których na samej rogatce Powązkowskiej naliczono 1.119, z trudem przebijały się do obozu, wysypując po drodze setki rozlicznych dygnitarzy i wytwornie ubranych kobiet.

Wojsko polskie i gwardje rosyjskie w kolumnach bataljonowych i szwadronowych, już od 6-tej zrana, ustawione były według starszeństwa korpusów, frontem do dawnej baterji Szwedzkiej we trzy linje, złamane na trzy boki, tworząc trzy ogromne ściany dla ołtarza, w połowym namiocie na wzgórzu wzniesionego. Trybuny przed ołtarzem zajął cesarz Mikołaj, przybrany w mundur generała polskiego, prowadząc pod rękę w. księżnę wejmarską, księżęta zagraniczni, ministrowie, senat i wyższy świat kobiecy.

O godzinie wpół do 8-ej, ks. Prażmowski, biskup plocki, w asystencji biskupów kaliskiego i sandomierskiego rozpoczął nabożeństwo. Po Ewangelji wyszedł przed namiot ks. Koźmian, senator i biskup kaliski, odczytał donośnym głosem modlitwę za cesarza Aleksandra, jako wskrzesiciela politycznego bytu Królestwa, i powtórzył jego ostatnie słowa, z jakimi skonał na ustach, a które były rodzajem testamentowego zapisu dla narodu polskiego. Równocześnie wystąpili przed front wszystkich

pułków kapelani wojskowi, — przed nasz pułk ks. Puchalski <sup>70)</sup>,—a gdy wojsko uknęło i zapanowała grobowa cisza, powtarzali głośno tę samą modlitwę za ks. Koźmianem. Lud razem z nami zginał kolana i ronił łzy rozrzewnienia na wspomnienie ostatnich słów wspaniałomyślnego monarchy.

Te Deum, wtórowane ogniem artylerji, zakończyło nabożeństwo, po którym nastąpił przemarsz wojska przed cesarzem. W. książę dowodził z konia osobiście i przeprowadził w rozwiniętych szeregach piechotę krokiem podwójnym a jazdę w galopie. Baterjom artylerji pieszej, zmieszanej z brygadami, do których należały, dopomogły muzyki pułków pieszych do odbycia marszu we wskazanym tempie; zaś artylerja konna wraz z półbaterją rakietników, dostawszy się w tumany kurzu, wzbite kopytami jazdy, prawie niedostrzeżona przeleciała przed oczami cesarza.

O 9-tej rano już było po wszystkim,—tym razem na wieki...

---

## XI.

### Zbliżanie się burzy. Judasz. Chwila wybuchu powstania.

Po zwinięciu obozu w d. 1-szym września, Szembek, zaszczycony godnością adjutanta cesarskiego, odprowadził swoją brygadę do Sochaczewa i tam się ze sztabem brygady rozgościł. Pułk 3-ci strzelców pieszych posunięto do Płocka, zaś z naszego pułku bataljon 1-szy stanął w Iłowie, 2-gi w Trojanowie.

Ja z moimi kolegami powróciłem do szkoły podchorążych i po raz dziewiąty zacząłem się uczyć na nowo balansowania w chodzeniu, pakowania tornistra i sztuki robienia bronią, jak gdybym podobnej nauki potrzebował i był rekrutem.

Dojrzały i rozwinięty fizycznie, a pomimo lat 26-ciu wieku, jak dzieciuch skrępowany w poduszce lub wodzony na pasku, rwałem się do życia i wolności, jak koń na kawecanie.

Podobnież szamotali się z sobą moi koledzy, nie młodszy i nie słabszy ode mnie, nie mogąc znieść dłużej wędzideł systemu w. księcia. Nienawiść do jego osoby i wzdarcę dla jego otoczenia podżegano równocześnie ze wszystkich stron, przedstawiając go w naszych oczach, jako jedyne sprawcę naszej niedoli i narodowej hańby.

Rola, jaką odegrała w rewolucji lipcowej szkoła politechniczna w Paryżu, stawianą nam była za przykład do naśladowania, gdzie tylko nasze uszy nogi nasze za koszary zaniosły.

Wzburzenie umysłów, wzrastające pomiędzy młodzieżą szkolną, plakaty i demonstracje uliczne, jak również wieści, rozsiewane o przygotowującym się powstaniu, pociągnęły za sobą i ściślejszy nadzór nad naszą szkołą. W ostatnich dniach października komendę nad nami objął adjutant w. księcia gen. Trębicki, zimny, hardy i w postanowieniach nieugięty; a dopełniając woli swego mocodawcy, umęczeniem słabego ciała na musztrach bez początku i końca chciał skruszyć potęgę narodowego ducha, rozbudzającego się i w murach studenckich koszar.

Urlopy do miasta ograniczono i dozwolano jedynie w razie udowodnionej potrzeby, za drukowanymi kartkami, przy wyszczególnieniu: po co, do kogo i na którą ulicę. Apel wieczorny obostrzono kontrapelem o godzinie 10-tej wieczorem, a częstokroć o północy.

Wrodzony zmysł przeczucia wskazywał coraz jaśniej, iż w tej dusznej atmosferze, jaka nagle zapanowała, pozostawać dłużej było niepodobieństwem.

Wszystkie objawy nazewnątrz naszej szkoły, podszepty naszych oficerów instrukcyjnych, pogadanki osób cywilnych i zastraszające wieści, dolatujące co chwila z miasta, przekonywały dobitnie, iż coś niezwyčajnego wkrótce się stanie, bo własnym ciężarem koniecznie stać musi.

Uwięzienie podchorążego Wincentego Gaucza <sup>71)</sup> z pułku 1-szego linjowego, w związku z aresztowaniem kilku akademików zostające, wzmogło naszą gorączkową niespokojność; a nieuniknione w podobnych wypadkach schadzki, szepty i rozmowy trudne były do ukrycia.

Jako aniołów-stróżów mieliśmy za ścianą blisko kopę podchorążych z pułków gwardji Wołyńsko-litewskiej, Rosjan z urodzenia i przekonania. Już z powodu tego sąsiedztwa, jak myszy na pudle, siedzieliśmy przyczajeni i ostrożni, przystępując zaraz do egzekucji na kolegach, jeżeli który z jakim słowem podejrzenia lub pogroźki ośmielił się odezwać. Taki *pater noster* oberwał i lubiony

od nas Józio Lubowidzki<sup>72)</sup>, podchorąży z 2-go pułku strzelców pieszych, gdy po pijanemu zaczął coś głosić o zamierzonej rewolucji. Zwabiono go do sali i na znak, przez Michała Ostroroga<sup>73)</sup> dany, zarzucono kocami i wygarbowano skórę, co włożyło. Na chlubę junkrów rosyjskich przyznać należy, iż chociaż nie brali udziału w sprzysiężeniu, z wyjątkiem Kaczanowskiego, wiedzieli jednak dobrze, co się święci, a w stanowczej chwili oddali nam bez oporu swoje karabiny i zachowywali się wogóle tak, jak na kolegów rycerskiego zawodu przystało.

Pomimo tych ostrożności, Judasz znalazł się pomiędzy nami, a był nim Tomasz Zagrodziński, podchorąży z 3-go pułku strzelców pieszych. On, odwiedzając sierżanta Sudnika w koszarach na Ordynackiem, w których mieszkały kompanje wyborcze naszej brygady, dostrzegł tam przyrządzanie ostrych nabożów i śchadzki akademików, którzy przed nim, jako uczniem szkoły podchorążych, nie czynili tajemnicy ze swych przekonań i zamiarów. W obawie przed nami, o tem, co spostrzegł, nie śmiał uczynić doniesienia komendantowi szkoły, lecz poszedł wprost do gen. Kuruty i jemu wyjawiał odkrytą tajemnicę.

Wkrótce jawić się poczęła belwederska karetą z Kurutą przed naszą szkołą i coraz częściej wywoływać poczęto podchorążego na dłuższe rozmowy. Zaniepokojeni niezwykłą bytnością faworyta w. księcia i konszachtami z podchorążym Zagrodzińskim, zażądaliśmy od ostatniego tłumaczenia, lecz zbył nas wybiegiem, iż wskutek prywatnych stosunków, pozyskał życzliwość gen. Kuruty, a ten, uwzględniając 15-letnią służbę, pragnie mu dopomóc w wydostaniu się na oficera do bataljonu weteranów czynnych.

Jaś Szembek<sup>74)</sup> z Płazy pod Krakowem, sąsiad o pryczę, zapalony skrzypek i tancerz, mistrz w wymykaniu się do miasta na baliki półświatka, wycygał jakoś urlop dla odwiedzenia Monu-bodzieja, stryjaszka,

który na raport o odkrytym spisku w kompanji wyborczej jego pułku zjechał osobiście z Sochaczewa. Z powrotem przyniósł wiadomość o donosie podchorążego, o znalezieniu ładunków, uwięzieniu podpor. Jana Przyborskiego <sup>75)</sup> i sierżantów Hipolita Mierosławskiego <sup>76)</sup> i Sudnika <sup>77)</sup> z kompanji wyborczej naszych strzelców, wraz z przestrogą gen. Szembeka dla podchorążych jego brygady, ażeby rewolucyjnych podszeptów nie słuchali i zachowywali się spokojnie.

Ta relacja posła wzmocniła nasze podejrzenie o uczciwości tajemniczego kolegi, którego odtąd unikaliśmy w rozmowie i w towarzystwie. Wprawdzie nie należał on do spiskowych w szkole i nie mógł zdradzić wiele, lecz sama bytność jego pomiędzy nami groziła lada chwilą uderzeniem pioruna.

Równocześnie zbierały się i nad Warszawą ołowiane chmury ciężkiej burzy, którą zażegnać nie było już w mocy ani gnębiących, ani przygnębionych.

— Polacy! pójdziecie żywcem do raju, jeżeli wytrwacie pod rządami brata Konstantego, — miał powiedzieć pewnego razu cesarz Aleksander w Warszawie. Nie chcemy raju i nieba, — odpowiadali po kilku latach, prześladowaniem i uciskiem przyskwirczeni do żywego, — pragniemy żyć, jak ludzie, w pracy i w swobodzie.

Pod tem godłem nowe życie miało zbudzić słońce 29-go listopada 1830 r.

Nie będąc wtajemniczony w szczegóły sprzysiężenia, zawiązanego w szkole podchorążych jeszcze w grudniu 1828 r. przez współuczni Aleksandra Łaskiego, i nie biorąc udziału w obradach spiskowych w mieście, dopiero w niedzielę 28-go listopada wieczorem zawiadomiony zostałem o zapadłym postanowieniu zbrojnego powstania i odebrałem od jednego z kolegów rozkaz udzielenia tej wiadomości zaufanym kolegom z mojego pułku i uporządkowania amunicji w stosownej chwili.

Od lata zbieraliśmy bowiem krzesiwo, proch i kule, gdyż na naszych karabinach były skałki drewniane, a w

koszarach nabojów nie dostawaliśmy nigdy. W obozie, na manewrach lub strzelając do tarczy, oszczędziliśmy nieco ołowiu i prochu, i takowy w szkole, po różnych dziurach mieliśmy w ukryciu; z tych zasobów porobiliśmy naboje, których jednakże nie więcej, jak 4—6 na jeden karabin wypadło.

Ranek dnia następnego, pochmurny i zimny, przeszedł w wielkiem zachmurzeniu naszych umysłów wskutek wieści, dolatujących z miasta, że spisek odkryto i postanowienie zwinięcia szkoły podchorążych przez w. księcia powzięte zostało. Obawa nadejścia wojsk rosyjskich, otoczenia szkoły i uwięzienia wprawiły nas w niewysłowione rozdrażnienie i gorączkę. Minuty zdawały się być godzinami i gniotły nasz umysł naprzemian nadzieją słodkiej wolności lub obawą strasznej kary.

Ze zmierzchem rozchodzić się zaczęli podchorążowie, wyznaczeni do schwytania żywcem w. księcia, do wzniesienia pożaru na Solcu, jako umówionego znaku do zbrojnego wystąpienia, na przespługi do koszar jazdy rosyjskiej i na czaty wokoło naszej szkoły. Z gaju łązienkowskiego, okalającego nasz budynek, przywlokłem z Antonim Proszkowskim<sup>78)</sup> podrzuconą poduszkę, czy pierzynę, wyprułem z niej naboje, ukryłem pod szopą i pilnie wpatrywałem się w okno, rychło oświeci je łuna zamówionego pożaru.

Pocziwy Tyłski<sup>79)</sup>, podchorąży z pułku 6-go piechoty, kiepsko się wywiązał z roli podpalacza, i jeszcze z godzinę po pierwszym nieudanym alarmie ogniowym i nad czas umówiony, jak śruby ruchome, wierceiliśmy się na ławkach, słuchając z roztargnieniem wykładu profesora taktyki wojennej.

Wskazówka na zegarze dochodziła już godziny 7-ej, gdy przeraźliwy krzyk szyldwachów, napadniętych nagle i broniących się przy wydarciu broni z ręki, zerwał nas na równe nogi.

W tej samej chwili wpadł jak kula do sali nasz ofi-

cer instrukcyjny, podpor. Wysocki, a wywijając w powietrzu szpadą, zawołał:

— Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj umrzeć lub zwyciężyć potrzeba. Idźmy!.. a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów...

Na grzmiący głos wyzwania profesor taktyki, zwiżając swe zeszyty, zawołał:

— A więc... do broni, chłopcy!..

— Do broni!.. — wołali oficerowie: Karol Szlegel<sup>80)</sup> i Józef Dobrowolski<sup>81)</sup>, którzy po rozbrojeniu wewnętrznej straży, wraz z kilku cywilnymi, wpadli za Wysockim do sali.

Jak iskra, dolatująca miny prochowej, w okamgnieniu sprowadza gwałtowny wybuch, tak i okrzyk oficerów, wzywających do broni, wyrwał odrazu z naszych piersi jak grzmot potężne i przeciągłe „Hurra!“ i wyrzucił nas w jednej chwili na dziedziniec budynku.

Żaden język wysławić, żadne pióro opisać nie zdołają tej zmiany sceny, jaką wśród gwałtownego ruchu trzechset osób przedstawiła naraz owa, do klasztoru podobna, dawna oficyna królewskiego pałacu Stanisława Augusta.

Krzycząc, śmiejąc się i z radości płacząc, jak szaleni, biegaliśmy po salach, wybijając drzwi i rozchwytyjąc broń i płaszcze. Równocześnie rozbrajano junkrów, rozdawano ładunki i na głos oficerów, nawołujących do pospiechu, formowano się w plutony do krwawego pochodu.

Ilu nas było, nie wiem, lecz powinno być 220, jeżeli w tem strasznym zamieszaniu, powstałem wśród egipskiej ciemności, bo jeszcze nieoświeconem powtórna łuną pożaru, nie ukryły się gdzie trwożliwsze serca lub nie zbiegły z Olędzkiem i z rosyjskimi junkrami do poblizkiego lasku.

Jak dla odbycia szkoły bataljonu, skupialiśmy się pułkami, z których pochodziliśmy, w plutony. Mój pluton składali: Babski Kasper, Baczewski Jędrzej, Januszewski Jan, Kozłowski Benedykt, Lipiński Leon, Mazurkie-

wicz Stanisław, Markowski Hieronim, Marecki Józef, Rożański Nereusz, Rydecki Stanisław, Szymanowski Feliks, Wierzbicki Antoni, Wędrogowski Adam i znani z opowiadań: Sruł Peterek z Jasiem Szembekiem <sup>82</sup>).

Pluton podchorążych z 3-go pułku strzelców pieszych w sile 13 ludzi zlał się z nami w zaimprovizowaną kompanję, a w ten sposób prędzej, niż pomyśleć można, dokonana została organizacja i ustawienie w szyk bojowy naszego oddziału.

Na komendę nabito broń, dobosze szkoły uderzyli w bębny, Wysocki krzyknął „Naprzód!” i pędem, do lotu błyskawicy podobnym, wysunęliśmy się na drogę, do pobliskich stajen trzech pułków jazdy rosyjskiej wiodącą <sup>83</sup>).

---

## XII.

### Walka uliczna. Śmierć generałów. Zdobycie Arsenалу.

Głucho, ciemno i ponuro było na drodze do koszar jazdy rosyjskiej. Karabinjerskich kompanji wyborczych mojego pułku i pułku 3-go strzelców pieszych, które kapitan Michalski i oficerowie: Józef Przyborowski, Aleksander Stryjeński i Ignacy Wołoszyński nam na pomoc od strony miasta podprowadzić mieli przed koszary, nie znaleziono na umówionem miejscu<sup>84</sup>). Kilkunastu młodzieńkich studentów, co za Wysockim przybiegło do szkoły i w ręce niewprawne chwyciło karabiny junkrów rosyjskich, nie umiejąc nabijać broni, nie dodawało nam moralnej otuchy ani fizycznego wsparcia; i gdyby nie młodzieńcza lekkomyślność, podtrzymująca potęgę rozburzonego umysłu, i gwałtowność skoku, z jakim odsadziliśmy od szkoły, byłibyśmy niewątpliwie utknęli na drodze do tych koszar i ostygli w zapale.

Komenda dowolnego ognia na obnażone z liści drzewa dla przerwania ciszy, tak niebezpiecznej przy rewolucyjnych przedsięwzięciach, dla rozgrzania naszego męstwa i dania znaku oddziałom wojsk spiskowych do rozpoczęcia i wspierania naszego działania, rozweseliła nasze serca, — a wykonywana z werwą pierwszego zapalu, rozrywała setkami strzałów zasępiione powietrze, oświecała i znaczyła drogę naszego pochodu strzępami gałęzi.

Na wystrzały naszej broni odezwały się natychmiast alarmowe trąbki gwardyjskich ułanów rosyjskich. Nie tracąc czasu, z okrzykiem „hurra“, podbiegliśmy pod rów szeroki, otaczający stajnie, a nie doznawszy na mostkach, pokrywających nawodnione kanały, zbrojnej przeszkody, wtargnęliśmy do wnętrza koszar ułańskich.

Na wielkim dziedzińcu, zamkniętym podłużnymi stajniami i rzędem małych domków, zamieszkałych przez żołnierzy, zastaliśmy już połowę pułku, siedzącą na koniach i gotową do stawienia oporu.

Krzycząc z całego gardła, obsypaliśmy ułanów imienia cesarzewicza gradem ołowianym, który zrzucił kilkunastu na ziemię, zmieszał w szyku i na wszystkie strony rozsadził. Jakiś mniejszy oddział, na rozpaczliwą komendę oficerów, sformował się jeszcze raz do ataku i kłusem ku nam posunął, lecz przyjęty celnymi strzałami z niewielkiej odległości, prysnął natychmiast, rozleciał się na cztery wiatry, szukając w bezładnej ucieczce bezpiecznego ratunku.

Ciemność nocy zakryła nasze ubóstwo pod względem liczebnej siły i dlatego Podolskie kirasjery i Grodzieńskie huzary gwardji rosyjskiej, których stajnie w przedłużeniu koszar ułańskich leżały, nie wiedząc, z kim mają do czynienia, nie pośpieszyli ułanom na pomoc, lecz korzystając z zawiązanej walki i przez nas niezaczeptani, osiedłali konie i drugą stroną tych ogromnych koszar wydostali się na Solec.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia i z tej febry, jaką chrzest ognia na żołnierzy sprowadza, uniesieni radością z łatwego i po naszej stronie niekrwawego zwycięstwa, rozbijaliśmy się po zdobytych koszarach, goniąc uciekających żołnierzy, chwytając rozbiegłe konie, podpalając słomę dla wzniesienia pożaru.

Kilku z moich kolegów wsiadło na przychwycone konie ułańskie i z rozkazu Wysockiego uleciało w różnych kierunkach, dążąc do miasta dla dania znaku o wy-

buchłem powstaniu, jak również do oddziałów naszego wojska, by nam śpieszyli na pomoc.

Wśród powszechnego zamieszania spostrzegł nareszcie Wysocki niespodziewane wymknięcie się huzarów i kirasjerów z koszar, a obawiając się, ażeby obszedłszy czworobok stajen, z tyłu nas nie zaszli i w pustych koszarach nie zamknęli, nakazał odwrót.

Odwrót odbył się w porządku napowrót do Łazienkowskiego gaju, na most, ozdobiony posągami króla Sobieskiego. Tam połączył się z nami ów nieustraszony zastęp 18 młodzieńców, który uderzył na Belweder, a nie zdoławszy pochwycić w. księcia, zziąjany i blady, uchodząc przed pościgiem kirasjerów przez rowy i płoty Botanicznego ogrodu, schronić się zdołał pod nasze skrzydła.

Z zajętego stanowiska nad mostem głównej drogi rozesłano zwiady dla wywiedzenia się, gdzie stoi Michalski <sup>85)</sup> z kompanjami wyborczemi mojej brygady, jak również dlaczego Nieszokoć <sup>86)</sup> nie strzela ze swych armat, choćby dla postrachu Rosjan, z pagórka Radziwiłłowskich koszar.

Czaty powróciły za chwilę z przykrą wiadomością, iż dalej postąpić nie mogły, albowiem drogi, wiodące do miasta, są zamknięte oddziałami kirasjerów, a tem samem, że jesteśmy osaczeni.

Po krótkiej naradzie starszyny, postanowiono podjęcie ruchu zaczepnego odrazu naprawo i nalewo od naszego stanowiska w nadziei, iż choć w jednym z tych kierunków usuniemy zaporę i otworzymy wolną drogę do miasta.

Wysocki z dwoma czy trzema plutonami odsadził się naprawo za gmach Ujazdowski, ku „Wiejskiej kawie“; my zaś pod dowództwem Szlegla posunęli się nalewo, wprost drogą, pod górę wychodzącą ku alei Belweder-skiej; rozsypani w tyraljerów, gęstymi strzałami, z rowów i zza drzew miotanymi, spłoszyliśmy kirasjerów.

Równocześnie i Wysocki oswobodził drogę, rozpędzając inny oddział jazdy, a powołałszy nas do siebie,

ruszył z całym oddziałem Dolną Droga, z Łazienek ku „Wiejskiej kawie“ wiodącą.

Chwilowo rozbite kirasjery zebrały się na nowo i szły krok w krok za nami, napastując nas z tyłu. Zbliżając się do ogródka, znanego pod nazwą „Wiejskiej kawy“, utknęliśmy znowu na szwadron huzarów<sup>87)</sup>, który wspierany resztą szwadronów tego pułku, stojącą na polu w odwodzie, klusem puścił się na nas.

Ośmielone kirasjery, równocześnie z tyłu zerwały się galopem do ataku, a tak we dwa ognie wzięci, byliśmy niechybnie wyzionęli ducha pod kopytami jazdy rosyjskiej, gdyby nam nie udzieliły schronienia mury budujących się koszar saperskich. W szalonym pędzie i wrzasku wyminęliśmy uderzenia jazdy i, skręcając się z naszej drogi nalewo, dopadli szczęśliwie do bramy koszar.

Tu byliśmy już bezpieczni przeciwko konnicy, bo z siodła nic nam zrobić nie mogła. Rozbiegłszy się wkoło niskich murów budowli, z okien i z bramy rozpoczęliśmy rześisty ogień, który wstrzymywał jazdę w jej zapędach i utrzymywał w należytem oddaleniu.

Schronienie było jednak natury chwilowej i dłużej w niem pozostać nie było można. Wystrzelawszy też ładunki, których wogóle mieliśmy niewiele, gdy znikąd nie było widać lub słyszeć pomocy od wojska polskiego, nie pozostawało innej drogi do wyjścia, jak opuszczenie zaimprovizowanej twierdzy i szukanie możliwego ratunku zbawienia w gwałtownem przebicium się przez roje jazdy.

Krzyk oficerów: „Oblegają nas, uchodźmy!..“ przeraził i zelektryzował wszystkich, a zbiegłszy się razem pod bramą koszar, jak stado spłoszonych baranów, zbitych w kupę, z dzikim okrzykiem rozpaczy wylecieliśmy w pole, wpadli pomiędzy tłumy huzarów, zastępujących nam drogę, roztrącili je siłą naszych bagnetów i szczęśliwie wydostali za rowy bocznej drogi.

Była to pierwsza po naszej stronie prawdziwie wo-

jenna a gorąca przeprawa, przy której nie jeden z uczniów naszej szkoły od kopyt i szabluc huzarskich oberwał krwawego guza lub legnął na ziemi.

Zdążając najkrótszą drogą do miasta, w bliskości kościołka św. Aleksandra, zetknęliśmy się z naszym dywizjonerem, gen. Stanisławem Potockim, jadącym do Belwederu.

Radość naszą, wywołaną pierwszym spotkaniem starzego oficera, a przytem ulubieńca żołnierzy i patrioty; w tyłu narodowych przygodach sprawdzonego, objawialiśmy szczerze, otaczając go jak ojca i wołając rzewnie: „Generale!.. prowadź nas dalej!“

Po uciszeniu się, Potocki rozmawiał coś długo z Wysockim i Szleglem; o coś proszono go bardzo, a nawet jeden z podchorążych, zdaje mnie się, że Rożański<sup>ss</sup>) z mojego plutonu, jakiś krewny czy znajomy generała, któremu wprzódę wspieranie powstania miał przyrzec, a przynajmniej z tem się przed nami przechwalał, — całował go po kolanach. Potocki był nieubłagany i zapewne wymawiać się musiał od przyjęcia dowództwa nad nami, bo tylko jedne i te same słowa: „dzieci uspokójcie się...“ z jego ust do naszych uszu dolatywały.

Nareszcie Wysocki dał rozkaz rozstąpienia się, a wśród gorzkich wyrzutów zdrady i odstąpienia sprawy dobra powszechnego wyjechał z pośrodku nas Potocki i puścił się w aleje, do Belwederu wiodące.

Na rozstajnej drodze, jaka do miasta i do koszar Ordynackich prowadzi, dowiedzieliśmy się o losie, jaki spotkał niemal na tem samym miejscu kompanie karabinierskie mojego pułku, gdy nam śpieszyły na pomoc pod Łazienki. Równie jak nas, spotykał je, pojedynczo idące, gen. Potocki, wstrzymywał w pochodzie, a po przedstawieniach i groźbach wysyłał po kolei w aleję Belwederską, gdzie otaczały je oddziały jazdy rosyjskiej i odprowadzały do w. księcia.

W. książe, wymknąwszy się bowiem oddziałowi, wysłanemu na jego schwytnie do Belwederu, dosiadł

konia, gromadził wkoło siebie oddziały jazdy, przez nas z koszar wypłoszonej, i witał serdecznymi słowami, przybywające do niego oddziały wojska polskiego, które usłużyli generałowie i adjutanci doprowadzali.

Tak dostała się do Belwederu i moja kompanja wyborcza z kapitanem Michalskim, któremu, jako słuźbiście czystej wody i ojcu rodziny, zabrakło w stanowczej chwili odwagi do sprzeciwienia się rozkazom generała dywizji. Kompanję odbiegli jednakże porucznicy: Stryjeński<sup>89)</sup> i Przyborowski<sup>90)</sup> i złączyli się z nami pod Arsenalem.

Postępek gen. Potockiego, który pozbawił naszą szkołę sześciu kompanji wyborowego wojska, w sile 1000 ludzi w stanowczej chwili podniesienia rokoszu i odmowa przyjęcia komendy nad nami, którą nas obraził, dotknęły nas do żywego i wstrząsnęły jeszcze bardziej nasze umysły, wzruszone do głębi przebytą walką i pierwszym widokiem przelanej krwi i zwałonych trupów.

— Co robić!.. wzruszając ramionami, zawołał Wysocki, a splunawszy za Potockim i kompanjami wyborczemi, dał znak do pochodu w ulicę Nowego Świata.

Im bliżej samego miasta, wszystko uciekało przed nami, jak przed zastępem zarażonych upiorów. Z traskiem zamykały się sklepy, bramy i okiennice, ginęły światła i ludzie, a my, jak czarne duchy, odbywające nocną pielgrzymkę, nie po Nowym, lecz po tamtym świecie, przyśpieszaliśmy w gęstym błocie kroku, krzycząc zrozpaczeni: „Polacy, do broni!..“

Nigdzie przyjazna dusza nie podała nam dłoni i nie wyrzekła słowa powitania, żaden oddział wojska polskiego nie zaszedł i nie torował nam drogi. Odrobina niewyrosłej hołoty ulicznej, jak zwykle przed oddziałami maszerującego wojska, biegła przed nami; niewiele więcej uzbrojonej młodzieży szkolnej i rzemieślniczej postępowało za nami, wybijając kolbami takt do marszu po bramach i oknach zamkniętych.

Wchodząc w Krakowskie Przedmieście, w to serce

życia Warszawy, wstępowaliśmy, jak na pustynię, do ciemnego i głuchego grobu. Omdlewający z wysilenia głos naszego bębna, podtrzymywaliśmy okrzykiem: „Niech żyje wolność!..“

Z zatarasowanych domów nikt nie wychodził, nikt nie odpowiadał; wszystko jakby żywcem zapadło się w ziemię. Myśl, że powstaliśmy sami, że nas nie wspiera naród i wojsko, owładnęła nas w jednej chwili, rozgoryczyła i nastroiła wrogo, jak tych potępieńców, co obłudnie zwiedzeni, idą w otchłań stracenia bez nadziei przebaczenia i ratunku.

W takim usposobieniu zetknęliśmy się przed kościołem św. Krzyża oko w oko z naszym komendantem szkoły gen. Trębickim, dążącym również do obozu w. księcia. Jak ludziom, nawzajem nieznanym i nie mającym z sobą do załatwienia żadnego rachunku, wyminąć się w milczeniu było niepodobieństwem. Zatrzymany Trębicki, z winnem uszanowaniem proszony był mniej więcej w tych słowach, co Staś Potocki, ażeby pojednał się z nami i z narodem, stanął na naszym czele i wiódł nas dalej na drodze rozpoczętego działania. Trębicki ofuknął się mocno, począł miotać groźby, wezwał do złożenia broni, zdania się na łaskę w. księcia, przyrzekając w nagrodę wyjednanie przebaczenia.

Ton mowy hardy i wyzywający rozjątrzył jeszcze bardziej nasze umysły, postępkami Potockiego i obojętnością stolicy i tak mocno rozdrażnione. Z tego powodu posypały się i z naszych szeregów przekleństwa, groźby i wymówki doznanych krzywd i uraz; a gdy Trębicki sierznił się i zapalał coraz więcej, podchorążowie Wojakowski<sup>91)</sup> i Kiełczewski<sup>92)</sup> zsadzili go z konia, wzięli pod ręce i jak aresztanta wiedli w środku naszych szeregów.

Wstępu na plac Saski wzbronił nam szwadron rozjazdowy strzelców konnych gwardji polskiej, przywitawszy nas rzęsistym ogniem z karabinków.

Poszliśmy więc dalej Krakowskiem Przedmieściem, lecz utknęli zaraz przed pałacem Namiestnikowskim

wskutek nowego spotkania. Minister wojny Hauke<sup>92)</sup>, generał dyżurny Rautenstrauch<sup>93)</sup> i szef sztabu artylerji pułk. Meciszewski<sup>94)</sup> zaszli nam drogę, śpiesząc, podobnie jak poprzednicy, do Belwederu.

Ta sama scena, jak dwie poprzednie, odegrała się po raz trzeci, tym razem nieszczęśliwie, bo z wynikiem tragicznym. Powodem do krwi przelewu była porywczność pułk. Meciszewskiego. Kiedy na nasze prośby o połączenie się z nami Hauke odpowiedział szorstko, Meciszewski zapomniał się tak dalece, iż wśród grózb i obelg, jakie miotał, gdy mu podchorąży Kiciński<sup>95)</sup> chciał ująć konia za cugle, by się umiarkował w zapale, wy dobył pistolet z olster, strzelił i Kicińskiego w nogę zranił. Na takie krwawe wyzwanie, kilku podchorążych, bliżej stojących, odpowiedziało strzałami i od nich legli trupem: Hauke z Meciszewskim. Rautenstrauch, który właściwie na tę scenę dopiero nadjeżdżał, spiął konia ostrogami i szczęśliwie umknął.

O kilkadziesiąt kroków od miejsca tej bratobójczej egzekucji nadjechał na naszą kolumnę, postępującą naprzód, jakiś powóz, który zatrzymano i pytano woźnicę, kogo wiezie. Czyje nazwisko wymienił, nie wiem, sądzę jednak, że się nie pomylił, bo pierwsze szeregi zachowywały się spokojnie. My, dalej idący, zaciekawieni osobą podróżnego, zapytywaliśmy przednich szeregów, kto jedzie. Jak zaczęto podawać sobie nazwisko generała Nowickiego<sup>96)</sup>, przy tem ogólnem rozstrojeniu i rozdrażnieniu nerwów, doszło ono naszych szeregów przekręcone na „Lewickiego“, a że Lewicki był generałem rosyjskim i jako wojenny gubernator miasta znieawidzonym, więc jeden z moich kolegów, idących za mną, nie namyślając się wiele, strzelił do powozu tuż za mojem uchem, bo świst kuli schylił moją głowę. Za przykładem jednego padło kilka innych strzałów i wydarło życie wielce cenionemu i poważnemu gen. Nowickiemu, p. o. sekretarza przy ministerjum wojny.

Nie było jednak czasu sprawdzać pożałowania god-

ną pomyłkę, szukać winnego lub oddawać się żalowi nad zgonem dobrego patrioty, a w wojnach włoskich zasłużonego żołnierza, albowiem od strony Arsenалу słyhać już było krzyki i strzały, nawet ogień rotowy, a zatem myśleć potrzeba było o najspieszniejszym pochodzie dla własnego i drugich ratunku.

Sądząc, że krwawe sceny, jakich pomimowoli był świadkiem gen. Trębicki, wpłynąć powinny na zmianę usposobienia, przystawaliśmy z nim po kilka razy, chcąc go nowemi prośbami lub pogrożką przeciągnąć na naszą stronę. Był jednak nieugiętym i nieustraszonym, wszystkie nasze przedstawienia odpychał w sposób opryskliwy i gwałtowny, co dawało powód do zaciętej kłótni. W jednej z takowych, przy studni na rogu ulic Bielańskiej i Długiej, gdy nazwał nas podłymi mordercami, podchorąży Pawłowski<sup>97)</sup>, uniesiony gniewem, przyskoczył do niego i gwałtownem pchnięciem bagneta na miejscu zabił.

Za chwilę byliśmy już przed Arsenalem. Była wówczas godzina 10-ta wieczorem.

Ulice, otaczające dawną zbrojownię Władysława IV, zapchane były tłumami ludu i różnymi oddziałami wojska, które witały nas serdecznymi okrzykami radości i uwielbienia. Pożar, wzniecony na Nalewkach, oświetlił nam Arsenał, pod którym zastaliśmy już kilka kompanji 4-go pułku piechoty i oddziały grenadjerskie z 5-tego pułku linjowego pod dowództwem młodziutkich podporuczników: Lipowskiego<sup>98)</sup> i Czarnckiego<sup>99)</sup>. Oddziały te były najczynniejsze; wychwytały żywcem rosyjskich generałów Essakowa<sup>100)</sup> i Engelmana, gdy do swoich pułków pieszych śpieszyli, zraniły Gressera, adjutanta w. księcia, zapchały strażnicę przy Arsenale mnóstwem dostojnych jeńców rosyjskich i polskich, zabiły szpiega Markrotta<sup>101)</sup> i rozstrzelały gen. Blumera<sup>101)</sup>, wslawionego na St. Domingo, który wśród ataku Wołyńskiego pułku gwardji rosyjskiej, pragnącego odbić Arsenał, schwytały, stawiał opór i rozbrajał żołnierzy.

Ważono dębową bramę zbrojowni, a nie mogąc jej dać rady, wyłamano kraty w oknach. Janusz Woronicz z kominiarczykiem wdarli się pierwsi tą drogą do Arsenалу, za nimi wielu innych i zaraz poczęto wyrzucać broń na ulicę. Ścisk, tłok i krzyk stały się powszechne. Prześliczne sale zbrojowni, które mieściły 36,000 sztuk broni palnej, a 11,000 siecznej<sup>102</sup>), najgustowniej ułożonej, wkrótce były wypróżnione.

Broń rozchwytywano i unoszono na wszystkie strony, w czem dopomagały bardzo kobiety, z najniższej warstwy społeczeństwa pochodzące; a gdy odszukano skałki i nieco prochu, strzelanina na *vivat* rozpoczęła się na szeroką skalę.

Dawny koleżka Aleksander Łaski i, znany nam z ujęcia Zarebianki, porucznik Jan Bortnowski, przodując oddziałom grenadjerów gwardji, stawiali z cegieł i kamienia barykady. Równocześnie nadeszły kompanje wyborcze z 3-go pułku linjowego i bataljon saperów, wywleczono jakieś stare armaty i zamknięto niemi ulice, wiodące do Arsenалу. Oddziały naszej szkoły wyswobodziły zaraz uczniów szkoły aplikacyjnej, wyciągnęły wraz z nimi działa, do nauki artylerji używane; a tak pomału zamieniła się dzielnica Arsenалу w wielki plac broni i główne siedlisko powstania.

Już nie setki, lecz tysiące głów rozprawiały, krzyzczały i biegały na wszystkie strony, a ta wielka wrzawa w miejscu ścieśnionem i nierozległem miała tę praktyczną korzyść, iż głużyła grozę rzeczywistego położenia, nie dającego wiele otuchy do osiągnięcia zamierzonego celu. Większa część pułku grenadjerów gwardji polskiej nie przystąpiła bowiem do powstania, a pułk strzelców konnych gwardji ucierał się ciągle z ludem, strzelał i rozbrajał, hamowany jedynie w zapędach zgonem gen. Siemiątkowskiego i oporem bataljonu saperów. Z artylerji polskiej nic nam na pomoc nie przyszło, gdyż bateria artylerji gwardji dopiero po północy, załatwiwszy ze swym

dowódcą domowe spory, nadjechała <sup>103</sup>). To też pod Arsenalem, w owym jedynym ognisku powstania, oprócz kapitana Roślakowskiego <sup>104</sup>) z 4-go pułku linjowego, nie zjawił się żaden starszy oficer polski. Ruch i obronę, organizowali i kierowali niemal sami podporucznicy.

Na szczęście Rosjanie byli przerażeni i po owym nieudanym ataku Wołyńców z Blumerem na czele nic więcej stanowczego nie przedsięwzięli.

Okolo godziny 11-tej rozeszła się pogłoska, że gen. Potocki przyjechał na plac Bankowy i pragnie mówić ze szkołą podchorążych. Kilka naszych plutonów wraz z Wysockim udało się do niego na rozmowę, która jednakże okazała się całkiem niepotrzebną, gdyż my uczynionego kroku cofnąć nie mogli, a on do sprawy powstania przyłączyć się nie chciał. Pomimo rozstawania się w wielkim nieporozumieniu i gniewie na placu, zapelnionym rozhukanym ludem i saperami Malczewskiego <sup>105</sup>), którzy zabili przed chwilą pułkow. Sassa <sup>106</sup>) z przybocznym sekretarzem, nikt nie targnął się na osobę ukochanego a upartego Stasia. Odjechał on swobodnie do gmachu bankowego, nasze plutony wróciły pod Arsenał, a dopiero w godzinę po tej rozmowie doszła nas smutna wiadomość, iż żołnierze z 6-go pułku linjowego, czy też osoby cywilne, zraniły śmiertelnie Potockiego przed kościołem Reformatów, i że odniesiony do pałacu Zamojskich, z powszechnym żalem wkrótce życia dokonał.

Rola nasza, jako autorów powstania, z chwilą zdobycia Arsenалу była skończoną, odtąd byliśmy tylko jednym pionem na szachownicy rewolucyjnej, posuwanym w razie potrzeby dla zachęcenia, zorganizowania i poprowadzenia do walki, po zęby uzbrojonego, ludu warszawskiego.

---

### XIII.

#### Pierwsze dni powstania. Przybycie mojego pułku do Warszawy.

Gęsta mgła, opadająca leniwo na rozkaz zachmurzonego słońca, zwolna odsłaniała obraz, z pierwszej nocy rewolucyjnej pozostały, dawno niewidziany, dla wielu nieznanym, niełatwo opisać się dający.

Tłumy ludności Starego Miasta obtargane, bezsenne, zaszargane w błocie do pasa, a obciążone bronią od nóg do ramienia, roiły się po ulicach i placach, krzycząc i strzelając w powietrze przy najmniejszej sposobności. W tłoku niewidywanego przedtem na bruku warszawskim ludu, mnóstwo dzieci, kobiet, sług i zakonników, przystrojonych w zdobyte w arsenale lub w koszarach znalezione ubiory i rynsztunki wojskowe, nasłuchujące co chwila to wiadomości z pola walki, to mów ognistych, z karmelickich więzień na Lesznie wydobytych, zbrodniarzy stanu, snuło się za oddziałami żołnierzy różnej broni, wałęsającymi się bez celu i potrzeby w różne strony.

Dogorywające ogniska obozujących kompanii zbuntowanych pułków rzuciły ostatnie światło na leżące w rynsztokach, w skrzepłej krwi i w błocie zwalane nie do poznania trupy tylu generałów i pułkowników polskiego i rosyjskiego wojska, oświecały ciemne areszty odwachu zbrojowni, zapchane takimi jeńcami, jak polscy generałowie Bontemps i Redel, rosyjscy: Kriwcow, Richter,

Engelmann, Lange, Essakow, nie licząc już pułkowników i adjutantów w. księcia.

Wrzawa ulicznej walki, objaśnianej gęstą pukanią z ręcznej broni i pojedynczymi strzałami dwóch armat drogiego przyjaciela, a w r. 1846 nieodstępного towarzysza broni i niedoli, Aleksandra Ekielskiego<sup>107</sup>), oddalająca się coraz dalej z Krakowskiego Przedmieścia i Saskiego dziedzińca, nappełniała radością, świadcząc, iż z postępem dnia jasnego budzi się zaufanie we własne siły i zdobywa na nieprzyjacielu nowe dzielnice miasta.

Co chwila świeży wypadek lub nowe zdarzenie wzbudzają ciekawość, wzruszają serce lub zatrważają umysł.

Tu wódką z rozbitego szynku rozochocony ludek porywa na ręce jakiegoś blaguera w mundurze francuskiego oficera z trójkolorową szarfą i, krzycząc: „Niech żyje Francja!“, zanosi przed nasze szeregi, zasmucone zranieniem poddowódcy Józefa Dobrowolskiego; tam sąd dorażny rozstrzeliwuje saperów, łupiących rozbitą kasę rosyjskiej komisji żywności, i wydaje z rozpaczą przybiegłym siostram zwłoki ukochanego brata, porucznika Piotrowskiego<sup>108</sup>), zamordowanego w obronie porządku przez własnych żołnierzy. Gdzieindziej znowu głodna uliczna rzesza dobija się do pustego sklepu piekarza, straszy Żydów, kryjących się po zaułkach, lub odgraża właścicielom domów, na klucz zamkniętych, lekarze opatrują rany nieustraszonego dowódcy głównego odwachu na Saskim placu podpor. Juljana Zajączkowskiego<sup>109</sup>), młodzież szkolna zdiera orły rosyjskie, przeszukuje mieszkania szpiegów, więzi ich i zabiera papiery policji tajnej; a wszędzie po ustach siłą iskry elektrycznej biega imię Chłopickiego<sup>110</sup>), którego, choć wszyscy pragną widzieć, uczcić i ubóstwić, jak na przekorę, nikt i nigdzie dopatrzeć i odszukać nie może.

Występujące na ulice poważnym zachowaniem się i liczbą zastępy młodzieży uniwersyteckiej, pod dowództwem profesorów zorganizowały się naprędce w legion

akademicki; jakieś odezwy instalującego się Rządu Tymczasowego, rozrzucane po mieście, nie treścią swoją, lecz podpisami ks. Czartoryskiego i gen. Paca wzbudzające zaufanie w ustalający się nowy porządek prawa, z każdą godziną naprzód, zmieniać poczynały z pomroki nocnej odwijający się ustrój powstałego miasta.

Zjawili się nakoniec i nasi generałowie, których widoku żołnierze, wychowani według systemu w. księcia, dla nabrania otuchy i wytrwania w postanowieniu, więcej potrzebowali, niż innych, im nieznanym, choćby najwięcej w kraju zasłużonych, ludzi.

Pierwszy przyjechał przed nasze szeregi gen. Pac<sup>111)</sup> konno, w czerwonej krakusce, wraz z adjutantem ks. Czetwertyńskim i zapowiedział objęcie komendy nad wojskiem przez gen. Chłopickiego. Z okrzykami radości przyjęto tę wiadomość, pożegnano Paca, a witano znowu generałów Sierawskiego<sup>112)</sup> i Wąsowicza<sup>113)</sup>, z tą samą obietnicą przybyłych. Wszyscy trzej byli wprawdzie generałami, nie zostającymi w czynnej służbie, lecz pomimo to dobrze znanymi wojsku i przez żołnierzy lubianymi.

Nad wieczorem poczęła się tworzyć gwardja narodowa, nowy urząd municypalny miasta. Uspakajało się wszystko i układało w jakiś ład i porządek, z wyjątkiem—naszych żołądków...

Od wyjścia ze szkoły podchorążych, oprócz obrzydliwego wódczyska, na którym w Polsce nigdy i nigdzie nie zbywało, nie mieliśmy nic w ustach, a przynajmniej moja osoba, która do bezpłatnego furazowania w mieście nie miała należytej wprawy i sprytu.

Wszystkie domy i sklepy szczelnie zamknięte, wszelki dowóz z przedmieść i okolicznych wiosek zatamowany pozbawiły ludność i wojsko zwykłego pożywienia dziennego. Niektóre oddziały, wałęsające się po całym mieście, wyprosiły sobie nieco chleba lub przemocą wy dostały z rozbitych sklepów żywności. My, otworzywszy miastu drogę do powstania i zwracając na siebie po-

wszechną uwagę, musieliśmy służyć za przykład dla ludu i wojska, i dlatego ani żebrać, ani rozbijać nie mogliśmy.

Znosiliśmy więc cierpliwie w nagrodę naszego poświęcenia głód, zimno, niewczas i niebezpieczeństwa dla wolności i życia. Leżąc pokotem na mokrym bruku w ulicach Elektoralnej, Chłodnej i Orlej, odrobiną drzewa, przyniesioną z placu Bankowego, ogrzewaliśmy kostniejące członki, upatrując na wszystkie strony jakiej ewangelicznej manny dla omdlewających żołądków. Z zamożnych domów Węgrzeckich, Bielewskich i Pękowskich wyniesiono wprawdzie w obrusach nieco jądła, dobroczynna ręka p. Wybickiej wyrzuciła oknem pierwszego piętra łopatkę sarnią wprost na moją głowę, lecz tyle było głodnych i szczęśliwszych zębów ode mnie, iż rozchwytały wszystko w okamgnieniu, nie dopuściwszy do spółki.

Za protekcją Jasia Szembeka dostałem się wprawdzie wśród wielkiego ścisku do życzliwej mu kawiareczki na Długiej ulicy, lecz prócz pięknych oczów i gęstych fusów nie miała już biedaczka ani kropli mleka, ani okruszynki chleba. Dopiero nad samym wieczorem jakaś poczciwa kobiecina zbliżyła się przed kozły karabinów, przeze mnie strzeżone, i uraczyła kawałkiem chleba z serem, za co ją serdeczniej od najdroższej matki na miejscu uściskałem.

Wśród zapadającej nocy major Antonini<sup>114)</sup> z 8-go pułku linjowego przywiózł nam na wozie suchego chleba, który służył już za pożywienie na dzień następny, gdyż dopiero we środę popołudniu, poczęto jak na próbę i nieśmiało otwierać niektóre sklepy; a zwykły ruch uliczny, nazajutrz, dnia 2-go grudnia, na dobre się rozpoczął.

Wówczas maszerował już na pomoc do stolicy pierwszy generał polski i pierwszy oddział wojska z prowincji.

Byli nimi gen. Szembek i pułk 1-szy strzelców pieszych.

Adjutant naszego pułku Paprocki<sup>115)</sup>, na pierwszą

wieść, nadbiegła do Sochaczewa o wybuchłych zamieszkach w Warszawie, wysłany na zwiady i po rozkazy przez Szembeka, udał się nie do obozu w. księcia, dokąd właściwie udać się był powinien, lecz do nas, jako autorów powstania. Przez nas serdecznie przyjęty i należycie zainformowany, odprowadzony został na posiedzenie Rady administracyjnej i otrzymał od niej pisemny rozkaz do Szembeka, ażeby „dla zastąpienia stolicy od wszelkiego niebezpieczeństwa“, a jak wówczas mniemano, od rabunku pospólstwa, przybywał jak najprędzej ze swoją brygadą.

Paprocki w uniesieniu patryotycznym, za powrotem do Sochaczewa, tyle nagadał tam Szembekowi i oficerom naszego pułku o potędze powstania, pozbawieniu władzy i ucieczce w. księcia, iż Szembek, wypełniając rozkaz, podpisany przez prezesa ministrów Sobolewskiego, uderzyć kazał na alarm, ściągnął do siebie wszystkie kompanie swojego pułku i ruszył z nimi natychmiast do Warszawy.

W. książę, który ze swej strony również wydawać musiał rozkazy do pobliskich oddziałów wojska polskiego, ażeby wstrzymać ich udział w powstaniu, dowiedziawszy się, że Szembek z pułkiem 1-szym strzelców pieszych maszeruje do Warszawy, wysłał do niego na połowę drogi rozkazy doprowadzenia pułku do Mokotowa.

Korpus oficerów i żołnierze mojego pułku, odznaczający się od czasów dawniejszych duchem patryotycznym, a po części pozyskani pierwiej przez podpor. Koszutskiego<sup>110)</sup> dla zamierzonej rewolucji, z własnej ochoty przyspieszali kroku tak dalece, iż pułk przybył już po południu 2-go grudnia do Błonia.

Stosunki służbowe i osobiste, jakie od wielu lat wiązały Szembeka z w. księciem, nakazywały mu udanie się do rosyjskiego obozu. Nie mając szczerzej ochoty doprowadzenia tam swoich żołnierzy i wiedząc dobrze, jako oficerowie nie byli skorymi do pójścia za nim w tę

stronę, Szembek sam jeden opuścił pułk podczas marszu i pojechał do karczmy w Wierzbnie, podówczas za kwartę w. księciu służącej. Odjeżdżając, pozostawił rozkaz wypoczynku i odgotowania żywności w Błoniu i odebrał od podpułk. Rolbieckiego<sup>117)</sup> przyrzeczenie, iż z pułkiem nie pójdzie dalej i jego powrotu do godziny 4-tej z południa oczekiwać będzie.

W Warszawie przywiązywano wielką wagę do przybycia mojego pułku w jej mury i obawiano się bardzo, ażeby w. księżę nie sprowadził go z drogi do siebie. Byłoby to niewątpliwie śmiertelnym ciosem dla powstania, gdyż przykład pierwszego pułku, przybywającego z prowincji, zachęciłby gwardje polskie i owe sześć (grenadjerskich) karabinjerskich kompanji, pozostałych przy w. księciu, do wytrwania przy nim; a nadto pociągnąłby za sobą wszystkie inne do Warszawy dążące pułki, które powstanie, do bruku miejskiego ograniczone, po drodze przytrzymać i do miasta sprowadzić nie miało ani właściwej sposobności, ani odpowiedniej siły.

Naczelnicy powstania, jak łatwo odgadnąć, nie mieli zaufania do generałów i pułkowników wojska polskiego, jako nie należących do sprzysiężenia, nie mających wiary w siłę i w powodzenie narodowego ruchu, a nadto zbyt wdrożonych w ślepy rygor i karność wojskową, ażeby na pierwsze wezwanie jakichś tam podporuczników lub podchorążych mieli stawiać na kartę wolność, życie i karierę wojskową.

To też w pierwszych chwilach poruszenia wszyscy wyżsi oficerowie uciekali do w. księcia lub bronili się zapamiętale przed wzięciem udziału w powstaniu. Nawet Chłopicki i Skrzynecki<sup>118)</sup>, choć w Warszawie obecni, jak długo wytrzymać zdołali, ukrywali się w zamkniętych domach, i gdyby nie krwawe cienie siedmiu zamordowanych generałów, niejeden z naszych sztabowców nie byłby się tak rychło i łatwo poddał woli zbuntowanych żołnierzy i warszawskiego gminu.

Nie dziw zatem, że powątpiewano i o rewolucyjnym

usposobieniu Szembeka, którego pochód do stolicy, wywołany rozkazem rządu, był wyłączną zasługą porucznika Paprockiego. Otóż celem wpłynięcia na postanowienie pułku, zbliżającego się do Warszawy, sfermentowania oficerów i żołnierzy w razie, gdyby ich Szembek do w. księcia chciał zaprowadzić, wysłano z Warszawy na parlamentarza i agitatorów, dymisjonowanego pułkownika Kickiego<sup>119)</sup> wraz z kilkunastu akademikami i podchorążymi naszego pułku.

Wysłannicy, nie zastawszy Szembeka przy pułku w Błoniu, rozpoczęli rewolucyjną propagandę, która jednakże była łatwą i niemal zbytęcną, gdyż wszyscy oficerowie oświadczyli się za powstaniem i pomimo znużenia pałali chęcią dalszego pochodu do Warszawy.

Gdy godzina, wyznaczona na powrót Szembeka, minęła i upłynęła po niej jeszcze jedna godzina, sprowadzająca zmierzch, podpułk. Rolbiecki, ulegając natarczywym naleganiom pułk. Kickiego i żądaniom żołnierzy, sformował pułk do pochodu i właśnie miał ruszyć z miejsca, gdy przybył gen. Szembek.

— Monu-bodzieju, panowie! kto dał rozkaz do pochodu... w wielkim gniewie zawołał Szembek, — a z jego pomieszczenia na widok pogotowia pułku odgadywano, iż Szembek z jakąś tajemną myślą powrócił od w. księcia i względem niego zaciągnął pewne zobowiązania.

Akademicy z Zenonem Niemojewskim na czele otoczyli Szembeka z prośbami i przedstawieniami; a Kicki, wzięwszy go na bok i potrząsając pistoletami, które mu u pasa na rzemieniu wisiały, coś tam tak stanowczego szepnął do ucha Szembekowi, iż ostatni zwrócił się zaraz do bataljonu 1-szego i dał rozkaz marszu do Warszawy.

Pod Ołtarzewem zaszedł pułkowi drogę patrol strzelców konnych gwardji, prowadzony przez porucznika Gierharda<sup>120)</sup>, a wysłany z obozu przez w. księcia. Patrol ten wziął jakąś odpowiedź Szembeka, bilet do kompanji wyborczych<sup>121)</sup>, a z nią i smutną wiadomość, że pułk 1-szy strzelców pieszych przeszedł do powstania.

Jak wiadomo, postępek Szembeka i naszego pułku rozstrzygnął los powstania, gdyż wpłynął stanowczo na postanowienie w. księcia uznania swej sprawy za przegraną, odesłania gwardji polskich do Warszawy i wycofania wojsk rosyjskich z kongresowej Polski.

Tę piękną chwilę z życia Szembeka opisywano najróżnorodniej; a Mochnacki, choć nie bardzo przychylny naszym hrabiom i generałom, wyidealizował czyn Szembeka nad rzeczywistość i prawdę.

Sądzę, że nie ubliżę w niczem zasłużonej czci gen. Szembeka, przytaczając nieco odmiennie chwilę postanowienia w Błoniu, której chociaż nie byłem obecny, opowiedzianą miałem, nazajutrz jednozgodnie, od wielu kolegów z mojego pułku; a że opowiadanie było wiarygodne i prawdziwe, dowodzi naturalny przebieg samej sprawy.

Szembek pojechał przecież do w. księcia nie w zamiarze parlamentowania z nim, bo z nikim wprzód się nie widział, nie rozmawiał i do układów od nikogo nie otrzymał upoważnienia.

O równoczesnym wyjeździe delegacji Rady administracyjnej pod przewodnictwem ks. Czartoryskiego Szembek nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł i dlatego nie mógł mieć również zamiaru namawiania w. księcia do uznania powstania i uwolnienia wojska polskiego od przysięgi, bo do czegoś podobnego sam jeden nie byłby miał odwagi i sposobności.

Szembek pojechał niewątpliwie do w. księcia w celu usprawiedliwienia swego marszu do Warszawy, bez wiedzy w. księcia zarządzanego, i dla okazania rozkazu Sobolewskiego, który go w zupełności tłómaczył i od osobistej odpowiedzialności chronił. Jak Szembeka przyjął w. książę, nie jest rzeczą wiadomą, choć z okoliczności domyślać się można, że nie w zwykły sposób opryskliwy i gwałtowny, lecz po przyjacielsku i łagodnie, jak również, że na Szembeku wytargować musiał przyjęcie roli pacyfikatora powstania, — roli, którą miał odegrać,

zajmując stanowisko neutralne w Błoniu, na połowie drogi pomiędzy w. księciem a zbuntowanym miastem.

Nie przerzucając się odrazu na niczyją stronę, Szembek



**General Piotr Szembek.**

(Z fotografii z portretu, znajdującego się w Muzeum Narodowym w Krakowie).

bek na wysokości Błonia był panem sytuacji i mógł się łatwo przyczynić do uśmierzenia powstania, do wytargowania na w. księciu licznych koncesji i do ułatwienia

jemu powrotu do Warszawy, za którym połowa delegacji w Wierzbnie przemawiała.

Za Szembekiem, na jego rozkaz, ciągnął bowiem równocześnie z Płocka 3-ci pułk strzelców pieszych, który, jako należący do brygady, byłby się niewątpliwie poddał jego woli. Brygada strzelców, w silnej ręce Szembeka utrzymana, nie byłaby znowu przepuściła brygady piechoty linjowej, idącej z gen. Krukowieckim od Rawy, i dywizji szaserów, ruszającej się z gen. Klickim z Łowicza, których dowódcy i żołnierze dla powstania byli nieusposobieni, a do otwartego buntu nieskorzy.

Wyzywająca postawa towarzyszków Zenona Niemojewskiego, brzęk pistoletów Kickiego i krwawe widmo serdecznego przyjaciela Stasia Potockiego skrzyły odrazu na inną drogę Szembeka, na której ściskano i witało go ze łzami, powtarzając do znaczenia przysłowia urosłe słowa:

„Ufaj Szembekowi, Szembek cię nie zdradzi“.

Jeden w. książę zadawał kłam tym słowom, gdyż nieraz potem, wspominając warszawskie wypadki i swój odwrót sromotny, wygłaszać miał z goryczą: „Ha!.. skoro mnie i Szembek zdradził, cóż miałem uczynić?“

Trudno opisać radośniejszą chwilę, gdy późnym wieczorem 2-go grudnia rozbiegła się po mieście wiadomość o pochodzie Szembeka i naszego pułku. Mnóstwo osób cywilnych, powracających z cmentarza powązkowskiego, dokąd pod wieczór wywożono poległych w nocy 29-go listopada, i wielu wojskowych różnych stopni pośpieszyło do rogatek wolskich.

I my podchorążowie podążyliśmy za innymi na przywitanie pułku i naszego dowódcy Szembeka.

Długo, jak w nocy bezsennej, podwójnie długo, czekaliśmy na przybycie pożądaných gości, gdyż dopiero około godziny 2-jej nad ranem<sup>122)</sup> dały się słyszeć rogi strzeleckie i dźwięk muzyki pułkowej. Żołnierze byli ogromnie strudzeni, albowiem niektóre, dalej rozłożone

kompanie, dziewięć mil grzędkiej i błotnistej drogi przebyć musiały.

Chwilowo stanął pułk na wypoczynek w koszarach Mirowskich, a nazajutrz rano odbył Szembek na czele pułku prawdziwie tryumfalny wjazd do Warszawy.

Wszystkie ulice, wiodące do Saskiego placu, zapchane były ludem; wszystkie okna domów, dotąd szczelnie pozasłaniane, pomimo dokuczliwego zimna, otwierały się, przystrojone w dywany i piękne kobiety, od ust i serca witające żołnierzy.

Czerwona czapka krakowska, zatknięta na kiju, nadsadować mająca frygijską czapkę dni lipcowych w Paryżu, niesiona przed koniem Szembeka, i muzyka grzmiąca od ucha mazurka Dąbrowskiego, zapalały co chwila gardła do nowych okrzyków. Po przeglądzie pułku przez Chłopickiego, którego strzelcy powitali nawzajem z szaloną radością i po uwieńczeniu sztandarów bataljonowych bukietami kwiatów, udał się Szembek do pałacu ministra skarbu<sup>123)</sup> na posiedzenie Rady administracyjnej.

Od tej chwili Szembek stał się odrazu bożyszczem dnia, równie potężnym, ubóstwianym i wszechwładnym, jak Chłopicki. Jego przybycie do klubu rewolucyjnego w gmachu redutowym<sup>124)</sup>, o mało nie zawaliło starego budynku pod natłokiem zbiegowiska i frenetycznych okrzyków. Niesiony na rękach, nad tysiącem głów uzbrojonych, do wielkiej sali zabaw publicznych, zniesiony z powodu ścisku na dziedziniec, z mównicy, na drabiniastym wozie urządzonej, zawołał Szembek: „Monu-bodzieju, panowie! jestem żołnierzem, mówić nie umiem, lecz z moimi strzelcami wytoczę ostatnią kroplę krwi dla drogiej Ojczyzny“.

Więcej słów na razie nie było potrzeba.

Chłopicki, Szembek, nasz pułk strzelców pieszych, szkoła podchorążych, inne oddziały wojska i tłumy zbrojnego ludu, jak fale rozhukanego morza, ruszyły razem do obozu w. księcia dla oswobodzenia wojsk polskich, przy jego boku zatrzymanych.

Trudy przedsięwzięcia były daremne: wojska polskie same powracały.

W alei Mokotowskiej, na połowie drogi, od Trzech Krzyżów do rogatek wiodącej, spotkaliśmy piesze i konne oddziały gwardji i wyborcze kompanje mojej brygady, prowadzone przez kapitana Michalskiego.

Spotkanie było rzewne, naprzemian smutne i radosne.

Żołnierze głodni, zmęczeni i sterani do niepoznania, wyrzekali i wstydzili się swego postępku, a składając winę na przelożonych, mścili się na kitkach od kaszkietów, jako niby rosyjskich oznakach, zdzierając je i deptając nogami. Oficerowie usprawiedliwiali swoje zachowanie się niewiadomością stanu rzeczy, bratali się z ludem, uszczęśliwionym ze stanowczego a bez krwi rozlewu ukończonego zwycięstwa rewolucji. Wszystko nawracało do miasta, zdążając za powracającym wojskiem na plac Bankowy, do Rządu Tymczasowego, wobec którego zaszła owa dobrze znana i niejednokrotnie opisywana scena, uratowania życia generałom Wincentemu Krasieńskiemu<sup>125</sup>) i Kurnatowskiemu przez Szembeka.

Radość, w szczegółach opisać się nie dająca, na ulicach, przepełnionych ludem, trwała aż do późnej nocy. Patryjotyzm i gościnność warszawska powróciły w całej pełni; a gdy wieczorem, po raz ostatni, zapalaliśmy ogień na ulicach i placach, były to już święte ognie wolności, a nie wskazówki upokarzających legowisk pod zamkniętymi bramami domów...

Równocześnie zwinęliśmy nasz obóz na Orlej i Elekoralnej ulicy i powrócili do naszej szkoły, ażeby zmienić bieliznę i piątą noc z kolei przepędzić dopiero pod dachem.

---

#### XIV.

### Nominacja na podporucznika. Pohulanka w mieście. Wymarsz na linię bojową.

Na wielkim przeglądzie wojska i szkoły podchorążych, na placu wojennym po południu d. 6-go grudnia odbytym, Chłopicki, otoczony świetnym sztabem, wystąpił na koniu, w mundurze generała polskiego, z wszystkimi krzyżami francuskimi i polskimi na piersiach, i tym dzielnym głosem, co huk armat głużył, a w Saragossie nie dozwolił cofnąć się na krok żołnierzowi, wygłosił pochwałę męstwa i poświęcenia dla naszej szkoły.

Szkoła odpowiedziała okrzykiem: „Niech żyje dyktator!“ Okrzyk powtórzyły pułki liniowe i tłumy ludności, muzyki zagrały znanego marsza i instalacja dyktatury dokonana została najsoleńniej.

W trzy dni po pochwałę nastąpiła nagroda, albowiem dyktator w rozkazie z d. 9-go grudnia, wszystkich nas, 222 uczniów szkoły podchorążych pieszych, nie wykluczając Zagrodzińskiego, który chwilowe zapomnienie męstwem w pamiętnej nocy wynagrodził, mianował podporucznikami.

Zamknięto na wieki szkołę, przeznaczając jej budynek na lazaret wojenny, otwarto publiczne składki dla wyekwipowania uboższych podporuczników i rozesłano nas po właściwych pułkach dla wypełnienia braków w trzecich i czwartych bataljonach, które dowódcom pułków na gwałt tworzyć rozkazano.

Przed odejściem do Sochaczewa, wyznaczonego na punkt zborny dla rekrutów, ochotników i dymisjonowanych żołnierzy mojego pułku, z których przedewszystkiem 3-ci bataljon miał być utworzonym, pohulaliśmy sobie po Warszawie.

Rzecz całkiem naturalna, iż zwolnieni nagle z więzów ślepego posłuszeństwa i z karbów szkolnego rygoru, przyjmowani na miejscach publicznych i po domach prywatnych w wierszu i w prozie, z uniesieniem i zapalem, witani przez wojsko linjowe ze czcią i honorami, a przez młodzież akademicką z miłością braterską, uważaliśmy się za zbawców narodu i ludzi najszczęśliwszych na ziemi.

To też głośno i pełno było nas wszędzie, jak trawy wschodzącej pod promieniami jasnego słońca, nawet tam, gdzie być nie powinno, gdzie jej nie posiano...

Jaś Szembek wprowadził mnie w świat kawiarniany, mnie dotąd nieznaną, a wówczas wielką, potężną, gwarną i ponętą.

Od Loursa i Barocca do kawiarni w Dziurce, w entre-solu Teperowskiego pałacu, podwiedzałem wszystkie kawiareczki i szynkareczki, nie wyjmując owych „Trzech Czarnych Marysienek“, które naprzeciw hotelu Lipskiego, Nalewek i Arsenалу rozsiadły się z białą kawą i rosyjskim czajem.

Najczęściej i najdłużej przebywałem u Honoraty Zimermann, utrzymującej kawiarnię przy ulicy Miodowej, w domu Kochanowskiego<sup>126</sup>), kamerdynera w. księcia, a to dla tej przyczyny, iż w drugiej obszernej sali wygrywała muzyka czeska nasze narodowe melodje, których stęsknione uszy łaknęły bez końca.

Z początku płacono złp. 1 za wstęp do tej sali, za co przynoszono już i filiżankę kawy w podarunku, lecz gdy z muzyką połączył się śpiew amatorów i popisy poetów, natłok do tego przybytku ludowej muzy stał się tak wielkim, iż o swobodnem picu kawy i ulubionem maczaniu różka nie mogło być mowy. Zaledwie bowiem muzyka

ukończyła jaką artystyczną produkcję, zaraz stawiano na stole śpiewaka, intonującego jaką pieśń o w. księciu lub strapionym Rosjaninie, której końcowe zwrotki powtarzano chórem lub przybijano ulubionem „Rom, tom, tom“, łoskot bębniów naśladowującym.

Na poetach i śpiewakach nigdy nie zbywało, a ich zadanie było wdzięczne i łatwe, gdyż pieśni tego rodzaju, jak:

„Po bruku szumiałeś,  
Szampańskie spijałeś,  
Teraz wśród hałasu  
Napijże się kwasu“

klejono na poczekaniu, a śpiewano z wielkiem powodzeniem i zapalem.

Wiersz Ludwika Ryłskiego, na cześć Szembeka ułożony i ogłoszony drukiem, owym chwilom zawdzięcza swoje pochodzenie.

Profesorami śpiewu i artystami tej pierwszej polskiej *Caffé-chantant* byli Ordęga i Antoni Strusiński, pod nazwiskiem krakowskiego akademika znany; a śpiew ich był tak ulubionym, iż gdy na chwilkę zamilkł, zaraz natarczywie wołano: „Strusiński, Ordęga na stół, — na stół do śpiewania!“

Muzyka i śpiewy nęciły w to miejsce przybywających z Krakowa ochotników; a że wszystko i wszyscy, co przypominali Kraków, byli drogimi dla stęsknionego serca, więc też dla wyszukania Krakowiaków, przy każdej zdarzonej sposobności, zaglądałem do Honoratki. Pierwszymi, co u niej spotkałem, byli młodzi doktorzy z Krakowa: czupurny Majerek przy białej kokardzie i ogromnej szablicy, wraz z cieniutkim jak patyczek Skoblem, których chociaż dostrzegłem na ulicy już nazajutrz po krwawej nocy, do nich jednakże z szeregu zbliżyć się nie mogłem. Stamtąd nieco później wyprowadziłem moich krakowskich bratków: Florjana Bartla i Ignacego Louis<sup>127)</sup>, zbiegłych z domu do Warszawy, i ułatwiłem im wstąpienie do 4-go pułku strzelców konnych.

Oprócz kawiarni i teatr narodowy wprawiał mnie w zachwycenie i niemal odwoził od zmysłów.

Kto uwierzy, że dopiero w 26-tym roku życia znalazłem się po raz pierwszy w warszawskim teatrze i uwzględni ów szal patriotyczny, jaki nagle i odrazu po owej trwodze i apatii ogarnął mieszkańców Warszawy, ten łatwo zrozumie, iż na pierwszym przedstawieniu scenicznem, w niedzielę 5-go grudnia odbytem, jak odurzony i nieprzytomny przecierałem oczy, zadając sobie pytanie, czy to, co widzę, słyszę i doznaję, nie jest jedynie sennem złudzeniem.

Dawano operę „Krakowiacy i Górale“, w której Dmuszewski<sup>128)</sup>, od lat 5-ciu na deskach teatralnych nie widziany, pojawił się w roli organisty i śpiewał piosnki, do okoliczności powstania zastosowane. Z dźwiękiem poloneza Kościuszki wniesiono na scenę chorągwie narodowe z herbami Polski, Litwy i Rusi; artyści obojga płci otoczyli je niby wieńcem, muzyka zmieniła nutę na pieśń legjonów i przy niej chóry teatralne rozpoczęły śpiew:

„Długo spała Polska święta,  
Długo orzeł biały spał,  
Lecz się zbudził i pamięta,  
Że on niegdyś wolność miał“.

Publiczność, powstawszy z miejsc, wtórowała śpiewowi, a gdy przyszło do ustępu:

„Będziem rąbać, będziem siekać,  
Jak nam miły Bóg i kraj!“

zdawało się po zajęciu, z jakim końcówki tych słów z tysiąca ust spadały, iż cała Rosja wkrótce w wielką torbę sieczki zamienioną zostanie.

Nie mniejszy zapal wywołał inny śpiew, również w tym dniu zrodzony i wygłoszony, a poświęcony czci młodości polskiej, którego zwrotkę:

„Niech do boju każdy biegnie,  
Piękne tam skonanie,  
Za jednego, który legnie,  
Stu mścicieli stanie!“

sprostowała zentuzjasmowaną publiczność, protestując i krzycząc w niebogłosem:

— Nie stu mścicieli... lecz tysiąc... tysiące stanie...

Śpiew i tańce na scenie tak rozochociły widzów, iż wyrzucono z parteru ławki i krzesła, damy powychodziły z łóż i poczęto zapamiętałe śpiewać i tańczyć krakowiaka i mazura. Równość i wesołość zapanowały powszechnie, a żołnierze linjowi i podchorążowie hulali ochoczo z paniami wyższego świata obok oficerów i gwardzystów narodowych.

Wśród szału zabawy zjawił się Wysocki, powitany okrzykami, wstrząsającymi mury, a pochwycony na ręce, w tryumfie obnoszonym był po sali i zaniesionym na scenę.

Tak rozkoszną i ponętną Warszawę wkrótce z wielkim żalem opuścić musiałem, otrzymawszy nominację na podporucznika z przeznaczeniem do 3-go bataljonu.

Po przedstawieniu się dyktatorowi Chłopickiemu i pożegnaniu Monu-bodzieja, wyniesionego na jeden tydzień do godności gubernatora m. Warszawy<sup>129)</sup>, wyjechałem wraz z kolegami na podwodach do Sochaczewa, jako miejsca organizacji bataljonu.

W Sochaczewie dostałem się na kwatere do p. Darasza, który później na wychodztwie dorobił się sławy wielkiego demokrata, i zabawiałem się naprzemian polowaniem i musztrą 3-ciej kompanji karabinjerskiej, do której przydzielony zostałem. Dowództwo kompanji objął kapitan Sejdler<sup>130)</sup>, znany z okrucieństwa, lecz przemieniony nagle w potulnego baranka. Porucznikiem w kompanji został Stanisław Karwowski<sup>131)</sup>, zaś drugim podporucznikiem Jaś Szembek.

Bataljon 3-ci stawał na nogi stosunkowo bardzo prędko, gdyż do naszego pułku, który w patriotyzmie i poświęceniu od d. 3-go grudnia rywalizować począł z 4-tym pułkiem piechoty, wracali nasi dymisjonowani oficerowie, jak August Frezer<sup>132)</sup> i Leopold Koszutski<sup>133)</sup>, zgłaszało się też wielu dawnych żołnierzy, księży, akademików i literatów na ochotnika.

O ile pamiętam, warszawscy Bernardyni dostarczyli nam 12 kleryków, a takie rewolucyjne powagi, jak Maurycy Mochnacki<sup>134</sup>), Adam Gurowski<sup>135</sup>), Szymon Konarski<sup>136</sup>), stracony potem w Wilnie, Aleksander Grzegorzewski<sup>137</sup>), tryumwir krakowski w r. 1846, Walenty Węzyk<sup>138</sup>), co lał krew swoją w obronie osoby cesarza Napoleona III pod Boulogne, Kazimierz Wołowski<sup>139</sup>), syn deputowanego, akademicy: Józef Więckowski, Paweł Solecki<sup>140</sup>), Leon Biliński ze Lwowa i wielu innych wstępowali w szeregi mojego pułku.

Kasę oszczędności i gratyfikacyjną pułku, posiadającą około 100,000 złp. w zapasie, złożyliśmy na ołtarzu Ojczyzny, a ogromne zapasy bielizny, mundurów i obuwia, pozostałe na komorze pułkowej z lat poprzednich, użyto na przyodzianie bataljonu trzeciego. Broń przywieziono z Warszawy; brakowało tylko nieco kaszkie-tów, lecz i te dorobiono, a 3-ci bataljon w komplecie wojennym, pod dowództwem majora Józefa Kościelskiego<sup>141</sup>), zostawiając w Sochaczewie tylko rezerwę pułku w sile 100 ludzi i związek formującego się bataljonu czwartego, już w drugiej połowie grudnia odmaszerował do Warszawy i stanął w koszarach Aleksandryjskich.

Z Warszawy wychodziły już różne pułki na linię bojową. My pozostaliśmy na miejscu do końca stycznia<sup>142</sup>), gdyż IV dywizja piechoty, do której nasza brygady wliczoną została, należała pierwotnie do rezerwy.

Przed wyjściem w pole usunięto z pułku wielu starszych oficerów, ociężałych lub niezdolnych do znoszenia trudów kampanji zimowej. I tak, dowódcę naszego pułku, podpułk. Rolbickiego przeniesiono do sztabu głównego, czem się biedaczysko tak dalece zmartwił, iż się zastrzelił w d. 6-ym marca, kapitana Michalskiego przeniesiono w randze majora na adjunkta kancelaryjnego również do sztabu głównego, major Zambrzycki<sup>143</sup>) odszedł do korpusu weteranów czynnych, a kapitanowie Kurniewicz<sup>144</sup>), Zadolski<sup>145</sup>) i Ignacy Przyborowski zostali majorami w innych pułkach. Na ich miejsce: podpułk. Noffok<sup>146</sup>) z pułku grenadierów został dowódcą pułku,

kapitanowie Faustyn Pawłowicz<sup>147)</sup> z grenadierów, Chlewski<sup>148)</sup> i Dunin<sup>149)</sup> z naszego pułku majorami i w tym stosunku kilku poruczników kapitanami, podporuczników porucznikami, a Zalewski, Plendus i Paszkowski<sup>150)</sup>, wszyscy trzej mianem Józefa obdarzeni, podporucznikami.

Z głuchą wieścią gromadzenia się znacznych sił rosyjskich na granicy Królestwa Polskiego przyszła kolej i na nas do wymarszu wśród srogiej zimy, a z nią i ciężka chwila rozstania się ze stolicą.

Pomimo wczesnego poranku, słabo oświetlonego zimowem słońcem, i dokuczliwego wiatru, wzruszającego śnieżne posłanie ulic i nakrycia dachów, już pod bramami naszych koszar wyczekiwały liczne kółka znajomych i ciekawych, ażeby po raz ostatni uścisnąć dłoń braterską, rzucić słowo pożegnania lub zachęty na drogę, z której tylko wybrańcy szczęścia ze zdrowiem i życiem wracają.

Odgłos rogów, wtórujący dźwiękowi muzyki janczarskiej, grzmiącej tak ulubionego wówczas mazura „Nasz Chłopicki wojak, dzielny, śmiały“, zabierał z sobą jak lawina, wśród pochodu rozwiniętego pułku, coraz liczniejsze tłumy ludności stolicy, wybiegające z pobliskich domów i ulic, i wiódł je na plac ostatniego przeglądu. Tam, jakież odmienne od owych, przez Rosjan w zwyczaj wprowadzonych, smotrów Saskiego placu czekało na nas przyjęcie!.. jakaż zaszła różnica od owego, w dziejach powstania listopadowego pamiętnego, przeglądu pułku w d. 3-go grudnia!..

Te same masy ludu, które wówczas okrzykami uniesienia i radości chciały rozsadzić mury miasta, rozpędzić chmury wiszącej burzy i wyrwać z niej jasne promienie upragnionego słońca wolności, spoważniały w ciągu kilkutygodniowych wydarzeń, a pod wrażeniem obiegających wieści o rozpoczynających się krokach nieprzyjacielskich, w posępnem milczeniu, żegnały odchodzące na linię bojową bataljony naszego pułku.

Już imię Szembeka nie elektryzowało ogółu, a postać 1-go pułku strzelców pieszych nie wzbudzała uwielbie-

nia. I nie dziw, — Warszawa doznawała codziennie tylu i tak nagłych wrażeń, tak wielu witała i żegnała, a tyle utraciła nadziei i miłości w swym ideale zbawienia, wymarzonem w postaci Chłopickiego, iż wśród ponurej ciszy wysłuchiwała służbowego przedstawienia naszego pułku naczelnemu wodzowi ks. Radziwiłłowi, którego dokonał jego dawny pułkownik, do rangi generała dywizji posunięty, hr. Szembek.

Zwolna, wśród rzewnie żegnających się tłumów, nie mniej rozrzewnieni, spływaliśmy wąską wstęgą ze spadzistej Bednarji <sup>151)</sup> na most pontonowy, a złączywszy się na Pradze z taborem wozów pułkowych, podążyli za 3-cim pułkiem strzelców pieszych, uzupełniającym brygadę, i utonęli w śniegach na drodze, wiodącej do Okuniewa.

---

## XV.

### Assekuracja dział pod Wawrem. Ucieczka na Saską Kępe.

Szczegółowy opis kampanji 1831 roku, pod względem strategicznym lub taktycznym, nie może być przedmiotem opowiadań podporucznika piechoty, który ukryty w kolumnie bataljonowej, niewiele przed sobą widzi, a z tego nawet, co dostrzedz może, niewiele rozumie i dlatego o ogólnym przebiegu wypadków wojennych, jako sprawozdawca lub krytyk, rozprawiać nie powinien.

Jeżeli pomimo to niektóre wydarzenia wojny powstańczej, w których wzięłem osobisty udział, w szereg moich opowiadań wplątam, czynię to jedynie dla uczczenia pamięci mojego pułku i wyrwania zapomnieniu nazwisk drogich towarzyszy broni.

We wszystkich armjach europejskich każdy pułk ma swój rocznik wojskowy i „*liber memorabilium*“, ogłoszony drukiem. Dla armji polskiej nie wydano na rok 1831 rocznika, a historie pojedynczych pułków nie zostały dotychczas ogłoszone<sup>152</sup>).

Otóż dalsze opowiadania moje niechaj będą ułamkiem rocznika i kroniki dziejowej pułku 1-szego strzelców pieszych.

Mało taktycznego zajęcia, lecz wiele fizycznego trudu wymagało rozwinięcie wojska polskiego naprzeciw wkraczającej armji rosyjskiej w granice Królestwa Polskiego.

Dywizja Żymirskiego posunęła się od Kałuszyna i Mińska na linię rzeki Liwca, dywizja Skrzyneckiego ruszyła za nią, a nasza dywizja, t. j. gen. Szembeka, której drugą brygadę tworzyły cztery bataliony grenadierów pod dowództwem gen. Milberga, zajęła opuszczone po niej stanowiska w Stanisławowie i utworzyła wraz z dywizją gen. Krukowieckiego drugą linię bojową.

Nagle odwrócenie linii operacyjnej od Siedlec do Łomży, a wskutek tego nieustające marsze i kontrmarsze w celu utrzymania czucia z dywizją Skrzyneckiego, pchnięta do Węgrowa i znów odwołana ku Serockowi, sprowadziły naszą dywizję w środek linii bojowej, wyciągniętej następnie biegiem Bugu, od Modlina do Wyszkowa. W poruszeniach tych pułk nasz nie był jednostką, lecz był wszczepiony w całą dywizję i dlatego o nim nie wspominam.

Przybycie Chłopickiego w charakterze generała-ochotnika do naszej dywizji w d. 7-mym lutego i odkrycie głównych sił rosyjskich pod Węgrowem sprawiły znowu wszystkie nasze dywizje w ruch ku Liwu i skrzywiły naszą linię bojową. Dywizja Skrzyneckiego poszła w dniu 11-tym lutego na bagna Liwca, a my, depcząc po jej piętach, wstępowaliśmy w jej ślady. To ciągłe gonienie wiatru w okolicy lesistej i pełnej moczarów, na drogach rzadkich i ciasnych, wśród odwilży, która nastawała, spowodowało wielkie znużenie wojska a zarazem i zmniejszenie, gdy te poruszenia, należycie nieobliczone, pozbawiły nas obronnej linii Liwca bez użycia broni i wzburzenia wiary we własne siły.

Wieść o zwycięstwie gen. Dwernickiego pod Stoczkiem, lotem błyskawicy nadbiegła do naszych szeregów i potężnie skrzepiła upadającego ducha żołnierzy. W ślad za nią rozeszła się wiadomość o postanowieniu naczelnego wodza wydania walnej bitwy na wysokości Mińska; a rozkazy, w tym celu wydane, doszły naszą dywizję za powrotem w okolice Okuniewa.

Przodująca nam dywizja Skrzyneckiego odbyła już

zmierzchem 14-go lutego chrzest ognia pod Zakrzewem, starłszy się z przednią strażą korpusu Rosena, a w trzy dni potem jeden z najświetniejszych bojów, pomiędzy lasem Makowieckim a gruntami wsi Dobre. Nam, zbitym pod Okuniewem w masę 32 bataljonów pieszych, przy padło w udziale tylko niespokojne wyczekiwanie nadejścia korpusu Rosena i febryczne rozdrażnienie na głuche echo gdzieś dalekich strzałów działowych i na widok chroniących się za nasze szeregi rozbitków z 2-go pułku strzelców pieszych. Rosen, wstrzymany oporem Skrzyneckiego pod Dobrem, nie ruszył się na nas, lecz za to piesze kolumny gen. Czaadajewa i konne Sackena, odszczepione od głównej armji Dybicza, naszły nas w Pu stelniku pod Okuniewem w niedzielę<sup>153</sup>) d. 18-go lute go wieczorem i zaprosiły po raz pierwszy do krwawych zapasów. Za bagnistym strumieniem byliśmy dość bez pieczni i wygodnie słuchaliśmy rotowego ognia pułku grenadjerów i dwugodzinnego popisu artylerji.

Rozkaz Chłopickiego nie dozwolił naszej dywizji za puszczenia się w bój prawdziwy i dlatego pułk nasz, nie wzięwszy udziału w starciu, zdążając za główną kwar terą armji, wśród egipskich ciemności, około godziny 11-tej w nocy, rozpoczął odwrót na równiny Grochowa. Idąc po omacku, za wskazówką dalekiej łuny pożaru w Miłosnej, dóbr, do ks. Lubeckiego należących, pułk nasz, wyszedłszy z głębokich lasów, skręcił się od Woli Grzy bowskiej przed karczmę Zieloną, a prowadzony na prze łaj przez p. Leona Drewnickiego, dzierżawcę Wawru, wyszedł na szosę murowaną pod karczmą Wawerską. Z szosy, zapchanej taborami wojskowymi i uciekającym ludem wiejskim, zeszliśmy na lewo ku strumieniowi Ka czego-Dołu i przy nim na kuczkach resztę nocy odbyli.

Z brzaskiem 19-go lutego zwróciliśmy się czołem do wzgórz i lasów Miłosny i utworzyli wraz z 3-cim puł kiem strzelców pieszych skrajnią prawego skrzydła pierwszej linji bojowej, mając przy sobie nasze dywi zyjne baterje artylerji pieszej, t. j. 2-gą pozycyjną Piętki

i 4-tą lekką Najmanowskiego i pułk grenadierów w rezerwie.

Spychani przez pułki kawalerji, które na prawym boku zajmowały nasze nocne stanowisko, posuwaliśmy się coraz bliżej do szosy, na której, około godziny 8-ej zrana spostrzegliśmy w oddaleniu dywizję Żymirskiego, maszerującą w pełnym odwrocie z Miłosny.

Jak zwykle, uchodzący ma za sobą na karku ścigających, tak też i dywizja Żymirskiego wiodła za sobą gęste chmury rosyjskiej kawalerji, z krzykiem opadającej i nacierającej na nią nieustannie.

Szembek, który jak w dziewczynie zakochanym był w naszym pułku po uszy, gdy go minęło naczelne dowództwo armji przy głosowaniu w Sejmie kilkoma kreskami<sup>154</sup>), obok dywizionerstwa, zatrzymał przy sobie i dowództwo swej brygady i naszego pułku. Było to nie małym zmartwieniem dla podpułkowników, dla nas jednakże wielką korzyścią, albowiem pułk nasz w boju i przy wyborze stanowisk miał pierwszeństwo.

Otóż Szembek, stojąc, jak zwykle, przy naszym pułku, spostrzegł niebezpieczeństwo odwrotu Żymirskiego i trudności wydostania się jego na szosę i dlatego postanowił podać mu pomocną rękę. Lekka bateria Najmanowskiego z świeżo upieczonymi podporucznikami Józefem Głębockim, Dornfeldem i Kossem<sup>155</sup>), wysunęła się naprzód i tak do serca huzarów Łopuchina przemawiać zaczęła, iż dali spokój dywizji Żymirskiego i na bok się usunęli. Również i inne oddziały jazdy na widok naszych kolumn, dochodzących na wysokość cofających się bataljonów Żymirskiego, zsunęły się za nimi, lecz odkryły brygadę jegrów Afrozimowa wraz z kilkunastu działami, wychylającą się z za lesistych wzgórz naprzeciw naszych zastępów.

Zjawienie się tej poważnej siły nieprzyjacielskiej, obrzucającej nas z krawędzi lasu pociskami działowymi, a pod ich osłoną rozwijającej się w szyk bojowy, wpłatało naszą brygadę w bój niespodziewany.

Szembek, nie mogąc znieść dłużej ognia działowego i nie chcąc doczekać się napadu Rosjan z bronią u nogi, począł formować na szosie kolumny do ataku. Bataljon trzeci, w którym służyłem, pozostawił w asekuracji baterji pozycyjnej Piętki, która jak organy na 10 głosów grać rozpoczęła<sup>156</sup>).

Rosjanie odpowiadali żwawo, a kule armatnie, rekoszetując, orały nieźle gościniec i strzępiły, co chwila przez Szembeka ustawiane kolumny. Adjutant brygady Żarski<sup>157</sup>), polowi adjutanci Szembeka: Paprocki, Gościmski<sup>158</sup>) i młody Byszewski, który za małą chwilkę przeniósł się do wieczności, chcieli go w formacji kolumn wyrzucić i z pod ognia usunąć.

Szembek ofuknął się jednak, powtarzając:

— No to zginę, Monu-bodzieju, i cóż z tego... a zwróciwszy konia na czoło pierwszego bataljonu, zawołał:

— Chłopcy, teraz pójdziemy naprzód, ale jakby się który z was w tył oglądał, to mu niech inni w łeb strzelają...

— Monu-bodzieju, Kościelski<sup>159</sup>), pilnuj tymczasem armat!

Trąbiąc, bębniąc i krzycząc, puściły się do ataku prawym bokiem szosy, zapchanej rejteradą Żymirskiego, dwa pierwsze bataljony. Za ich przykładem pobiegł drugą stroną gościńca 3-ci pułk strzelców pieszych z pułk. Bielińskim, — a nam, biedakom trzeciego bataljonu, pozostała ciężka a niewdzięczna służba asekuracji armat.

Jak się spisał Szembek, opowiedzieli dokładnie pisarze wojny 1831 r. i pokazał rezultat, odkryty przypadkiem w tornistrze Macioska. Pułk jegrów za pierwszym natarciem Szembeka w puch rozbitym, na bagnietach rozniesionym i do lasu napowrót wrzuconym został<sup>160</sup>).

Znany nam tancmajster z Rawy, Franciszek Bobiński, z kompanją swoją pokazywał tam nielada sztuki, gdyż, jak wszystkie warszawskie dzienniki podówczas głosiły, własną ręką zabić miał nie mniej i nie więcej

jak 11-stu oficerów i żołnierzy rosyjskich, a podoficer Rajski<sup>161)</sup> nie mniejszą ich liczbę. Wtedy to, po ukończonym pościgu rozbitych i wycofaniu się naszych żołnierzy z lasu, porucznik Stryjeński, porządkując kompanię, spostrzegł, iż żołnierzowi Antoniemu Macioskowi spuchł strasznie tornister i z niego jakaś jedwabna szmata wygląda. Poczęto ją z żartu ciągnąć, — i o dziwy! wydobyto chorągiew rosyjską, którą Maciosek w towarzystwie żołnierzy Jakóba Żużkiewicza i Józefa Rodnego<sup>162)</sup> chorążemu w lesie wraz z życiem wydarł, z drzewca oderwał i w zamiarze sekretne go spieniężenia na tandecie w Warszawie w tornistrze ukrył.

— *O sancta simplicitas!*.. zawołał Szembek, gdy mu doprowadzono zawstydzonego Macioska i pierwszy na nieprzyjaciela zdobyty sztandar.

W chwili, gdy pułk nasz zbierał wawrzyny na krąwędziach sosnowego lasu Miłosny, świeże brygady piechoty i baterje artylerji korpusu Pahlena wystąpiły około południa do boju i spędziły Szembeka z zajętych wzgórz.

Nasza artylerja poczęła je witać strzałami. Na jej pozdrowienie odpowiadać zaczęły coraz liczniejsze baterje, a ta rozmowa artyleryjska stawała się coraz welszą i żywszą, lecz dla nas mniej zajmującą.

Stojąc za działami w otwartem polu, służyliśmy artylerji rosyjskiej za żywy poligon i krwią zwilżali obficie ławę piaskową. Stać z założonemi rękami przez kilka godzin nieporuszenie, patrzeć gołemi oczyma na łysk ognia lub kłębki dymu, unoszące w powietrzu granaty, słyszeć co chwila jęk lub krzyk przerażenia, a za całe zajęcie mieć wywlekanie trupów z szeregu lub odnośzenie rannych w miejsce bezpieczne, było położeniem, trudnem do zniesienia. Już kapitanowi Zagrodzkiemu<sup>163)</sup> kula armatnia urwała obie nogi, podpor. Iwan Paciorkowski rozerwany został w pasie, dwóch innych oficerów i 54 żołnierzy, nie licząc lżej rannych, tarzało się we krwi i piasku, a dowódca naszego bataljonu Kościelski, głu-

chy na wszelkie przedstawienia i prośby, nie chciał ruszyć bataljonu z miejsca, choćby na przechadzkę w prawo lub w lewo za baterję, dla rozweselenia strwożonych umysłów i uniknięcia przykrych widoków.

Gen. Chłopicki, który od Grochowa nadjechał ze sztabem i jakiś czas pozostawał przy działach pozycyjnych, nie zwrócił na nas uwagi; i dopiero dowódca baterji Piętka, widząc i słysząc wzmagające się w naszych szeregach zamieszanie, podjechał do Kościelskiego i skłonił go do ustawienia bataljonu za karczmą Wawerską, gdzie już o wiele bezpieczniej doczekaliśmy się po południu odwrotu Szembeka i bataljonów naszego pułku.

Cofnięcie się naszej brygady aż pod wyloty dział, przez nas strzeżonych, przedarcie się kawalerji nieprzyjacielskiej na nasze prawe skrzydło i spędzenie z niego trzech pułków jazdy, sprowadzonych rano przez Szembeka, zmusiło nasze baterje do opuszczenia placu, a temsamem i uwolniło nas od roli aniołów-stróżów.

W tej błogiej chwili walka ręczna rozplomieniła się jednak na całej linji i w pełnej sile. Bataljon nasz, zwinięty w kolumnę, zasłonił ustępujące bataljony i słał przed siebie rotowy ogień, lecz brygada Dobruszyna<sup>164</sup>) chwyciła nas za kark, z karczmy Wawerskiej wyrzuciła i pchała w tył przed sobą, z góry na dół do Grochowa, przewracając bataljon po bataljonie.

W tej strasznej wrzawie i kurzawie wojennej straciliśmy pamięć o świecie, nie mogliśmy się opamiętać pomimo nawoływań i zabiegów Szembeka i Bóg wie, jak daleko bylibyśmy się tak staczali ze wzgórza wawerskiego, gdyby nas nie ocucił silniejszy od grzmotu armat i trzasku karabinów głos Chłopickiego, który pochwycawszy naszą rezerwę, t. j. pułk grenadjerów, i wykrzykując po swojemu *à la* Fryderyk W., uderzył z nim na Rosjan, pościg wstrzymał, a nam dał sposobność do ochłonięcia z trwogi, zebrania się na nowo i uszykowania za plecami grenadjerów.

Była już godzina 4-ta po południu. Zmierzch zaczął

zapadać, a Szembek, zziajany jak nieboskie stworzenie, sprowadził nas z szosy na lewo, na nową pozycję, do lasku, pierwszego od Wawra a drugiego od Pragi.

Huk armat nie ustawał i trwał przez noc całą do świtu. W obawie dalszego pościgu i napadu, pomimo niewysłowionego znużenia, sypaliśmy przed naszym stanowiskiem szaniec dla armat i kopali zasieki naokoło lasu, rozstawiali czaty i rozsyłali patrole aż do Saskiej Kępy.

Niemoc, następująca zwykle z chwilą wytchnienia po nadzwyczajnych wysileniach ciała i wrażeniach umysłu, ośwładnęła nas natychmiast, gdy umilkły działa, a cisza nocna po polach Grochowa rozlewać się poczęła. Całe szeregi żołnierzy wywracały się na ziemię, albo stojąc lub siedząc, zasypiały. Oficerowie z przeziębienia i zmęczenia zachrypli, potracili głos do komendy, a wielu z nich rozchorowało się ciężko; pomiędzy nimi Nepomucen Frezer<sup>165</sup>) i Bobiński<sup>166</sup>), który zaraz z wieczora, wraz z rannymi odwieziony być musiał do Warszawy.

Nie dłużej, jak cztery godziny, używaliśmy błogiego spoczynku, gdyż nazajutrz we wtorek<sup>167</sup>), już od godziny 8-ej zrana, cztery nasze baterje, a pomiędzy nimi i nasze dywizyjne Piętki, wraz z kilkudziesięciu działami Rosena z niesłychaną gwałtownością na przetrzymanego ryczeć sobie poczęły. Wprawdzie strzały działowe nie były skierowane na nasz lasek, lecz na sąsiednią Olszynkę i ukryte w niej brygady; lecz gdy kłótnia poprzedza zwykle bitkę nie tylko w sporach ludzi zwaśnionych, lecz i narodów, przeto te swary kanonjerskie ocuciły nas w momencie i postawiły na nogi. Z wielką uwagą słuchaliśmy też odtąd artyleryjskiego koncertu i wrzawy zapasów piechoty o Olszynkę, które na naszym lewym skrzydle do 4-tej z południa nie ustawały.

Do nas nie przyszło zaproszenie na krwawe gody i dlatego przez cały dzień 20-ty lutego i przez cztery dni następne siedzieliśmy w okopanym lasku całkiem wygodnie i spokojnie, jak u Pana Boga za piecem. Lasek posiadał bowiem wszystkie warunki doskonałego obozu.

Drzewa na opał i gałęzi na szalase mieliśmy poddostatkiem; z pobliskiego Grochowa żołnierze przynieśli nieco słomy na posłanie, stary dywan i kanapę, porzucone, czy znalezione w jednym z opuszczonych dworków. Sztab brygady zajął kilka domków za laskiem, w osadzie Gocławka, a drożyna, wiodąca przez tę osadę do szosy, ułatwiała naszym markietankom przywóz wszelkich artykułów żywności i nieustający ruch fiaków warszawskich z gośćmi w odwiedzinach.

— A co, Jasiu, możebyś poszedł do Lipińskiego na kurczaka, a mnie tę kość zostawił? — spytałem pierwszego wieczora, siedzącego obok mnie na gnieździe, usłanem z gałęzi, podpor. Szembeka, oblizującego zapamiętale śmierdzącą kość od szynki.

— Idź sam i uracz się za mnie, ja zostanę z mym gnatem, — spoglądając na Grochów, żałośnie odpowiedział zagadnięty.

Miał rozum Szembek, bo w Grochowie niewiele było widać śladów z owych pysznych wiatraków, schludnych domków i z owej oberży Lipińskiego z pięknym ogródkiem, tak często odwiedzanej podczas letnich wycieczek z Warszawy, a słynnej z dobrej kawy, kurcząt i śmietany.

Po kilkudniowych trudach, głodach i biedzie, pokrzepiliśmy się znacznie na duchu i na ciele, podjedli ciepłej strawy i warszawskich bakaljów, odświeżyli bieliznę i obuwie i bylibyśmy jeszcze chętnie warzyli w naszych samowarach i rozkoszowali się dywanem i kanapą w owym lubym lasku, gdyby niespodziewany huk armat wczesnym rankiem 25-go lutego nie zerwał nas na nogi i nie ustawił w kolumny bojowe.

Strasznej walki, toczącej się przez tyle godzin o Olszynkę grochowską, byliśmy tylko niemymi świadkami, oddaleni od niej o strzał armatni, nie rozumiejąc i nie odgadując przyczyny, dlaczego nas nie pchnięto w to piekło na ziemi dla zbawienia zwycięstwa i ratunku pojedynczo mordowanych pułków.

W najważniejszej, wszystko rozstrzygającej chwili staliśmy z bronią u nogi, nieczynni, na prawo od szosy. Przed nami w zaroślach leżeli wolni strzelcy Podlascy, niespokojne a gorące dzieciaki, z których wielu przez niesforność, a między nimi i 14-letni Ferdynand Dunowski, syn zamożnych rodziców, ciężkie odnieśli rany. Obok nas, jeszcze dalej na prawo, aż do Saskiej Kępy, rozwleczony stał spokojnie pod bronią 3-ci pułk strzelców pieszych, zaś za nami grenadjerzy, prawdopodobnie przeznaczeni dla niedopuszczenia obejścia naszej armji z tyłu.

Dopiero w samo południe, gdy dywizja Skrzyneckiego, stykająca się z nami prawem ramieniem, runęła w Olszynkę, a Chłopicki wyrwał nam z za pleców grenadjerów i ruszył z nimi również do Olszynki, przesunęliśmy się nieco z prawego brzegu szosy na lewy, bez wzięcia jednak udziału w walce o Olszynkę.

Zamieszanie, jakie wskutek ostatecznego utracenia Olszynki, zranienia Chłopickiego i olbrzymiej szarży jazdy rosyjskiej na naszej całej linii około godziny 3-ciej z południa zapanowało, zaskoczyło nas w chwili, gdy Szembek, któremu dowództwo pierwszej linii powierzyć chciano, powołany przez ks. Radziwiłła pod słupek Żelazny<sup>168)</sup> na naradę, przy brygadzie był nieobecny.

Z owego, jak lawina posuwającego się naprzód, ataku 70-ciu szwadronów jazdy rosyjskiej, odczepiony pułk huzarski Łopuchina<sup>169)</sup> dostał się na szosę i za szosę i uderzył na nas z wielkim impetem; lecz ogniem czworoboków bataljonowych i kartaczami Piętki odpędzony został. W tej chwili śpieszył nam z radą i pomocą Szembek, lecz najechany przez oddział jazdy, przedzierającej się przez szosę, wraz z koniem na ziemię przewrócony został; wprawdzie wyszedł on z tej przygody bez szwanku, a pochwyciwszy za karabin zabitego żołnierza, ostudził swój gniew i pomścił osobistą krzywdę na uciekających, lecz nie wy dostał się już na czoło armji, napieranej ze wszystkich stron i ustępującej ku Pradze.

I nasza brygada, trzymając się głównej armji za rękę

kę, nie mając dowódcy i w obawie odcięcia, zmuszoną była do wycofania się z zagrochowskiego lasku i odwrotu na Pragę. Kolumny rosyjskiej piechoty pchały się gwałtownie naprzód, rozbite szwadrony kirasjerów ks. Alberta latały jak wściekłe, a jeden z nich, liczący około 40-tu koni, gradem kul piechoty zapędzony pod mój bataljon, pod naszym bokiem z matni wymknąć się pragnął. Kościelski chciał mu życie i wolność darować, lecz poczęliśmy chórem krzyżeć: „Zdrada, zdrada!..“ co go przecież skłoniło, iż moją kompanję odzepił od kolumny i wysłał na zamknięcie drogi kirasjerom. Rozsypaliśmy się więc w tyraljerów, biegiem podlecieli pod uciekający oddział, strzałami ubili kilka koni i ludzi, napędzili na rów i z ćwierć kopy owych żelaznych snopów, zwalonych na ziemię, zabrali do niewoli. Zajęci tym harcem wojennym, nie dostrzeżliśmy tak rychło, że nasz bataljon nie wstrzymał kroku, nie czekał na nas, lecz cofał się dalej. Kiedy więc z naszymi jeńcami chcieliśmy się przedostać za ostatnie zagajenie sosnowe i pędzimy całą parą płuc naszych dla połączenia się z bataljonem, spostrzeżliśmy nasz bataljon, napierany z boku przez Rosjan tak gwałtownie, iż niektóre kompanje od kolumn pułkowych już oderwane zostały. Zataczamy półkole i dobiegamy szczęśliwie do Kościelskiego w chwili, gdy wyciągał konia za cugle z rowu, napełnionego wodą, i pytamy natarczywie, co uczynić mamy.

— Ratujcie się na Saską Kępe!.. — była dobra rada naszego poczciwca majora.

W tym popłochu, huku i dymie, nie było oczywiście sposobności i czasu do zbadania naszego położenia lub osądzenia konieczności ucieczki na Saską Kępe. Zbiegliśmy więc z pagórka, skoczyli do szerokiego rowu czy strumienia, już w części wolnego od lodu, a wykąpawszy się po pas w wodzie i zamoczywszy patrontasze z ładunkami, obsypywani z góry kulami od ścigającej nas piechoty rosyjskiej, dopadliśmy szczęśliwie zarośli Kępy i w nich się rozpierzchli.

Nie czekając, aż Rosjanie pójdą w ślad za nami i żywcem nas pochwycą, zgubiwszy oficerów mojej kompanji, udałem się zaraz z kilkunastu żołnierzami ku Wiśle, szukając gdzie przewodnika lub bezpieczniejszego schronienia.

Oprócz rozproszonych żołnierzy, nigdzie mieszkańców nie spotkaliśmy, a w ostatniej zagrodzie, już nad samą Wisłą położonej, z wyjątkiem ułana z 2-go pułku, powieszzonego na drzwiach domu i już martwego, nikogo z żyjących dowołać się i wyszukać nie zdołaliśmy.

Oddalając się coraz dalej ku Pradze wojenna wrzawa nie rokowała nam wiele nadziei zbawienia i dlatego w imię Boże, kładąc krzyż na piersiach, puściliśmy się gęsiego przez Wisłę, po lodzie już miękkim, kruchym, za ledwie nas utrzymać zdolnym.

Wydostawszy się na Solec, gościnnie przez mieszkańców przyjęci, rozpaliliśmy ognie, suszyli suknie, głosem zachęcali rozpierzchnych na Kępie do przejścia Wisły; a tak zbierało się nas coraz więcej na brzegu. Przybyli oficerowie z warszawskiej komendy placu rozprowadzili nas po kwaterach; a nad wszelkie spodziewanie i z niewysłowioną rozkoszą dostałem się do ciepłej izby i miękkiego łóżka.

Nazajutrz zbierałem po Solcu żołnierzy, uporządkowałem kompanję, a nie odszukawszy żadnego z oficerów, objąłem dowództwo nad nią. Kapitan Sejdler<sup>170)</sup> wymyślił kontuzję od kuli armatniej, udał chorego i przeniósł się na zawsze do rezerwy. Porucznik Karwowski<sup>171)</sup> dostał febrę, która go i tak ciągle trzęsła za każdym strzałem armatnim od Wawru do Grochowa, chociaż przy zielonym stoliku bywał tak zdrowym i spokojnym, iż gdy postawił 10 dukatów na kartę i przegrał, dreszcz go nie zrywał i nie paliła gorączka. Jaś Szembek miał już dosyć trudów i wojaczki, zagłębił się w Warszawie i utonął pomiędzy pięknym światem kawiarni i teatru.

Ochotnicy, służący w mojej kompanji, pochodzący z lepszych domów, a w szczególności Bruno Kozłowski,

akademik wiedeński, wraz ze swoim bratem, bardzo oburzeni byli złym przykładem oficerów kompanji, jak również postępkami Kościelskiego, który nie tał swej niechęci dla powstania i jawnie powtarzał przykład, że się porwała mucha na słonia. Z namowy i przy pomocy patriotów brukowych napisali oni kilka listów bezimien-nych do Kościelskiego, ażeby nie ważył się stawać więcej na czele bataljonu, gdyż jako oddany sercem i czynem Rosjanom, w pierwszym boju poległ od kul własnych żołnierzy, zaś do Komisji wojny podanie o pozostawienie mnie przy dowództwie kompanji.

Pogróżki, przesłane Kościelskiemu, poskutkowały. Zmyślił on również chorobę, wziął później dymisję<sup>172)</sup>, wstąpił do wojska rosyjskiego, dosłużył się rangi generała i w r. 1853 dowodził brygadą w tym samym Płocku, w którym przed laty 20-tu przewodniczył 6-tej kompanji naszego pułku i jako kapitan zastrzelił w pojedynku porucznika 1-szej kompanji karabinjerskiej, Melchjora Lutomskiego.

Co do podania, na moją korzyść napisanego, dowiedziawszy się o autorach, wymogłem cofnięcie tegoż, nie mogąc dopuścić jawnego wybryku przeciwko karności wojskowej i porządkowi starszeństwa oficerów.

---

## XVI.

### **Dymisja Szembeka. Egzekucja na szpiegach. Szaniec przedmostowy nad Liwcem. Cholera.**

Po bitwie grochowskiej wielkie zmiany zaszły w naszym pułku. Szembek złożył dowództwo IV-tej dywizji piechoty, pałasz schował do pochwy i wziął dymisję<sup>173</sup>).

Nie znam powodów, jakie go skłoniły do tego kroku. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, iż pomiędzy nim a Skrzyneckim, młodszym według rangi, stosunki osobiste i służbowe zawsze były naprężone i Skrzynecki Szembeka od czasów dawniejszych nienawidził.

Szczyście wojskowe, jakie okryło pierwszego chwiałą wojenną pod Dobrem i Grochowem i oddało mu w rękę naczelne dowództwo nad armją, a nieszczęście, jakie spotkało Szembeka, iż w stanowczej chwili uderzenia jazdy w dniu 25-tym lutego nie znajdował się przy swej dywizji i z nią nie przechylił szali zwycięstwa na naszą stronę, co w szczęśliwszych warunkach mógł może uczynić, — prawdopodobnie były przyczynami, dla których Szembek nie chciał być podkomendnym Skrzyneckiego. Odmówienie oznak honorowych dywizji Szembeka za Grochów przez Skrzyneckiego było rzuceniem rękawicy Szembekowi, a dymisja jej przyjęciem.

Prezes Rządu Narodowego<sup>174</sup>) starał się wprowadzić zlagodzić zazdrość i zawiść dwóch konstantynowskich

pułkowników i pragnął zatrzymać Szembeka w Rządzie przy sobie, lecz Szembek, urażony w nerwie poczucia żołnierskiego, udzielił szorstką odprawę w słowach:

— Mości książe, mam zadek do siodła, nie głowę do rady.

Nie ulega powątpiewaniu, że Szembek żałował później swojej porywczosci, bo kochał kraj z całego serca i pragnął mu pomódz w ciężkiej potrzebie. Wzrósłszy żołnierzem, nie mógł w jednej chwili wyrzec się swoich nawyknień i zmienić swej natury wojskowej; chorował też z nudów lub płątał się ku końcowi kampanji w charakterze ochotnika przy odrębnych korpusach gen. Dziekońskiego i Różyckiego, działających w Sandomierskiem i w Krakowskiem.

Widocznie tęsknił za wojną, — za nami...

W liście, datowanym z Włodowic dnia 17-go lipca 1831 r., pisał w tych słowach:

„Słaby jestem, lecz i to minie; a wtenczas wejdę natychmiast, choć za podchorążego, do pospolitego ruszenia: dla kochanej Ojczyzny trzeba wszystko poświęcić, i wszystko znosić... Szczerem sercem przywiązałem się do Was, a więc wart jestem, abyście mnie wzajemnie kochali. Oleś, mój synowiec, polecał do Was, chce mu się być koniecznie podporucznikiem, jak gdyby Szembek nie mógł być prostym żołnierzem...”

Niechaj te kilka słów, wyrwanych z pod pióra Szembeka, zamkną wspomnienie o nim i służą za świadectwo jego sposobu myślenia...

Wskutek reorganizacji armji, zarządzanej przez Skrzyneckiego, pułk 3-ci strzelców pieszych odczepiono od naszej brygady i dano na jego miejsce bataljon strzelców Podlaskich. Za Wawer: kapitanowie Bobiński, Nowowiejski i Stryeński dostali od ks. Radziwiłła ordery; podoficer Wiktor Rajski, co za przykładem Bobińskiego wybierał pod lasem straszną kontrybucję krwawą, rangę oficerską; żołnierze, co zdobyli sztandar, srebrne krzyże i t. p. <sup>175</sup>).

W moim bataljonie powstała borba po przeglądzie pułku przez gen. Skrzyneckiego na placu Ujazdowskim w d. 2-gim marca; gdyż na zapytanie Naczelnego wodza, kto sobie zasłużył na honorową odznakę za Grochów, odpowiedziałem: że nikt, bośmy z placu boju pierzchnęli i schronili się na Kępę. Słów tych długo nie chcieli mnie darować moi koledzy, chciwi niezasłużonej nagrody, — i z tego powodu przyszedłem do zatargów i honorowego zadośćuczynienia. Kościelskiego zastąpił major Chlewski<sup>176</sup>), Sejdlera kapitan Jakób Straszewski, przeniesiony z pułku 6-go linowego, człowiek konstantynowskiego autoramentu, względem żołnierzy nieludzki i okrutny. Nie miał on w swoim słowniku innej nazwy dla swoich towarzyszków broni, jak: zbóje i złodziejskie portrety; i dlatego tak był znieprawdzonym w kompanji, iż gdy w wyprawie na gwardje, ciężko zraniony, na ziemię upadł, żaden z żołnierzy wody i pomocnej ręki podać mu nie chciał, w duchu dziękując Bogu, że go uwolnił od okrutnika.

Z naszym pułkiem połączył się w Warszawie 4-ty bataljon, wykończony w Sochaczewie; a tak zaprzężeni we czwórkę, poganiani przez Noffoka, ruszyliśmy pod Modlin do korpusu gen. Umińskiego<sup>177</sup>), mającego odrębne i od głównej armji niezależne przeznaczenie.

Z bataljonem Podlaskim stanowiliśmy jedyną piechotę tego korpusu, którego główną siłę składało 5 pułków jazdy, t. j. 1-szy ułanów, 3-ci szaserów, 2-gi krakusów<sup>178</sup>), jazda Lubelska i Augustowska i 3-cia bateria artylerji konnej o 8 działach, dowodzona przez majora Józefa Jaszowskiego, a przerobiona nakładem województwa Płockiego z półbaterji raketników konnych.

W połowie marca<sup>179</sup>) wyszliśmy z Modlina do Rozana na jakieś demonstracje przeciwko nadciągającym gwardjom rosyjskim, nadeptali wiele drogi w prawo i w lewo aż pod Ostrołękę, napsuli dużo butów, lecz tych gwardji nie ujrzeli; gdyż jak tylko naprawdę zbliżać się

poczęły, po słabym oporze przednich straży, cofnęliśmy się napowrót do Szelkowa.

Spacerując po gościńcu od Pułtuska do Ostrołęki, nawieszaliśmy po drodze dosyć szpiegów, po największej części Izraelitów. Procedura sądowa pod tym względem była dosyć uproszczoną i łatwą: zwykle na doniesienie o przychwyceniu szpiega audytor Wiktor Dobrski rozpoczął śledztwo instrukcyjne, a gen. Umiński wyznaczał członków sądu wojennego. Jeżeli dowód winy był wykazany, zwykle zapadał wyrok śmierci przez powieszenie, który zatwierdzał Umiński stereotypową formułą:

— Powiesić, — a wyrok jutro podpiszę.

W Rożanie, po niespodziewanym napadzie Rosjan na to miasteczko<sup>180</sup>), byłem członkiem podobnego sądu dożąnego, zwołanego w celu osądzenia kelnera żydowskiego i dróżnika Antoniego Darewskiego z Ostrołęki, obu oskarżonych o szpiegostwo. Kelner jednogłośnie uznany został za winnego i na szubienicę skazany. Co do drogowego, jako katolika i dymisjonowanego żołnierza, zaklinającego się na Boga i Ojczyznę, że w niewinnym celu przyszedł z Ostrołęki do Rożana, były pewne skrupuły i względy. Uwolniono go z pod zarzutu; lecz gdy wyszedł na rynek i spotkał przechodzący oddział krakusów, tak nieszczęśliwie ścisnął czapkę przy oddaniu ukłonu, iż wydusił z niej na ziemię dwa półimperjały, co gdy krakusy spostrzegli, zaraz go przytrzymali i napowrót do sądu przywieśli.

Wobec brzęczących dowodów winy, przyznał się dróżnik, że podprowadził oddział gen. Sackena pod Rożan, który nas przed południem z lewego brzegu Narwi atakował i że nosił pismo do słynnego na całą okolicę szpiega Berka w Rożanie. Po takim wyznaniu winy powieszono zaraz dróżnika na drzewie obok kelnera, przy drodze, do Ostrołęki wiodącej. Połowanie na schwytanie Berka na nowo podjęto, lecz była to tak mądra i ostrożna ryba, iż pomimo wielokrotnie nastawianych sieci nie od razu ułowić się dała.

Po wycofaniu się naszym z Rożana do Szelkowa i wysłaniu sprawozdania z sądu wojennego, odbytego na dróżniku, nadszedł rozkaz schwycenia za jakąkolwiek — bądź cenę Berka, od którego spodziewano się zasięgnąć języka o położeniu wojsk rosyjskich i dostawienia go do głównej kwatery.

Gen. Umiński wysłał w tym celu na całą noc do Rożana pluton 1-go pułku ułanów pod dowództwem bardzo sprytnego oficera Seweryna Kamińskiego<sup>181</sup>). Mówił on dobrze po rosyjsku i w celu ujęcia przezornego szpiega użył następującego wybiegu. Nad rankiem przyszedłszy pod Rożan, ułani nasi pochowali chorągiewki i ułanki, a w furazerkach i z pikami wyglądali zdaleka i przy słabem oświetleniu do wschodu zabierającego się słońca, jak kozacy. Po rozstawieniu pikiet na drogach, Kamiński z trębaczem i z jednym żołnierzem podjechał pod dobrze mu znany dom Berka, począł stukać do okna i wywoływać go po rosyjsku do siebie.

Na wezwanie wyszła zatrwożona żydówka, usprawiedliwiając się, że męża od dłuższego czasu niema w domu. Kamiński, wydobywszy z płaszcza pismo, opatrzone dużą pieczęcią, począł kłać po rosyjsku, że go dalej szukać musi, gdyż wiezie dla niego bardzo ważne i pilne pismo od samego feldmarszałka Dybicza.

Żydówka, zbałamuciona temi słowami i widokiem depeszy, chciała ją odebrać w celu doręczenia mężowi za powrotem, lecz Kamiński i słyszeć o tem nie chciał, powołując się na świadectwo żołnierza, iż ma rozkaz odania ekspedycji do własnych rąk Berka.

Gdy żołnierz również po rosyjsku potwierdził prawdę słów Kamińskiego, uwierzyła Berkowa, że przybysze są w samej rzeczy Rosjanami, i poprowadziła ich za miasteczko pomiędzy stodoły, gdzie Berek się ukrywał. Tam, po dłuższej chwili wyczekiwania, wychylił się, jak lis z nory, ostrożny Berek, a gdy na zapytanie potwierdził swoje nazwisko i wyciągnął rękę dla odebrania ekspedycji, przychwycił ją Kamiński. Równocześnie żołnierz

złapał Berka za głowę, trębacz wygłosił znak umówiony, wedety się zleciały, i Berka pomimo rozpaczliwej obrony związały i, jak barana, pomiędzy kołmi za miasto wprowadziły.

Berek, przeczuwając biedę, jaka go w Szelkowie spotka, ofiarował Kamińskiemu 3,000 rubli okupu, które żona za miasto przyniosła, lecz Kamiński zabrał z sobą i ruble i Berka i odstawił wszystko do kwatery Umińskiego.

Umiński, jak zwykle, gwałtowny i porywczy, ruble odesłał do Warszawy, a Berka bez procesu i badania powieść kazał, o co potem było wiele nieprzyjemności, pisaniny i tłumaczeń.

Wyekspedjowawszy Berka *ad patres*, a zanim przez rozstrzelanie i dwóch naszych żołnierzy za rabunek, z których jeden nietylko z natury, lecz i z nazwiska był Wilkiem, wykreśliwszy z kontrol pułkowych podpor. Dąbrowskiego<sup>182</sup>), z korpusu kadetów kaliskich pochodzącego, a haniebnie zbiegłego z szeregów, — i odprawivszy wielkanocną spowiedź w Szelkowie, w drugi dzień świąt wielkanocnych otrzymaliśmy rozkaz pochodu nad Liwiec dla zbliżenia się do głównej armji, postępującej naprzód po świetnem zwycięstwie u Wielkiego Dęba.

Po całotygodniowym, wprawdzie powolnym, lecz nie mniej uciążliwym 18-milowym marszu, drogą na Serock, doszliśmy nareszcie w dniu 11-tym kwietnia do miasta Liwa właśnie w chwili, gdy grzebano stosy poległych żołnierzy z 20-go pułku piechoty<sup>183</sup>).

Widok był rozrzewniający, gdyż polegli byli po największej części nowozacieczną młodzieżą wiejską i małomiejską z Mazowsza, która nie wstrzymana przez pułk. Andrychiewicza w wojennym zapale, a nieświadoma obrotów wojskowych, przy obronie mostu przez Liwiec, jak muchy marnie wyginęła. Przytem i okolica sama bagnista i ponura, wyludniona, zniszczona ogniem i przemar-

szem wojsk, służąc za tło do krwawego cmentarzyska, zwiększała smutek i rozstrojenie umysłu.

Pogrzeb ten rozdmuchał zarzewie odwetu w gen. Umińskim, a że w wszelkich przedsięwzięciach nie rachował się ze swemi siłami i z życiem bliźnich, a lubił hazard, więc po naprawie mostów, poprzednią walką zniszczonych, przeszedł przez Liwiec, puścił się drogą do Węgrowa i pędził gen. Pinabla przed sobą aż do Sokołowa. Zdążyliśmy, co sił starczyło, za naszą jazdą, lecz rozkaz Naczelnego wodza skarcił porywczosć Umińskiego, nakazał odwrót do miasta Liwa dla spełnienia właściwego zadania, t. j. bronienia przeprawy przez Liwiec.

Liwiec pod miastem Liwem płynie dwoma korytami, okalającemi dość znaczną kępę, przerznątą gościńcem, wiodącym do Węgrowa, a spojona z brzegiem dwoma mostami. Dla utrzymania gościńca w poziomie, korzystnym dla jazdy, i w celu zabezpieczenia go przed wylewem wody, z obydwuch stron płaskich brzegów usypane były dość długie gróble, ułatwiające przystęp do mostów.

Oczywiście obrona mostu pierwszego od Węgrowa, na przednim ramieniu rzeki związanego, była z góry wskazana; i dlatego fortyfikacje ziemne, nieraz w tem miejscu wznoszone i rozrzucone, podsypywano na gwałt pod kierunkiem oficera głównego sztabu, majora Brezy<sup>184</sup>). W pracy tej dopomagali żołnierzom włościanie, ze wsi okolicznych przybyli, lecz klęskami wojny tak wycieńczeni i biedni, iż nędzą ich ujęci za serce, zrobiliśmy pomiędzy sobą składkę i im dość znaczną kwotę pieniężną ofiarowali. Dobroduszni, choć nędzarze, pieniądze przyjąć nie chcieli, a gdy do tego namową skłonieni zostali, takowe rannym żołnierzom z 20-go pułku piechoty do Liwa zanieśli. Postąpili szlachetnie, bo od biednych biedniejsi byli w początkach kampanji żołnierze nowosformowanych pułków pieszych, o których potrzeby, dopokąd oficerów ze starych pułków nie otrzymali, nikt troszczyć się nie chciał; i ci biedacy, częstokroć boso i

źle odziani, przynosili nieraz w manierkach wódkę do naszych szeregów, zebrząc wzamian o kawałek chleba.

Roboty około wielkiego szańca przedmostowego na prawym brzegu Liwca i nasypy strzałczanów armatnich dla obrony kępy i szosy nie były jeszcze ukończone, gdy Rosjanie, ośmieleni naszym nagłym odwrotem, wzmocniwszy się dywizją grenadjerską gen. Ugriumowa, w 5 pułków piechoty, 4 jazdy i 16 armat puścili się za nami w pogoń i naszli nas nieprzygotowanych wczesnym porankiem d. 14-go kwietnia nad Liwcem.

Mój bataljon wraz z 2-ma czy 4-ma armatami Jaszowskiego nocował właśnie w szańcu przedmostowym, obok spalonej karczmy, gdy nas obudziły wystrzały i przestrogi cofających się przednich straży, iż znaczne siły rosyjskie pojawiły się od Węgrowa.

Szwadrony krakusów wysunęły się naprzód, a major Chlewski, dowodzący bataljonem w szańcu, wysłał za nimi moją kompanję na zwiady i z rozkazem dotarcia do przednich kolumn rosyjskich w celu objaśnienia się o ich potędze i kierunku pochodu. Niedługo potrzebowaliśmy czekać na spełnienie zlecenia, gdyż Rosjanie byli już tak blisko i posuwali się tak śpiesznie, iż wysłane przed nami krakusy, cofając się, zepchnęły nas z gościńca, na który jazda rosyjska już nam wejść nie pozwoliła. Granaty rosyjskie, rzucane przez elewację do szańca, osłaniały nasze głowy, jak parasolem, od rannego słońca; a gdy równocześnie 6 bataljonów grenadjerskich<sup>185)</sup> biegło po obydwóch stronach gościńca do ataku na szaniec, nie pozostawało nam nic innego do wyboru, jak rozsypać się w tyraljerów i uchodzić co prędzej do zarośli nad rzekę.

Wobec wyczerpanej uwagi nieprzyjaciela na szaniec przedmostowy, w którym granaty i uciekające krakusy nie lada sprawiły zamieszanie, uchodziliśmy coraz dalej na ukos, przez pola i łąki, i dostali się z całym grzbietem w nadbrzeżną wiklinę. Zebrawszy się w niej na nowo, a dobrze zakryci, spoglądaliśmy z boku na walkę o szaniec i wyczekiwali pomyślnej chwili, ażeby w razie odparcia

ataku ścigać uchodzące kolumny lub przedrzeć się z powrotem do szańca.

Szańiec, jak wspomniałem, nie był wykończony, ani należycie obwarowany palisadami i dlatego pękające granaty rozsypały wkrótce ziemne nasypy, a owe bataljony grenadjerskie, szczególnie z pułku Barclaya de Tolly, z wielką odwagą i za przykładem swego kapitana Sliwickiego, wdarły się z kilku stron do szańca i szaniec po rozpaczliwej walce zdobyli.

Ciasność miejsca, wężyzna mostów i grobli szosowej, wadliwe ustawienie dwóch armat na kępie, które gdyby szturmujące kolumny ostrzeliwać chciały, przez plecy naszego bataljonu mierzyłyby musiały, stały się przyczyną, iż reszta pułku nie mogła wesprzeć naszego bataljonu i pozostawiła go własnemu przemysłowi. Bataljon zaś, dbały o ratunek armat, nie zdołał się wśród ręcznej walki wycofać na czas ze szańca i dlatego około 150 żołnierzy z dwóch kompanji i major Chlewski dostali się do niewoli.

Wobec tak smutnego zakończenia walki o panowanie nad mostem musieliśmy co prędzej myśleć o osobistym bezpieczeństwie, czyli o przeprawie za Liwiec i połączeniu się z pułkiem.

Plądrując koryto rzeki, podówczas dość znacznej i głębokiej, nigdzie brodu znaleźć nie mogliśmy, a wstyd i żal było rzucać karabiny, amunicję i tornistry, i szukać ratunku dla nagiej duszy przy pomocy sztuki pływania. Z przeciwległego brzegu, nad którym wznosiło się stare zamczysko, mieszczanie Liwa chcieli nam podać rękę pomocną, lecz nie mieli ani łodzi, ani drzewa. W tem drażliwym położeniu przyszło mi na myśl, czy nie mają świńskich koryt lub żłobów. Zacząłem więc o nie wołać, i jakoś szczęśliwie znalazły się trzy koryta i kilka patyków, co związane razem, posłużyło nam za środek do przewiezienia broni i pakunków; a sami wplaw lub po szyję w wodzie, wiodąc za rękę nieumiejących pływać, przedostaliśmy się na drugą stronę.

Już dobrze z południa, zmoczeni jak myszy, połączyliśmy się z rozbitkami naszego bataljonu i przypatrywali nieustającej strzelaninie, pomiędzy kępą a zdobytym prawym brzegiem Liwca zawiązanej, a którą wspierało 6 naszych armat, na lewym brzegu rzeki ustawionych. Dwa działa, kierowane przez podpor. Konst. Męcińskiego<sup>186)</sup>, wielkie zadawały szkody nieprzyjacielowi, podoficer Kijewski wyszczególniał się odwagą i celnością strzałów, reszta pukawek świadczyła, co mogła, wyrzuciwszy po 150 ładunków z jednej rury, lecz wobec liźzebnej przewagi dział rosyjskich i ich wagomiaru nic skutecznego wywalczyć nie mogła.

Popołudniowa przeprawa 1-szego pułku ułanów z lewego na prawy brzeg Liwca, wbród pod Żarnicami, i jedna z najświetniejszych szarzy tego pułku na ułanów i strzelców konnych rosyjskich<sup>187)</sup>, z powodzeniem odbyta, a w wspomnieniach Goczałkowskiego<sup>188)</sup> wiernie opisana, natchnęły naszego wodza otuchą odebrania napowrót utraconego szanica. Zsunęliśmy się więc z lewego brzegu Liwca na kępę, sformowali kolumny do szturmii i pod piekielnym ogniem artyleryjskim i rotowym, na krzyż ze zdobytego szanica miotanym, usiłowaliśmy po kilka razy wdrzeć się po grobli na brzeg przeciwległy, lecz pomimo największych wysień i ofiar z naszej strony, dzieła tego dokonać nie zdołaliśmy.

Nieprzyjaciel wśród walki rozrzucił i spalił część nadbrzeżną mostu i udaremnił przez to dalsze usiłowania; a my, naznaczywszy krwią i trupami naszego pułku szeroką drogę przez kępę liwiecką, cofnęliśmy się nad wieczorem za rzekę.

Gdy zamilkły całodzienną pracą rozpalone działa, a przy rozłożonych ogniskach odbywaliśmy wieczorny apel, nie mogliśmy się dorachować kilku oficerów i 300 żołnierzy. Pomimo tej krwawej ofiary, niechlubne zwycięstwo, lecz dotkliwą porażkę, odniesioną przez stratę dwuramnika mostowego i suchej przeprawy przez Liwiec, święcić mogliśmy. Potulnie i w cichości składa-

liśmy też na ziemię nasze głowy do spoczynku. Jakiż odmienny obraz przedstawiało jednak legowisko 1-go pułku ułanów?.. Upojeni świetnem zwycięstwem, opłaconem życiem tylko jednego ułana, pędząc przed sobą kilku oficerów i ze 200 żołnierzy rosyjskich z końmi, w tryumfie oprowadzani po obozie z muzyką i sztabem korpusu na czele, hulali sobie ułani przez całą noc wesoło. Mieli też z czego i za co pohulać, bo się na rozbitych szwadronach dobrze obłowili. Rozpowiadano i zazdrozczono, iż jeden z ułanów miał pełen kaszkiet papierowych rubli i był tak hojnym, iż od markietanów zakupił na fetę dla szwadronu wszystko, co do wypicia lub zjedzenia dostarczyć mogli. I w innych szwadronach nie ziewano tej nocy, bo nie było ułana, coby w tej przygodzie nie skorzystał, gdyż jeńcy i zabici mieli przy sobie dużo pieniędzy i bogatych przedmiotów.

Nad ranem spostrzeżono, że Rosjanie wynieśli się cichaczem ze zdobytego szańca. Wzięto się więc raźnie do naprawy mostu i przeprawy za rzekę. Szaniec znaleźliśmy rozorany kulami i zasłany trupami naszych żołnierzy. Z trudnością zdołano je rozpoznawać, gdyż zdeptane wśród walki nogami, kopytami i kołami zwycięzców, do brył, z krwi i ziemi zlepionych, miały podobieństwo.

Znalazłszy zwłoki porucznika Jana Przyborowskiego<sup>189)</sup>, — jednego z trzech braci, co służyli w naszym pułku, t. j. wspomnianego na wstępie Ignacego Przyborowskiego, który dostał pomieszania zmysłów, i Józefa<sup>190)</sup>, z powodu otyłości znanego w pułku pod nazwiskiem „Starosty“, który nie mogąc wydołać na marszu, wystąpić musiał z czynnej służby, — odnieśliśmy je pod kościół i tam z honorami wojskowymi, o ile czas i okoliczności pozwalały, do grobu złożyli.

Po naprawieniu mostów, przeprowił się cały korpus gen. Umińskiego za Liwiec, poszedł drogą na Węgrów, zdobył miasteczko, zabrał w niem lazaret i wiele sprzętów wojskowych rosyjskich. W lazarecie znaleźliśmy

40-tu ciężko rannych żołnierzy, po największej części z naszego pułku; gdyż przyznać należy, iż w kampanji 1831 r. Rosjanie zupełnie inaczej postępowali sobie z jeńcami i rannymi, jak w r. 1863. Wypadków wieszania lub kalectwa wziętych do niewoli, dobijania rannych zupełnie nie było. Owszem przeciwnie, częstokroć wymieniano skaleczonych żołnierzy, ujętych oficerów gościnnie podejmowano, a nawet dla zachęty i wzniecenia rokoszu w wojsku jeńców z dukacikami na drogę i odezwaniami, namawiającemi do powrotu w służbę cara, na wolność wypuszczano.

Batożenie i zabijanie osób cywilnych, jakie zaszło szczególnie w okolicach Liwca, i w tej epoce czasu, którą wspominam, było czynem pojedynczych żołnierzy, dopuszczających się rabunku, lub swawolnym wybrykiem drobnych oddziałów tych pułków gwardyjskich, które z Warszawy wyparte, powracając, studziły po drodze dawno żywioną zemstę. Z ich rąk zginął wówczas posektor Godyński, leśniczy Pogonowski i ekonom Szczygielski, któremu przebito rękę, sznur przez ranę przewleczono i tak przy koniu pognano.

Jak ułany nad Liwcem, tak my pod Węgrowem z łupami rosyjskimi zdobyliśmy cholere, w Polsce dotąd nieznaną, przerażającą gwałtownością wypadków, bezsilnością środków leczniczych i nieomylnością skutków.

Liw i Węgrów, niezdrowe z natury położenia, szczególnie na wiosnę, przytem ciasne i brudne, stały się wkrótce gniazdami choroby i grobem dla wielu naszych żołnierzy.

Do ruchów gen. Skrzyneckiego pomiędzy Liwcem, Kostrzyniem i Muchawcem dostarczyliśmy naszych nóg bez użycia broni, które jednakże miały tę korzyść, iż w marszu i w polu nie byliśmy trapieni widokiem chorych i śmierci, a tem samem weselsi na umyśle, nie ulegaliśmy już tak często i nagle chorobie. Śpiew, wódka i ognie obozowe były też skuteczniejszymi środkami zaradczymi, niż wszelkie inne, przez naszych i zagranicznych lekarzy,

których tyłu do naszej armji w pomoc się zbiegło, przypisywane leki, woda wrząca i pasy flanelowe.

Przerzuciwszy się pod Zegrzem za Narew, zmuszeni do powtórnego zajęcia ojczyzny Berka, żydowskiego Rożana<sup>191)</sup>, wleźliśmy znowu w samo okopisko cholery. Żołnierze, gotując strawę lub stojąc w szeregu, dostawali napadów tej strasznej choroby, a nasi lekarze bataljonowi: Józwik, Heinrich, Jan Strykowski i Samuel Konarski<sup>192)</sup>, co był felczerem w naszej szkole podchorążych, byli zrozpaczeni, nie mogąc sobie dać rady z chorymi i z ich rozmieszczeniem.

Adjutant pułku, Tomasz Skrodzki, dla rozweselenia mieszkańców i żołnierzy, przygotował na dzień 3-ciego maja obchód 40-letniej uroczystości pamiątkowej naszej rozgłosnej konstytucji.

Rozbito namiot polowy, ołtarz ubrano w zieleń i gałęzie i odprawiono nabożeństwo wojskowe. Pułk nasz tworzył czworobok, za nim stały szwadrony 1-go pułku ułanów, a plutony 4-tej baterji konnej, dowodzone przez ks. Stanisława Jabłonowskiego, sypały obficie działowe salwy.

W dniu tym przypadła i rocznica zdobycia szańca przedmostowego pod Górą w r. 1809 i zawiązania w roku 1821 Towarzystwa Patrjotycznego przez Staszycą na Bielanach, zwykle przez młodzież święconą; a że znaleźli się uczestnicy jednej i drugiej sprawy, przeto z trzech różnych tytułów, mając dosyć pieniędzy, raczyliśmy się nawzajem i liczne wznosili toasty.

Po południu pan Łukasz Laskowski, kapelmistrz naszego pułku, odgrzewał w koncercie stare melodje; muzyka pułkowa wtórowała śpiewom narodowym; nie brakło i tańców z żydówkami po smrodliwym rynku Rożana, lecz pomimo wszelkie nawoływania i wysiłki, zabawa nie szła od serca i cholery nie zabiła.

Dopiero w tydzień po tej fecie ruszono nas z zapowietrzonego Rożana i, jak ręką odjął, ustały symptomata i wypadki cholery.

---

## XVII.

### Grobla tykocińska. Bój pod Ostrołęką.

Świetnie pomyślana, lecz najniezwyklej wykonana, wyprawa na gwardje rosyjskie, których nadejścia przed dwoma miesiącami wyczekiwaliśmy na tem samem miejscu, była powodem do wyruszenia naszego pułku w otwarte pole<sup>193</sup>).

Nie należeliśmy już do komendy gen. Umińskiego, którego korpus z odwołaniem go nad Liwiec ukończył swoje posłannictwo, został rozwiązany, a on sam objął dowództwo 1-go korpusu jazdy.

Wskutek powtórnej reorganizacji armji, a właściwie ułożenia odmiennego *ordre de bataille*, pułk mój przydzielony został do I-szej dywizji piechoty, dowodzonej przez mego dawnego podpułk. Rybińskiego. Z dwoma bataljonami pułku 16-go nowej formacji tworzyliśmy w tej dywizji drugą brygadę, z początku zostającą pod rozkazami gen. Młokosiewicza<sup>194</sup>), słynnego z obrony zamku Fuengirola przed napadem Anglików, a następnie pułk. Jerzego Langermanna<sup>195</sup>), adjutanta gen. Lamarque, świeżo przybyłego z Francji.

Szczerby, powstałe w szeregach od kul i cholery nad Liwcem, wypełnił transport rekrutów z Sochaczewa; i w tej epoce czasu dawny adjutant Chłopickiego i oficer naszego pułku, podpułk. Feliks Breański wyręczył Noffoka w dowództwie pułku<sup>196</sup>); a Jutrzenka<sup>197</sup>), któremu ten zaszczyt się należał, odszedł na dowódcę „Braci

Krakowiaków“ za 5-tym pułkiem strzelców „Dzieci Warszawskich“, tworzących 6-ty pułk strzelców pieszych. Bobiński<sup>198</sup>) został majorem, a kapitan Ksawery Stępkowski<sup>199</sup>) objął komendę mojego bataljonu, przez pojmanie Chlewskiego opróżnioną. Wielu oficerów posunęło się na wyższe stopnie według porządku kolej, a sierżanci: Eug. Stępniewski, Walery Breański, Franciszek Milewski i dawny oficer Gustaw Conrad<sup>200</sup>) otrzymali podporucznikowskie szlify.

Równocześnie otwarto listy zaciągu i przygotowywano wyprawę ochotników i instruktorów na Litwę, mających wesprzeć i wojskowo uorganizować powstanie. Z naszego pułku zgłosiło się kilku oficerów i wielu ochotników, pochodzących z Litwy lub mówiących po litewsku, a pomiędzy innymi kapitan Macewicz<sup>201</sup>), co się odznaczył pod Wawrem, i podpor. Szymon Konarski. Pierwszy dowodził na Litwie bataljonem 25-go pułku liniowego, drugi kompanią powstańców.

Po opuszczeniu Rożana, idąc w przedniej straży armji głównej i wspomagając pułk 1-szy ułanów, zaczępiony w d. 16-ym maja pod Przetyczą, przestrzeliwaliśmy nasze karabiny, od miesiąca rdzewiejące, i ścigali gen. Poleszkę do Długosiodła, gdzie został zraniony nasz porucznik Kamil Mochnacki i gdzie stracił nogę a z nią i życie, powszechnie żalowany, do pułku naszego zaliczający się kapitan Paulin Łaczyński<sup>202</sup>), jeden z głównych przywódców sprzysiężenia wojskowego przed rokiem 1830. Strzelcy Firiandzcy gwardji, sami Niemcy i Szwedzi, ustępowali nam powoli z drogi; przy każdym domku, krzaku lub płocie wszczynali walkę i ze swych sztuców dużo szkody wyrządzali. Porucznik Ekielski<sup>203</sup>), który z plutonem artylerji konnej maszerował obok naszych szeregów, co chwila odpinał działa i kartaczami oczyszczał drogę. Z takim trudem włókł się nasz pochód przez dzień cały i zakończył dość gorącą rozprawą mojego pułku pod wsią Plewkami.

Bataljon jęgrów nie chciał nam zejść z drogi i bronił

uporczywie przystępu do lasu, wiodącego do wsi Borek. Rybiński, jak niegdyś Szembek pod Wawrem, sformował pułk nasz w kolumny do ataku. Major Dunin ze swoim bataljonem poszedł środkiem drogi, dwa inne bataljony po jego bokach, a czwarty pozostał w rezerwie. Bataljon Dunina rzucił się pierwszy z bagnietem w rękę i z wielką werwą na Finlandczyków. Żołnierze Stanisław Nawroński i Piotr Lewartowski zaraz na wstępie opadli, jak wściekli, ich pułkownika, zerwali z konia i zakłuli bagnietami; a miał być jakimś znacznym familjantem i dygnitarzem nazwiskiem Ramsay. Czworobok Finlandczyków w mgnieniu oka został rozbitym i przy naszej pomocy do lasu wrzuconym, a las opanowanym. Trzy inne bataljony rosyjskie nadbiegły na pomoc i chciały nam las odebrać, lecz ich zamysły spełzły na niczem. Była wówczas już godzina dziewiąta, a ciemność nocy nie dozwoliła nam wyzyskać zwycięstwa i dlatego niewiele trupów i nie więcej jak 60-ciu jeńców pozostało w naszych rękach. Straty nasze nie były również dotkliwe, gdyż zranienie mojego kapitana Straszewskiego żołnierze uważali za łaskę Opatrzności, a jedynie śmierć porucz. Stanisława Wolskiego, synowca generała, a adjutanta Rybińskiego, ciężkie zranienie naszego dzielnego majora Dunina i ubytek około 30-tu naszych żołnierzy z szeregów zasmuciły zwycięstwo <sup>204</sup>).

Nazajutrz po tej przygodzie i noclegu w lesie, wysunął się z naszego obozu gen. Chłapowski z 1-szym pułkiem ułanów i z instruktorami na Litwę, zabrawszy z sobą na wozach jedną kompanję naszego pułku, dowodzoną przez Aleksandra Stryjeńskiego <sup>205</sup>), która rozrosła się później w powstańczy bataljon. My zaś posunęli się do Jakaci i tam w chwili, gdy wszystko nakazywało pospiech i zaczepne działanie, przez dwa dni następne, t. j. 18-ty i 19-ty maja, piekliśmy spokojnie ziemniaki i odmawiali pacierze za powodzenie przeprawy Chłapowskiego i natchnięcie Skrzyneckiego duchem energiczniejszego działania.

Dobrowolne i nieustające usuwanie się z naszych oczów korpusu gwardji zachęciło wreszcie naszych wodzów do dalszego pościgu, który raniutko w d. 20-tym maja rozpoczęty został. Po noclegu w Meżeninie, nazajutrz w sobotę, gnaliśmy oddziały gen. Biströma, uchodzące do Tykocina, zabierali po drodze dosyć maruderów, lecz głównego korpusu nie wstrzymali, gdyż przeprawiał się na gwałt za Narew, psując mosty na grobli tykocińskiej.

O godzinie 4-tej z południa byliśmy pod Tykocinem, i tę dawną warownię Czarnieckiego udało nam się dosyć łatwo odebrać nieprzyjacielowi, gdyż wtargnęliśmy do miasta wraz z oddziałem gwardji, przez nas ściganym, tak nagle i niespodziewanie, iż przed nami zatarasować się nie zdołano.

Nowy dowódca pułku <sup>206)</sup>, Feliks Breański, popisując się przed nami, pierwszy wpadł z tyraljerami na rynek, a jak świeża miotła, wymiatając na czysto, o włos nie przyplącił życiem swojej gorliwości. Strzelec finlandzki, zacząjony za węglem domu, wysunął się wprost na niego i sztuciec przyłożył niemal do samych piersi. Kapitan Skrodzki <sup>207)</sup>, który jako adjutant pułkowy towarzyszył na koniu Breańskiemu, rzucił się na Finlandczyka i cięciem pałasza w głowę uprzedził wystrzał. Nasi żołnierze zakłuli do reszty śmiałka i wielu innych żołnierzy, co nie zdążyli wydeścić się na czas z miasta przez groblę za Narew.

Gersza sprawa była z groblą i z mostami na Narwi, które po zdobyciu wąwozu i miasta opanować kazano.

Jak Liwiec pod Liwem, tak Narew pod Tykocinem rozlewa się wśród brzegów bagnistych, tworzy kępy i płynie dwoma głównymi korytami. Z tego powodu droga od miasta za Narew prowadzi po długiej a wąskiej grobli, przystrojonej dziewięciu mostami i mostkami. Dwa pułki gwardyjskich strzelców i 12 armat, w wachlarz rozłożonych, wzbraniały nam przejścia po grobli i mostach na brzeg przeciwległy.

1-szy bataljon naszego pułku był nieczynnym, lecz za to wszystkie trzy inne bataljony użyte zostały do sforsowania przeprawy. Langermann, żywy i wesoły, jak każdy Francuz, straciwszy konia, pieszo z dobytym pałaszem w rękę, na czele żołnierzy z kompanji Olędzkiego<sup>208)</sup> i Machwitza<sup>209)</sup>, zachęcając okrzykiem „Vive ojcisna!“, zdobywał most po moście. My pchaliśmy się za nim, krzyczeli z całego gardła „hurra“ lub śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła“, usiłując tym śpiewem i krzykiem zagłuszyć trzask granatów, rozwalających mosty, i jęk rannych, spychanych naprędce z grobli dla uratowania od śmierci stratowania.

Krótką, lecz okropną była chwila rozprawy na grobli tykocińskiej i na prawym moście przez Narew, którego dwa przeszła przez uciekających wśród walki zerwane zostały. Strzelcy nasi okazali się tam na szczycie wielkości i poświęcenia, gdy pomimo roju kul karabinowych i roztrzaskujących się na ich mundurach puszek kartaczy, po gołych belkach uszkodzonych mostów przedzierali się na drugą stronę rzeki.

Zapał żołnierzy był niewysłowionym, męstwo nie znało granicy. Duch rywalizacji, zazdroszczący Czwartakom<sup>210)</sup> zwycięstwa pod Wielkim-Dębem, ożywiał pułk cały. Literalnie ubiegano się i ścigano o śmierć lub rany. Skaleczeni nie ustępowali z szeregów, a młody ochotnik z Galicji Ignacy Kikiewicz, z roztrzaskaną nogą staczając się z pochyłości grobli, jeszcze wołał na żołnierzy: „Naprzód, bracia, pomścicie krew moją!“ Szwadron krakusów, co podjechał pod groblę, krzyczał w niebogłosy:

— Śpieszcie się, strzelcy, bo was z grobli strącimy i na most pójdziemy.

I bez tej zachęty bataljony nasze rwały się naprzód i wpadały jak w otwartą czeluść piekła, niebaczne i nieświadome, iż opanowanie ostatniego mostu nie było zawisłem od woli i mocy ludzkiej.

Porucznik Wiktor Kuczewski, podpor. Karpiński<sup>211)</sup>

i 20-tu podoficerów i żołnierzy z naszego pułku na miejscu wyzionęli ducha. Kapitanowie Stępkowski<sup>212</sup>) i Mańko<sup>213</sup>), porucznik Czerwiński<sup>214</sup>), podpor. Szamota<sup>215</sup>) i Szeliski<sup>216</sup>), jak nie mniej 100 żołnierzy z naszych trzech batalionów ciężko zranionych zostało.

Porucznika Jana Czerwińskiego, któremu skorupa od granata zdjęła czub z głowy i mózg odkryła, odniosłem z żołnierzami do kościoła Bernardynów, w którym składano rannych i przedsiębrano chirurgiczne operacje.

Jakiż wzruszający obraz nędzy i cierpień ludzkich przedstawiał wówczas przybytek Pański! Uchodząc z niego co prędzej, wzrok mój zatrzymał się pomimo woli na skrwawionej becce z cukru, spojrzałem w nią i ujrzałem zarzuconą odciętemi nogami i rękami żołnierzy...

Wielu żołnierzy i oficerów, jak major Pawłowicz<sup>217</sup>), dowodzący drugim bataljonem, było lekko rannych i nie opuściło szeregów, — przed którymi wieczorem odczytano pochwałę męstwa dla podoficerów: Dominika Rzeszotarskiego, Kazimierza Kaczora i Antoniego Białowiejskiego, oraz żołnierzy: Antoniego Chodorowskiego i Walentego Cieszkowskiego, których następnie udekorowano krzyżami „*Virtuti militari*“. Sierżant Sawicz i szeregowcy Kalinowski i Agaciński również odznaczyli się znakomicie, lecz pierwszy otrzymał zaraz rangę podporucznika, a ostatni podobno nie dożyli zasłużonej nagrody.

Nazajutrz, w niedzielę, na rynku w Tykocinie, pod starym posągiem hetmana Czarnieckiego, urządzono ołtarz i odprawiono nabożeństwo wojskowe za poległych, których równocześnie grzebano. Oddział saperów naprawiał śpiesznie most główny, gdyż Rosjanie jeszcze w nocy opuścili dobrowolnie prawy brzeg Narwi i otwarli wrota do Litwy. Radość z tego powodu była serdeczna, lecz zmieniła się wkrótce w głęboki smutek, gdy w południe wydano rozkaz do odwrotu po tej samej drodze dalekiej, którą przyszlismy.

Daremna była więc ofiara z krwi naszej i trudy kilkudniowej wyprawy. Gwardje były uratowane, a my,

zwycięzcy, jak zwyciężeni, uciekaliśmy napowrót przed nimi wciąż i bezustanku aż do Ostrołęki.

Zmarniały zdobyte zapasy żywności i rynsztunków wojennych w Tykocinie, a jedynie naszych rannych ze sobą zabrać i do Warszawy odesłać zdołaliśmy. Poszedłem odszukać i pożegnać Czerwińskiego. Nie miał przytomności, lecz w Warszawie postawiono go na nogi, czaszkę załatano srebrną blaszką, głowę przykryto peruką, i po skończonej kampanji, przez lat kilka pełnił jeszcze obowiązki adjutanta przy milicji Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Już późnym wieczorem 25-go maja weszliśmy do Ostrołęki, zapchanej wojskiem, przeszli przez most na prawy brzeg Narwi i rozłożyli obozem pod lasem myszyńskim.

Po wschodzie słońca nic nie zapowiadało zbliżania się wojsk nieprzyjacielskich, i dlatego, rozsypani po lesie i kępach Łachy, wyciągaliśmy długimi marszami strudzone członki, gotowali wodę na spodziewaną żywność, której od 24-ch godzin nie mieliśmy, kąpali brudne ciało, prali bieliznę i kłócili się z markietanami, którzy z wygłodzonej Ostrołęki nic do zjedzenia wycisnąć nie umieli.

Pomruk dział za lasami lewego brzegu Narwi, około godziny 9-tej zrana, nie zmieszał naszego spokoju; dopiero wzmagająca się coraz bardziej wojenna wrzawa, zwiastująca odwrót korpusu gen. Łubieńskiego, powołała nas do szeregów. Wkrótce zaciemnił się widnokrąg tumanami kurzu i dymów artyleryjskich, z środka których trysnęły jasne płomienie gorejącej Ostrołęki.

Do godziny 1-szej z południa staliśmy na małym pagórku obok zarośli, odległym o dwie wiorsty od pola walki, nietknięci, nieświadomi tego, co się dzieje i dlaczego dzieje.

Rozkaz, przysłany Langermannowi, ażeby z naszą brygadą posunął się naprzód, oczyścił szosę, do Pułtus-

ka wiodącą, i odbił mosty na Narwi, przez Rosjan zdobyte, przedstawił nam zaraz plastycznie rzeczywistość położenia. Ochoczo i żwawo, jak niegdyś pod Wawrem, sfurmowały się wszystkie cztery bataljony mojego pułku w kolumny do ataku i za głosem rogów puściły ku owej nieszczęśliwej szosie i za nią położonym mostom.

Pusta i naga równina piaszczysta, pełna rowów, błot i tam poprzecznych, oddzielająca nas od szosy, zawalona setkami trupów i rannych z poprzednich a nieudanych ataków brygad gen. Bogusławskiego i Węgierskiego, okropny przedstawiała widok. Pomimo licznych zawał dotarliśmy do punktu, ostrzeliwanego krzyżowym ogniem, Bóg wie, ilu baterji rosyjskich<sup>218</sup>). Przebycie tej strefy śmierci, którą strzegł z drugiej strony las bagnatów piechoty rosyjskiej w zbitych kolumnach bataljonowych, było oczywiście szaleństwem. Dowódca 2-go bataljonu major Pawłowicz, jeszcze nie wyleczony z tykocińskiej rany, zwałił się zaraz z konia z rozbitą nogą od granata. Tuż za nim spadający na głowy żołnierzy drugi granat straszną dziurę wyrwał w bataljonie. Kule karabinowe i szrapnele, jak grad sypały się w to miejsce. Langermann, jakkolwiek nieustraszony, odgadł niepodobieństwo dalszej przeprawy i wbrew rozkazom rozbił nasze bataljony w chmury tyraljerów; a tak rozsypani, pojedynczo lub garstkami, choć nie bez straty, przebyliśmy ów czyściec na ziemi, i dorwali się do żywego mięsa naszych nieprzyjaciół. Nie mając nad głowami tych przeklętych kartaczy i pękających granatów, co tylu naszych oficerów i żołnierzy zakopały na tej małej przestrzeni pomiędzy Łachą i nową szosą, już śmieiej zbiegaliśmy się w kupki i uderzali na Rosjan. Szczęście służyło nam o tyle, iż tysiącami strzałów przerzedziliśmy trochę gęszcz bataljonów Martinowa, pędzili je przed sobą, omietli nieco szosę i ujrzeć zdołali z obydwuch stron mostu płaskie brzegi Narwi, o ile bagniska i moczary dozwalały. Langermann, ujrawszy przystęp do mostu nieco ułatwionym, uznał chwilę za stosowną do wykonania ataku i z naszą

półbrygadą, którą przy sobie zatrzymał, to jest z dwoma bataljonami 16-go pułku piechoty, puścił się biegiem do mostu po oczyszczonej szosie. Daremne zabiegi!.. Artylerja rosyjska z przeciwległego brzegu panowała z dwóch stron nad szosą i swym ogniem dośrodkowym rozszarpała wkrótce na szmaty naszą siostrzycę brygadną.

Langermann stracił dwa konie i pieszo z pałaszem, zdruzgotanym od kartacza, zaledwie szczątki z 16-go pułku za łańcuch naszych tyraljerów poukrywać zdołał<sup>219</sup>).

Po Langermannie, o godzinie 2-giej z południa, reszta naszej dywizji, t. j. pułki 2-gi i 12-ty linjowe pod dowództwem gen. Muchowskiego, usiłowały również, choć bezskutecznie, dostać się do mostu i wstrzymać napływ walących się przez most coraz liczniejszych kolumn nieprzyjacielskich, które jedynie ogień tyraljerski mojego pułku, rozsypanego na wielkiej przestrzeni od wielkiej kępy za rów dawnej szosy, w karbach umiarkowania wstrzymywał.

Śmiało rzec można, iż w danych okolicznościach pułk nasz jeszcze najlepsze świadczył usługi. Choć rozproszony, siedział przecież wciąż na karku piechocie rosyjskiej, i to go osłaniało od ognia artyleryjskiego; a ile razy świeże kolumny naszej piechoty lub jazdy, przekroczywszy piekielną obręcz pękających granatów, szły do ataku, zwiialiśmy się w kłębki i wciskali pomiędzy walczących. Ciasnota miejsca około mostu była tak wielką, iż nabijanie broni, strzelanie lub kłucie bagnetem, należało do rzędu czynności niemożliwych. Obydwie strony walczące, zderzywszy się piersiami o siebie, przedstawiały jedną wielką zbitą masę ludu, która nie krzycząc, lecz wyjąc, biła się pięściami i kolbami, kopała nogami i drapała po twarzy, pchając się z całej siły naprzód lub zsuwała na tył.

Naszem dążeniem było strącenie Rosjan do Narwi, ich pragnieniem wrzucenie nas w ów pas ziemi, ostrzeżliwany przez artylerję. Podczas tego spychania się tam

i nazad, przypominającego kalwaryjski odpust lub studenckie gniecienie sera, pluliśmy sobie z Rosjanami w oczy, szarpali za rzemienie, chwyтали pod gardła lub za lby wodzili; a śmiało utrzymywać mogę, iż złoty krzyż zasługi wojskowej, jaki otrzymałem za Ostrołękę, z włosów nieprzyjaciół mojej Ojczyzny wytargałem sobie.

Podobne atletyczne zapasy po krótkiej chwili kończyły się zwykle zepchnięciem naszych osłabionych oddziałów pod ogień dział rosyjskich. A wtedy rozsypywaliśmy się na nowo i wracali do pierwotnej roli tyraljerskiej, pozostawiając oczywiście rannych w ręku zwycięzców. W ten sposób nasz kapitan Antoni Ołędzki, ciężko ranny, dostał się do niewoli. Krzewiny wielkiej kępy, „Łachą“ zwanej, i nasyp starej szosy służyły nam na przemian za jedyne schronisko od kul karabinowych, i dlatego broniliśmy je strzałami, o ile mogli. Strzelanina ta z liczną i rozwielnioną piechotą rosyjską była dla nas niemniej bolesną i kosztowną. Porucznik Pstrokoński<sup>220</sup>), na wylot przeszyty kulą karabinową, nie ziewnąwszy, skonał. Pułk. Breański również od kuli karabinowej w kość goleniową potężnie oberwał. Kapitanowie: Machwitz i Białowiejski, porucznicy: Jabłonowski i Bądkowski, podporucznicy: Różański<sup>221</sup>), Maurycy Mochnacki, Gustaw Conrad, Walery Breański i przydzielony do naszego pułku ze sztabu głównego podpor. Ludwik Nabelak mniej więcej ciężko zranieni zostali. Wogóle pułk nasz stracił w ostrołęckiej potrzebie: 106 podoficerów i żołnierzy poległych na miejscu i 127 rannych, których z placu boju unieść zdołaliśmy.

Na nic nie przydała się lwia odwaga kapitanów Skrodzkiego, Mejsnera i Piaskowskiego, cyrkowa bravura majora Bobińskiego i dobosza Hertmana, — daremnie łamali karki podoficerowie: Łazarek, Solecki, Dąbrowski, Pieńkowski, Gratkowski, Zuliniec, Przeździecki i Krzyszka, krwiożerczy żołnierze: Krawiec, Leszczyc i Janicki<sup>222</sup>), gdyż i z tyraljerskiej pozycji ostatecznie wyparci zostaliśmy, poczęści nawet i przez własnych ułanów, cofających się w nieładzie z nieudanej szarży.

Wówczas poległ w naszych oczach gen. Kicki, powszechnie polskim Ajaksem zwany, a znany nam z owej drastycznej rozmowy z Szembekiem w Błoniu; dowodził on 2-gim i 5-tym pułkiem ułanów i przemykał się właśnie z dwoma młodziutkimi adjutantami: podpor. Marcelim Żółtowskim i Ewarystem Radwańskim<sup>223</sup>) z prawego skrzydła na lewe przez roje tyraljerów naszego pułku, gdy kula sześćofuntowa uderzyła go w bok i z konia zwała. Adjutanci odbiegli rannego, śpiesząc do szwadronów Poznańskich o pomoc i lekarza; a żołnierze mojego bataljonu podnieśli z ziemi rozerwane ciało generała, zanieśli do najbliższej chaty włościańskiej, za którą składano rannych dla opatrzania, i w ogródku warzywnym odrazu zagrzebali<sup>224</sup>).

Wśród zamieszania odwrotu z grobli starej drogi uratowałem życie jednemu z moich żołnierzy, przez wdzierających się tyraljerów nieprzyjacielskich powalonego na ziemię i już zagrożonego pchnięciem bagneta w piersi. Byłem dość daleko, lecz że krwawe zapasy o most na Narwi odbywałem z karabinem poległego żołnierza, a strzelało się czasem i w lot jaskółkę, więc też posłałem napastnikowi ołowiane upomnienie, które odwiodło go na zawsze od zamiaru przebicia żołnierza. Urzędownie policzono mi ten chrześcijański obowiązek za zasługę<sup>225</sup>), przeznaczoną do nagrody, którą wówczas i podpor. Petrulewicz, Marecki, Czajkowski, Antoni Proszkowski, bracia Mochnacy i Walery Breański otrzymali<sup>226</sup>).

Dzień miał się ku schyłkowi, a po wulkanicznym wybuchu siłą błyskawicy pędzącej do mostu baterji artylerji konnej Bema<sup>227</sup>), bój omdlewać począł około godziny 8-ej wieczorem i zamarł na całej linii. Cała nasza piechota była w rozsypce; a pułk mój, ustępujący z boju w formacji tyraljerskiej, tem łatwiej poszedł za jej przykładem, gdy miał za plecami lasy i w nim z powodu zmęczenia zgubić się pragnął. Energia Langermanna zapobiegła w części złemu, skupiła pułk na nowo i odwrót z pod Ostrołęki w lepszym porządku od innych pułków, jeszcze przed północą, przez nas rozpoczętym został.

Droga odwrotu, choć w części ciemnością nocy zakryta, przedstawiała przerażający widok. Przy pierwszej karczmie na drzwiach, z zawias zdjętych, leżał prześlizgnięty mężczyzna, Jan Kowalski, major 2-go pułku ułanów<sup>228</sup>), z roztrzaskaną nogą konający pod nożem lekarzy. Opodal porucznik artylerji konnej Ekielski<sup>229</sup>) zaprzęgał swoje konie wierzchowe do pustego jaszczyka i ładował w niego, co zmieścić się dało, rannych kanonierów z baterji, która świetną szarżą zakończyła bój ostrołęcki. Wszędzie obok drogi leżeli umarli lub z ran umierający, wozy przewrócone lub konie, ze znużenia padłe. Jazda i artylerja pchały się naprzód, strącały wszystko z drogi, a pułki piesze, zmieszane do nie poznania, w beładnych kupach ciągnęły po bokach drogi.

Szczęście, iż nas nikt nie ścigał, bo najmniejszy strumień lub zawada na drodze byłyby dla nas drugą Bereżyną.

Nad rankiem zatrzymał się pułk na chwilę w Kołakach dla ułatwienia przejścia tłumom rozbitków, szukających właściwych pułków i bataljonów, które po drodze na nowo zawiązywać się począły.

Po dziennym marszu, mijając Rożan, zapchany parkiem artylerji, ambulansów, wozów i tysiącami żołnierzy, strącani co chwila z drogi przez kłusującą jazdę, wśród skwaru i tumanów kurzu, z wielkim mozołem dostaliśmy się na noc do Pułtuska, wypoczęli chwilkę i odgotowali żywność. Leżąc w rowie z głową, opartą na kupce kamieni, nigdy w życiu nie miałem wygodniejszego posłania, któreby mi użyczyło przyjemniejszego snu i spoczynku.

Przejście Narwi pod Zegrzem ułatwiło uporządkowanie armji i skrytalizowanie rozbitków we właściwe kompanje i bataljony. Pułk nasz, choć potężnie wyludniony, uzupełniał się co chwila zapodzianymi żołnierzami, przyszedł za armją na Pragę i od strony Wawru rozłożył się obozem.

---

## XVIII.

### Wyprawa na schwytanie korpusów Rüdiger'a i Gołowina. Obrona Warszawy.

Bliskość Warszawy i w niej nagromadzonych ochotników, jeńców i zapasów wojennych ułatwiła rychłe skompletowanie pułku.

Pułkownik Breański, skazany na dwumiesięczne pielęgnowanie w łóżku zranionej nogi, oddał dowództwo pułku<sup>230)</sup> cudzoziemcowi, przybyłemu z Francji, baronowi Salomonowi Suarce, którego powszechnie Schwartzem nazywano.

Mnóstwo oficerów posunięto na wyższe stopnie, a pomiędzy nimi i rannych, do czynnej służby niezdolnych. I tak: major Godlewski odszedł na dowódcę 9-go pułku piechoty<sup>231)</sup>, a z nim major Ćwierciakiewicz<sup>232)</sup>, kapitan Tomasz Skrodzki<sup>233)</sup> i audytor pułkowy Szymon Obiedziński, obaj w randze majorów, do pułku „Braci krakowiaków“. Dowódca mojego bataljonu Ksawery Stępkowski, Jan Mańko i Ludwik Fiszer<sup>234)</sup> zostali majorami, a moja cscba, z rozkazu Naczelnego wodza z d. 13-go czerwca, porucznikiem. Jan Czerwiński<sup>235)</sup> i August Frezer<sup>236)</sup> wraz z dymisją otrzymali patenty kapitańskie, a korpus oficerów powiększył się świeżymi podporucznikami, jakimi zostali: Grzegorzewski, Wężyk i Solecki<sup>237)</sup>, o których wstąpieniu do pułku wspominałem, Bernard Grefkowicz, co mi przed siedmiu laty ułatwił awans na sierżanta, Jan Skulimowski, Karol Bogucki,

Józef Malczewski, Mikołaj Płachecki, Aleksander Grodzicki i Maciej Kędrzyński.

Obóz pod Pragę był rzymską Kapuą dla wojska. Ciągłe wycieczki do Warszawy osłabiały ducha karności w wojsku, zaprzętały umysły rewolucyjnymi doktrynami, przez patriotów brukowych po kawiarniach i bawarach wykładanemi, i odzwyczajają od znoszenia trudów obozowych.

Wygody i wygodki, dotychczas w wojsku nieznanne, powoli i nieznacznie zakradać się poczęły. Oficerowie kupowali konie juczne lub sprawiali wózki pod rzeczy, co zwiększało liczbę niefrontowych żołnierzy i tabor pułkowy, wlokący się bez początku i końca. Podczas marszu obsiadywano gęsto wózki i podwozy, a kompanje częstokroć bez oficerów maszerowały. Żołnierze, zarażeni złym przykładem, folgowali sobie znowu na czatach i patrolach, a tak rozprężenie czyniło z dniem każdym coraz większe postępy. Nietkniętym pozostał tylko duch poświęcenia życia dla kraju, a uczty dla wojska, przez gwardję narodową w dniu 5 i 12-tym czerwca w Warszawie wyprawione, skrzepiły go na nowo.

Na pierwszej, w ogrodzie Krasińskich odbytej, obecny nie byłem, na drugą otrzymałem zaproszenie wraz z kilkunastu podoficerami i żołnierzami mojej kompanji.

Wielka aleja ogrodu Saskiego, zamieniona w salę biesiady, przedstawiała niezwykle a wspaniałą widok. Około 250 oficerów i 3,200 żołnierzy zasiadło o godzinie 2-iej z południa za stołami, zastawionymi obficie jadłem i trunkami. Gwardja narodowa pełniła rolę gospodarzy i wywiązała się z takowej znakomicie. W środku ogrodu, przed stołem generalicji, przy którym zasiedli: wódz naczelny Skrzynecki, prezes Rządu Narodowego ks. Czartoryski, marszałek sejmu, ministrowie, deputowani i generałowie, wzniesioną była piramida, ozdobiona zdobytymi sztandarami rosyjskimi, chorągiewami z napisem: „Za naszą i waszą wolność“ i pokryta tarczami, wskazującemi miejsca odbytych bitew.

Wznoszono liczne toasty na pomyślność wojska i wodzów i w pierwszym z nich przypomniano obowiązek zmycia pierwotnego grzechu Katarzyny w wodach Dźwiny i Dniepru...

Skrzynecki wychylił puhar za zdrowie ks. Czartoryskiego, a książę na cześć m. Warszawy. Chóry teatralne z towarzyszeniem amatorów odśpiewały kantatę, ułożoną umyślnie na tę uroczystość, a muzyka gwardji narodowej intonowała pieśni narodowe, które z zapalem śpiewano. Po uczcie rozpoczęto tańce, ściskano, całowano żołnierzy, piękne panie zrywały gałązki lipy, stroiły nimi kaszkiety i wszystko, co radość i uniesienie wywołać mogą, aplikowano dla uczczenia i rozochocenia żołnierzy.

Dzień niedzielny i pogodny sprowadził nadto kilkunastotysięczny tłum ludu do ogrodu, który okrzykami zadowolenia podsycał powszechną wesołość.

O godzinie 7-ej wieczorem uderzono na zbór w bębny, zestawiono szeregi, i w porządku wojskowym powróciliśmy na Pragę. Na trzeci dzień po tych godach, wczesnym rankiem 14-go czerwca ruszył się nasz pułk z obozu dla wzięcia udziału w osaczeniu korpusu Rüdiger'a, stojącego w okolicach Lublina, i pomaszerował szosą siedlecką do Wiązowni, gdzie zanocował. Nazajutrz poszliśmy do Siennicy, na trzeci dzień do Wodyń, a stamtąd do Wiśniewa, o milę od Siedlec oddalonego.

W dniu 18-tym czerwca wraz z resztą naszej dywizji zajęliśmy bez oporu Siedlce i zabrali znaczne zapasy wojskowe. Nie było jednak nam pozwolone nawet prześpać się w dawno upragnionych Siedlcach, gdyż zaledwie zajęte zostały, przyszedł rozkaz odwrotu i przyspieszonego pochodu na pomoc Jankowskiemu. Marsz okazał się bezskutecznym, bo niedołęstwo gen. Jankowskiego i Bukowskiego, za co później przez lud warszawski bez sądu zamordowani zostali, wypuściło już z matni Rüdiger'a. Tak więc nic nie zdziaławszy, wśród deszczów ulewnych, przez Wojcieszków, Żelechów i Garwo-

lin doszliśmy do Wisły, w Potytczy przeszli na brzeg lewy i przez Warszawę powrócili z kilkudniowej przechadzki na Pragę<sup>238</sup>).

Dla naprawienia popełnionych błędów i zadosyćuczynienia opinii publicznej, obrażonej wymknięciem się Rüdigera, pomijając rzecz główną, t. j. wzbronienie przeprawy przez Wisłę armji ks. Paskiewicza w Płockiem, podjętą została, za dni kilka, nowa wyprawa korpusu gen. Gołowina w tym samym kierunku, co poprzednia.

W dzień św. Piotra i Pawła<sup>239</sup>) opuścił znowu pułk nasz Pragę i szosą siedlecką odszedł do Brzezin. Stamtąd po czterodniowym nasłuchiowaniu nieprzyjaciela pułk ruszył do Kałuszyna, spędził przednie straże rosyjskie za Kestrzyń, lecz jakby przerażony powodzeniem, cofnął się napowrót do Brzezin. Objęcie dowództwa korpusu przez gen. Chrzanowskiego, złączenie się nasze z dywizją Ramoriny w d. 12-tym lipca na wysokości Wielkiego-Dębego były nazajutrz zawiązkiem zaczepnego działania.

Chrzanowski zbliżył się od W. Dębego do lasu Stojadła i w nim ukrył; a mojemu pułkowi nakazano zajęcie miasteczka Mińska, co też zaraz o północy przy miękkim oporze nieprzyjaciela uskuteczniiono.

Pułk. Suarce zajął kwatery w starożytnym pałacu Borzęckich, w środku łączego, w dole położonego miasteczka; a mój bataljon, wysunięty naprzód, rozsyłając czaty i patrole, z bronią u nogi oczekiwał na wschód słońca i nieprzyjaciela.

Cierpliwość nasza nie na długą próbę wystawioną była, gdyż o godzinie 5-tej zrana (14-go lipca), zaczepiły nas przednie oddziały korpusu Gołowina, których Suarce, nami po raz pierwszy w ogniu dowodzący, tak mocno się przeląkł, iż bez najmniejszej przyczyny i potrzeby opuścił Mińsk, zdając go na łaskę 4-ch bataljonów jegrów i kilku szwadronów ułanów<sup>240</sup>).

Gen. Chrzanowski, rozgniewany na Suarce, tłomaczącego się, jak żak, brakiem ładunków, zagroził mu rozstrzelaniem, jeżeli Mińska natychmiast nie odbierze.

Suarce powtórzył groźbę dowódcom bataljonów, a tak klnąc z góry na dół jeden drugiego, zawróciliśmy z drogi i napadli na miasteczko. Bobiński ze swym bataljonem uderzył wprost z gościńca, inne bataljony naszego pułku poszły bokiem, przepawiły się pod ogniem nieprzyjacielskim wbród przez rzeczkę Wiśniówkę i strumień Srebrny i tyłami domów wdzierały się do miasteczka, które też o godzinie 9-tej zrana brygadzie jegrów napowrót wydarte zostało.

W walce ulicznej oficerowie i żołnierze mieli łatwą sposobność do okazania osobistej odwagi i wielu z nich wówczas pięknie się odznaczyło, jak kapitanowie: Krzyżanowski, Białowiejski i Józef Stępkowski, porucz. Ignatowicz, podporucznicy: Lefevre, Wasilewski, Łażniewski, Grzegorzewski i Wołowski<sup>241</sup>), który pierwszy wskoczył do rzeki. Z żołnierzy wspomniano w rozkazie dziennym pochwałę dla Łatka i Jana Cendrowicza, jak również dla podoficerów: Mikołaja Różyckiego, Maksyma Brzezińskiego, Szczepańskiego, Zwolińskiego, Gierałtowskiego i Juljusza Tittenbruna, który w kilka lat potem, dosłużył się orderów i rangi kapitana w wojsku hiszpańskim i poległ w usługach Don Pedra.

Równocześnie wyszedł z lasów i rozwinął się korpus gen. Chrzanowskiego, zagarnął nas z sobą i posunął za Gołowinem do Kałuszyna, o 16 wiorst odległego, gdzie za nadejściem naszych bocznych oskrzydających kolumn przyszło do gorętszej rozprawy i zabrania jednego działą z zaprzęgiem, 16-tu oficerów i 1000 żołnierzy. Pomimo tej korzyści, Gołowin, podobnie jak Rüdiger przed miesiącem, uszedł z niezręcznie nastawionych sideł, i dlatego wybierawszy porzucane karabiny, w które dowódca 11-go pułku Odolski uzbroił swój 3-ci bataljon kosynjerski, bez strategicznego rezultatu powróciliśmy w dniu 23-cim lipca znowu na Pragę.

Zamiar stoczenia walnej bitwy nad Bzurą z główną armją rosyjską, w międzyczasie przeprowadzoną szczęśliwie przez Wisłę, wyprowadził nas po raz ostatni w

d. 28-ym lipca z Pragi do Warszawy, a stamtąd do Sochaczewa.

Jakże odmienny obraz przedstawiał pułk nasz na rynku tego miasta, co w latach ostatnich służyło mu za gniazdo rodzinne, a które dopiero przed 8-miu miesiącami, wspaniały i silny, z zapalem opuszczał?..

Już nie gen. Szembek, lecz jego porucznik Franciszek Bobiński szedł na czele pułku, którego dowództwo, za Mińsk, po Suarce otrzymał<sup>242</sup>). Zniknęli z szeregów dawni oficerowie i żołnierze, rozeszli się po pułkach nowej formacji lub spoczęli w grobach, a bataljony, do 500 ludzi zmalałe, sterane i wynędzniałe, kryły w sobie niemal samych rewolucyjnych oficerów i nowozaciężnych żołnierzy.

Zapał poświęcenia, wystudzony nad mostem w Ostrołęce, i duch wojenny, zgnębiony na wyprawach przeciwko Rüdigerowi i Gołowinowi, zastąpiły godność osobista, przywiązana do chorągwi, i resztki karności wojskowej, które nie dozwalały rzucenia broni na ziemię i opuszczenia szeregów. Ten honor wojskowy i uszanowanie dla pułkowego sztandaru<sup>243</sup>), utrzymywały nas jeszcze w szeregach, gdyż sprawa narodowa była już stanowczo przegrana.

W Sochaczewie kazano nam bronić przeprawy przez Bzurę. Zniszczyliśmy więc most na rzece i do połowy sierpnia obozowali nad rzeką i strzegli płynącej wody.

Główna armja nasza, roztasowana pod Bolimowem, obierała sobie tymczasem wodzów, sejmikowała, w czem, jako od niej oddaleni, nie braliśmy najmniejszego udziału.

W święto Wniebowzięcia Matki Boskiej<sup>244</sup>) zaskoczeni zaczepnym ruchem wojsk rosyjskich i odwrotem naszej armji na całej linii, opuściliśmy Bzurę i wycofali się za rzeczkę Utratę, pomiędzy Ołtarzewo i Błonie.

W kilka dni potem powołano nas do Warszawy i rozmieszczono w dawnym obozie pod Powązkami. Przesunięcie się armji rosyjskiej na trakt raszyński i niewątpliwe objawy zbliżającego się szturm do miasta wyprowa-

dziły nas z obozu pod rogatki Jerozolimskie, gdzie za wałem propinacyjnym Newachowicza, w ogrodach miejskich, koczowisko dla naszego pułku obrane zostało. Stamtąd dostarczaliśmy załogi dla opalisowanych okopów, przed nami położonych, i dla znacznie naprzód wysuniętej reduty Nr 54, pomiędzy Rakowcem a Wolą położonej.

W okopach tych o godzinie 3-ciej zrana, co godzin 48 zmieniano załogę. W nocy z 3-go na 4-ty września, dowodząc już kompanją, poszedłem z takową na straż do reduty Nr 54, a okoliczność tę wspominam dlatego, iż okop ten uwieczniony został wierszem nieśmiertelnego Adama i żyje dotąd w pamięci wszystkich pod nazwą „reduty Ordona“.

Okop ten, dość znacznych rozmiarów, w kształcie sześcioboku, nieźle był usypany z ziemi, chociaż ziemia piaszczysta i miętka, niewiele zapowiadała trwałości. Z okalającego rowu, 5 stóp szerokiego a 8 głębokiego, podnosił się pod kątem ostrym nasyp, u podstawy 6 stóp gruby, a nawewnątrz 4 stopy wysoki. Środkiem rowu zasadzony był sznur palisad, a okop cały, potrójnym rzędem wilczych dołów nazewnątrz ustrojony. Wejście i wyjście z okopu od strony Warszawy nie było zamknięte rowem, lecz barjerą. W okopie było 5 dział artylerji wałowej<sup>245</sup>) i wolne miejsce do pomieszczenia dwóch kompanji piechoty. Komendę nad okopem sprawował major Piotr Łabęcki, oficer bardzo czynny i zdolny; przez cały dzień zaprawiał on żołnierzy do obrony okopu, ustawiał oficerów i szeregowców na szańcu i ławach, uczył użycia broni i ręcznych granatów, wskazywał porządek wycieczki z reduty i powrotu do takowej. Wielka szkoda, iż tak energicznego i z miejscowością obeznanego oficera odwołano z okopu i wysłano na komisję do Ujazdowskiego szpitala. Miejsce jego zajął jakiś dobroduszny major, który nie miał już czasu i sposobności rozpoznania się z okopem i z załogą. Za nadejściem nocy, przy zwykłej zmianie straży, kompanja moja została zastąpioną przez kom-

panję Stanisława Bobińskiego, brata Franciszka, który z 5-go linowego przeniósł się do naszego pułku <sup>240</sup>). Z Bobińskim przymaszerowała jeszcze jedna kompania tego samego bataljonu, bo poruszenia, dostrzeżone wieczorem w obozie rosyjskim, dozwalały się domniemywać rychłej napaści.

Wróciwszy do obozowiska pułku, zaledwie sen skleił moje powieki, gdy zbudzony zostałem silnym hukiem armat i grzotem bębnow, nawołujących na gwałt w szeregi. Wyszedszy za wał miejski z rozkazu gen. Umińskiego, rozbierano nasz pułk kompanjami na wzmocnienie załóg w pojedynczych okopach, przez co zaledwie jeden bataljon pozostał w komplecie i w szyku bojowym.

Ogień artylerji rosyjskiej skierowany był pierwiastkowo na silnie obwarowany, lecz od nas znacznie oddalony kościółek na Woli i na dwa okopy (Nr 55 i 57), naprawo i wlewo kościółka, z ukosa naprzód wysunięte. Po zdobyciu tych dwóch okopów i osadzeniu ich artylerją rosyjską, ogień rozszerzał się coraz bardziej i zagarnął redutę Nr 54, już przed naszymi oczami leżąca, nam podwójnie drogą, bo ukrywającą blisko 200-tu żołnierzy naszego pułku.

Obronę reduty znamy ze słów wieszczka:

„Pięć armat tylko miała, wciąż dymią i świecą,  
I nie tyle prędkich słów gniewne usta mieca,  
Nie tyle przejdzie uczuć przez serce w rozpacz,  
Ile z dział tych leciało kul, bomb i kartaczy“.

Choć bohaterską, lecz daremną była obrona. Setki kul armatnich wkrótce na popiół rozsypały piaszczyste ściany, palisady jak kręgle powywracały na ziemię, rozbiły przedpiersia i pogruchotały armaty. Artylerja konna wsypywała do reduty kosze kartaczy, a przy jej pomocy brygada gen. Lutkowskiego z jednej, a brygada Liprandi z drugiej strony, niosąc opłotki i drabiny, zarzuciły rów faszynami i z wielkim krzykiem do wnętrza reduty wdzie-

rać się poczęły. Pułk. Liprandi z chorągwią w rękę, na czele ochotników z pułku Jeleckiego, pierwszy wdrapał się na szaniec. Obrońcy reduty nie byli już żołnierzami z pod Wawru i Tykocina i dlatego uląkłszy się uraganu, jawiącego się nad głowami, zapomnieli o bagnecie, a pomyśleli o osobistem ocaleniu.

Z okopu, położonego poniżej, przypatrywaliśmy się tej strasznej scenie, a widząc redutę zdobytą i garstkę naszych żołnierzy uciekającą z takowej, artylerja naszego okopu poczęła rzucać przez elewację granaty na opanowany okop dla umiarkowania zwycięzców i ułatwienia odwrotu załozde.

W tej chwili jednak ogromny słup ognia wydobył się z ziemi, zaciemnił horyzont i z strasznym łoskotem ziemia i ludzie wylecieli w powietrze.

Przerażenie i osłupienie było powszechne, — zamarł głos w piersiach, zamilkły i działa. Zwycięskie bataljony pułków Jeleckiego i Siewskiego rozprysły się w koło, przysypały ziemią i drzazgami drzewa. Gen. Geismar został ciężko skaleczony, pułkownik Kludenew wyzionął ducha, a ks. Gorczakow, późniejszy namiestnik Królestwa, również w owej chwili został zraniony.

Nie byłem wówczas w reducie i nie jest moim zamiarem, odebranie sławy podpor. Gordonowi<sup>247</sup>), któremu poeta przypisał zasługę podpalenia prochowni i wysadzenia reduty w powietrze. Z opowiadań powracających żołnierzy wynikało, iż nikt nie nosił się z myślą rozmyślnego zapalenia prochu, a że wybuch ognia w prochowni nastąpił po zupełnem opanowaniu reduty, pojmaniu Bobińskiego i poddaniu się naszych żołnierzy, więc domniemywano się powszechnie, że granaty, z naszego okopu wysyłane, wpadły przez lukę, którą się wchodziło i wychodziło z reduty do prochowni, umieszczonej pod lawą, na której stały armaty, wśród walki dla śpieszniejszego donoszenia amunicji otworem stojącej, i pękając, takową zapaliły.

Jak bądź się stało, o godzinie 7-mej zrana nie było już śladu z owej, —

„Jak głąz morze bodzącej reduty Orдона, —

choć podoficer Władysław Gordon (?), pochodzący z Ukrainy, jeszcze przed wybuchem prochowym przy obłudzie działa ciężko zraniony, uniósł z niej szczęśliwie życie. Pokaleczony i poparzony, oddany został przez Rosjan do szpitala wojskowego w Warszawie, a po wyleczeniu z ran uszedł za granicę Królestwa Polskiego; przebywał on do r. 1836 w Rzpłitej Krakowskiej i w gościnnym domu Wojciecha Brandysa w Kałwarji, a wydalony za granicę, wstąpił do artylerji belgijskiej w randze podoficera. Miejsce instnienia reduty i grobu tyłu żołnierzy, zaznaczyli Rosjanie żelaznym pomnikiem dla poległych.

Za chwilę po wybuchu zaimprovizowanego wulkanu, nasze baterje wałowe niżej położonych okopów zawiązały walkę z artylerją rosyjską, ustawiającą się na szczątkach reduty Orдона, i spędziły kolumny piechoty, które ochłonawszy z przestachu, z poza reduty na nas wysunąć się pragnęły.

Artylerja rosyjska, ośmielona powodzeniem nad ostrogiem, strzegącym kościółka na Woli, zwolna, lecz nieustannie, zbliżać się poczęła ku naszym okopom, i już około godziny 9-tej zrana, kule jej sięgały wału miejskiego, a granaty zapaliły za naszymi plecami obszerne zabudowania browaru Kijoka.

Naprawo od nas trzeszczał ogień rotowy i wzmagała się wrzawa 30-tu pijanych bataljonów, biegnących do szturm na Wolę; nalewo mocowała się druga brygada naszej dywizji<sup>248</sup>), której posiłkująca kompanja raketników zapaliła Rakowiec dla wykurzenia kryjących się w nim bataljonów Murawjewa.

Stojąc w drugiej linii bojowej, zasłonięci tumanami prochowego kurzu i dymem pożarów, byliśmy niemymi i ślepymi świadkami tego, co się przed nami działo, gdyż do godziny 3-ciej z południa, do której trwała walka na

pierwszej linii obronnej, nie znaleźli nasi dowódcy należytej sposobności do użycia sił mojego pułku.

Zawieszenie broni, trwające blisko 24 godzin, po stracie wieńca przednich redut, nie polepszyło w niczem naszego położenia, a wzmocniło naszych nieprzyjaciół, których tysiące pracowało przez całą noc bezkarnie i przed naszym nosem nad naprawą zdobytych okopów.

Z tego też powodu nazajutrz, d. 7-go września, gdy około godziny 1-szej i pół z południa rozpoczęte zostały na nowo kroki nieprzyjacielskie, odrazu ogień 100 armat obrzucił kulami nasze stanowiska i okopy, przed rogatkami Jerozolimskimi położone, i byłby nas wkrótce stał na miazgę, gdyby nasza artylerja polowa nie wsparła wałowej, nie zgruchotała kilkunastu armat, nie wysadziła w powietrze kilku jaszczyków i nie odsunęła w tył linii artyleryjskiego ognia.

Równocześnie zawrzała nalewo od nas straszna walka piechoty rosyjskiej z naszymi grenadierami o karczmę Żelazną, a naprawo, o zdobycie redut, strzegących przedmieście Czyste od północy. Brygada nasza, nad którą utracił dowództwo Langermann z powodu nieprzyzwoitego obchodzenia się z oficerami, wodzona naprzemian przez Niewęglowskiego lub Bobińskiego, zsuniętą została wzdłuż okopu miejskiego, od Jerozolimskich rogatek ku Cystemu, a reszta mojego pułku, o ile nie była uwięziona w redutach, skupiła się przy brygadzie Muchowskiego obok 16-go pułku piechoty i zapełniła lukę, jaką w tej brygadzie odesłanie 2-go pułku piechoty do miasta otwarło.

Zdobycie północnych redut Czystego (nr. 21 i 22) i nawał całego szturm na zachodni okop, położony naprawo szosy, wiodącej z miasta od rogatek Wolskich do kościołka, pchnął nas na obronę tego okopu.

Droga do niego była już zagrodzoną przez kolumny piechoty, przedzierające się do szosy i zabudowań Czystego ze zdobytych parkanów, w których przed odej-

ściem nasz porucznik Conrad<sup>240</sup>) miał również zapalić zapas niespotrzebowanych ładunków. Przejście otwieraliśmy sobie bagnietem przez płoty, rowy i ogrody, wśród palących się domów i wiatraków.

Przebiwszy się za szosę, okop, któremu śpieszyliśmy z odsieczą, ujrzyliśmy zdobytym i zdobywców, siedzących już na karku drugiego, za nim położonego okopu (nr. 24).

Biegiem i bez należytego ładu wysunęliśmy się zaraz na kolumny, napastując okop, w nadziei uratowania go i oswobodzenia załogi, lecz kilka konnych baterji rosyjskich najechało nas zblizka i tak w oczy sypało karataczami, iż nie dobiegłszy do mety, zwrócić się i za murem cmentarza ewangelickiego od niechybnej śmierci szukać musieliśmy schronienia. W oczach naszych poległ pułkownik Romański, a z przeciwnej strony gen. Briggen, zdobywca 24-go okopu.

Zamknięci na cmentarzu, za ciekim i niskim murem, opatrzonym w strzelnice, broniliśmy się strzałami do upadłego. Zagrożeni odcięciem od nieprzejrzanych, jak lawa wlewających się na Czyste kolumn piechoty, wycofaliśmy się o 7-ej wieczorem z cmentarza za wał miejski, który w tem miejscu znaleźliśmy rozkopany.

Za wałem, rozsuwając się ku Wolskim rogatkom, broniliśmy różnych drobnych kątów oszańcowanych i barykad, wstrzymując postęp na miasto Ekaterynosławskiego pułku gwardji (?).

Szczupłość miejsc obronnych nie dozwalała na szerzy ogień piechoty i dlatego żołnierze mojej kompanji nabijali i podawali karabiny, a ja z moimi podporucznikami, stojąc na podwyższeniu, za barykadą lub przy ostrosłupach, paliliśmy do wdzierających się na wał akcyzowy grenadierów, jak na stawie do kaczek. Wówczas spotkałem się, jak na pożegnanie, z pierwszym i jedynym strzałem, jaki w moje ciało w ciągu całej kampanji ugodził. Jedna z kul karabinowych, które jak bąki nad uszami

brzęczały, uderzyła mnie w samą pierś, lecz na szczęście mundur gruby, wywatowany pakułami, których co chwila potrzebowałem, gruba kamizelka i sprzączka od szelek nie wpuściły ołowiu do żywego ciała. Przewróciłem się jednak na ziemię, na chwilę zesłałem, dostałem zdrtwienia w lewej ręce, lecz orzeźwiwszy się wodą, opamiętałem się wkrótce i z moją kompanją toczyłem dalej drobną walkę pomimo zapadającej nocy.

W walce tej, bez ładu i porządku zwodzonej, brały udział i osoby cywilne, a pomiędzy nimi i pani Dębińska, wdowa po pułkowniku od weteranów, porzuciwszy opiekę nad rannymi w szpitalach, której się z całym poświęceniem oddawała, z karabinem w ręku płątała się pomiędzy naszymi szeregami. Tymczasem za naszymi plecami, w ulicach przedmieść, oświetlonych blaskiem pożaru drewnianych domów Czystego i rogatek Wolskich, wzrastał się popłoch i zamieszanie, zwiększane ratunkiem miejskiej straży ogniowej, której brandmajster Sternberg, ugodzony granatem, nalewo od naszych stanowisk poległ.

Ludność miejska, która z południa obsiadła wiatraki i dachy budynków i z nich przez szkła, jakby przedstawieniu teatralnemu, przypatrywała się naszej walce, ze zmianą dekoracji wojennej uciekała do domów i zamykała się w nich przed nami, jak niegdyś w nocy 29-go listopada.

Około godziny 10-tej wieczorem, po wysadzeniu w powietrze naszej prochowni za Jerozolimskimi rogatkami, omdlała walka i przyszedł rozkaz cofnięcia się na Grzybów, a stamtąd na plac Saski.

Tam przez noc całą zbierały się gromadki, należące do naszego pułku, które adjutanci z różnych stanowisk sprowadzali. Strudzeni, oniemiałi i głodni leżeliśmy na gołym bruku, gdyż sklepy i kawiarnie tak szczelnie odrazu pozamykane zostały, iż nigdzie nic do zjedzenia lub wypicia dostać nie było można.

Wiadomość o kapitulacji miasta nie była nam tajemnicą. O jej prawdziwości przekonywał tabor wozów, dział i wojska, jak rzeka wezbrana, spływający gwałtownie na Pragę.

I my nad rankiem poszliśmy tym szlakiem, opuszczając z rozdartym sercem stolicę kraju, którą rzetelnie broniliśmy i obronić pragnęli. Tysięczne stopy trupów przed wałami miasta, wszystkie szpitale i gmachy publiczne zawałone rannymi, powietrze przesycone dymem prochowym, a ulice zaścielone papierem miliona wystrzelanych ładunków, które powiew wiatru w tył odnosił, wystawiało nam, prostym żołnierzom, na odchodnym świadectwo, żeśmy obowiązki naszego stanu dobrze zrozumieli i względem Ojczyzny sumiennie spełnili...

---

## XIX.

### Rozwiązanie pułku. Powrót do domu.

Po nocy w śmiertelnej gorączce, rozstrzygającej walki o byt i życie zwodzonej, jakież poranek przygotowało nam słońce, wschodzące na dzień 8-my września?..

Jeszcze rozprężone bataljony mojego pułku nie podniosły się do pochodu i nie wyruszyły z Pragi, gdy odgłos bębnow i muzyk wojska rosyjskiego, wkraczającego około godziny 7-ej zrana do Warszawy, doleciał do naszych uszów i, jak zwiastun pogrzebowego obrzędu, pchnął naprzód polskie kolumny drogą do Modlina.

Nie przypominam sobie nic smutniejszego i rzewnniejszego w życiu, jak tę drogę i pierwszy popas w Jabłonie.

Wojsko zdezorganizowane, zmęczone i niewyspane, wlokło się bez ładu znużonym krokiem z głową, zwiśniętą na piersiach, oczyma, krwią zaszłemi... Setki wozów, bryczek i pojazdów, uwożących rekwizyty wojskowe, kasy, archiwa, sejm i kancelarje, zalegały gościniec. Gromadki osób cywilnych, zdesperowanych i zapłakanych, ciągnęły pieszo za wojskiem. Obok szeregów mojego bataljonu widziałem poważnego starca, hr. Ostrowskiego<sup>250</sup>), palatyna i dowódcę gwardji narodowej warszawskiej, ocierającego łzy rękawem i łkając przemawiającego z żalem i wyrzutem do żołnierzy, że go wiodą na tułaczkę, nie zagrzebawszy raczej żywcem w ojczystym grodzie.

W innej kupce ludzi wskazano mi człowieka, zgarbionego wiekiem a zwiędniałego pracą, w świątecznym fraku i w wysokich butach węgierskich z kutasikami, z torbą, przewieszoną przez plecy, i z parasolem w ręku, mozolnie podnoszącego nogi i z niemem osłupieniem oglądającego się co chwila za Warszawą... Był to Jachim Lelwel. Opodal za nim w podartych butach, z jedną koszulą w kieszeni, włókł się ponury i przerażony, jakby gromem pioruna odurzony, Nepcmucen Janowski, bibliotekarz Towarzystwa Naukowego i redaktor „Gazety Polskiej“.

Iluż podobnych im ludzi politycznych, mężów stanu i dygnitarzy uchodziło wraz z nami, iluż ciężko rannych uwożono na wozach?!.. a wszyscy oprócz bryłki rodzinnej ziemi, krwią i łzami zroszonej, nic więcej z sobą nie unosili z domowej zagrody.

Pod tym względem zrównali się z nami, co tę samą nagrodę za dziesięćmiesięczne niewysłowione trudy, za niebezpieczeństwa i rany, za zawód całego życia i nędzę w przyszłości wynosili z Ojczyzny.

W Modlinie poczęliśmy obliczać nasze straty, pod Warszawą doznane, lecz że pułk działał w rozproszeniu i wielu oficerów nie wyszło z miasta, uważając wojnę za skończoną, przeto zdołaliśmy sprawdzić tylko ten fakt jedyny, iż pułk nasz w przeddzień szturm do miasta, według kontroli pułkowej, liczył 68 oficerów i 2290 żołnierzy, zaś w Modlinie, po uporządkowaniu na nowo, tylko głów 1669<sup>251</sup>).

Ostatnie chwile skonania naszego listopadowego powstania, pełne zatargów, waśni i oszczerstw, nie są godnymi wspomnienia. Również i usiłowania podjęcia na nowo walki pod wodzą Macieja Rybińskiego<sup>252</sup>), w szczegółach znane dokładnie z opisów gen. Dembińskiego, Zwierkowskiego, J. B. Ostrowskiego i innych, dla ich czezej wartości nie zasługują na powtórzenie.

Rząd i wojsko, oddalając się z Modlina na Płock ku granicy pruskiej, z dniem każdym traciły resztki sił swo-

ich. Mnóstwo wyższych oficerów pozostało w Warszawie, a z tych, co wdrożeni w karność wojskową, nie opuścili szeregów, wielu brało dymisje i rozjeżdżało się na wszystkie strony. Widocznie zbliżała się ostatnia godzina, a z nią konieczność rzucenia broni u nóg zwycięzców lub zdania się na łaskę sąsiedniego państwa.

Jedno i drugie, do przebycia przykre, smutną zarazem zwiastowało przyszłość. Jako uczeń szkoły podchorążych, a tem samem jeden z autorów powstania, nie mogłem liczyć na pobłażanie, i dlatego nie wierząc w szczerłość i życzliwość krzyżacką, postanowiłem nie czekać ostatecznej chwili, lecz wziąć nogi za pas i na przełaj uchodzić do neutralnego Krakowa.

Odbywszy z moją kompanją ostatnią straż w kryminale plockim, przed którym, na początku mojej służby wojskowej, jako szeregowiec stałem nieraz na warcie, udałem się pod opiekę dawnego kapitana Michalskiego<sup>253</sup>), w randze podpułkownika zatrudnionego przy sztabie głównym, i uzyskałem od niego pisemną dymisję, opiewającą na imię podoficera Antoniego Gregorczyka. Od niego dowiedziałem się równocześnie, iż przedstawienie komendy pułku, zalecające mnie na kapitana kompanji, której byłem dowódcą, jeszcze przed kapitulacją Warszawy uczynione, zostało zatwierdzone. Zarazem przyrzekł mi uroczyście Michalski, iż prześle mi przy pierwszej sposobności, drogą przez Prusy, patent uzyskanej rangi i świadectwo z odbytej służby wojskowej.

Zrzuciwszy więc oznaki oficerskie i rozdarowawszy pomiędzy żołnierzy bagaże, poszedłem pożegnać kolegów i Bobińskiego, który oprócz dowództwa pułku, objął i naczelnictwo brygady.

Propaganda, zaniesienia naszych kości do Francji, była już wówczas zawiązaną. Wielu z moich kolegów, zaufanych w niemiecką życzliwość i w francuską pomoc, chciało mnie odwieść od zamiaru powrócenia do domu. Dwaj Poznańczycy, zbiegli z wojska pruskiego, a służyący w moim pułku, t. j. podpor. Wincenty Kołodziejow-

ski i drugi, którego nazwiska zapomniałem, odwiedli mnie od tych myśli i oświadczyli chęć odbycia razem niebezpiecznej podróży. Do nas przyłączyli się jeszcze: porucznik Ignatowicz, pochodzący z Próżan pod Grodnem i młodzi podporucznicy: Dahlen<sup>254)</sup> i Sawicz, wszyscy z mojego pułku.

Sceny pożegnania się z chorągwią i rozstania z żołnierzami przypominać nie będę, gdyż scen podobnych byliśmy odtąd nieraz świadkami w ciągu ostatniego półwieku. Pułk znajdował się przytem w zupełnem rozwęźleniu, a jakkolwiek major Fiszer<sup>255)</sup> przeprowadził go przez granicę pruską w dość poważnej liczbie, to liczba ta zmalała wkrótce do cyfry 55 oficerów i 821 żołnierzy<sup>256)</sup>, albowiem ci ostatni dobrowolnie lub przymusowo, nie czekając na skutek dyplomatycznych pertraktacji, zaraz od granicy zwracali się do domów.

Do Francji i innych cudzoziemskich krajów w przybliżeniu odeszło z mojego pułku nie więcej, jak 40-tu oficerów oraz 60-ciu sierżantów i żołnierzy; a pomiędzy pierwszymi wielu takich podoficerów i litewskich powstańców, którym dla poprawienia losu i wyjednanania lepszego bytu we Francji przyznano na granicy pruskiej lub nawet i później stopnie oficerskie.

Z oficerów konstantynowskich tylko porucznicy Franciszek Bobiński<sup>257)</sup>, Jan Mejsner i Celestyn Białowiejski; podporucznicy August Szmudy, Aleksander Stryjeński i z ran niewyleczony Jan Jabłoński udali się na tułaczkę. Z moich kolegów szkolnych i pułkowych, awansowanych za noc listopadową, nie licząc Markowskiego<sup>258)</sup> i Lipińskiego, przesiedlonych do innych pułków, poszli za przykładem pierwszych: Proszkowski<sup>259)</sup>, zmarły w kilka lat potem w Londynie, Januszewski, Szymanowski, Kamil Mochnacki i Rydecki<sup>260)</sup>, co wstąpił później do ligji zagranicznej w Afryce. Z oficerów rewolucyjnych wyszli z kraju: major tytularny Stanisław Żurawski, co z pod Raszyna uwiózł ранnego Godebskiego, kapitanowie Czajkowski Stanisł., Petrelewicz Ludwik<sup>261)</sup>,

Przysiecki Piotr, Maciejowski Eustachy, Skrodzki Józef, stary wiarus Zdzitowiecki Michał<sup>262</sup>) i Nepomucen Olszewski, co się później sam zastrzelił, porucznicy Mochnacki Maurycy, Malczewski Józef, Moszczeński Stanisław, Słomczewski Paweł, Stefański Teodor, Skulimowski Jan i Juljusz Godlewski algierczyk, co służył poprzednio w Mazurach<sup>263</sup>), podporucznicy Stanisław Gajewski, Konstanty Ramotowski i Antoni Bernstorf<sup>264</sup>) ozdobieni srebrnymi krzyżami, Gawlikowski Tomasz, Gleinich Baltazar, galicjanin Hermanowski Józef, Kulikowski Leon, Olszewski Andrzej, Staniecki Kasper, Skrodzki Ludwik, Wołowski Kazimierz i Litwini: Karwowski Romuald, Mirza Musilewicz<sup>265</sup>) i Teodor Skirmunt. Co do podkomendnych, podoficerowie: Górowski Antoni, Jordan Stanisław, Klug Jan, Krzeczkowski Ludwik, Madaliński Maksymiljan, Mierzejewski Paweł, Pecci Antoni, Pilaziński Faustyn z Płocka, napoleończyk Stanisław Rosenfeld, Rynkiewicz Dominik ozdobiony krzyżem wojskowym, Litwin Szablowski Józef, samobójca Slesinger, również krzyżem srebrnym ozdobiony, i Titenbrun Juljusz; żołnierze: Cywiński Michał, Doroszko Maksymiljan, Janicki Jan, Jarzyński Franciszek, Kowalski Wincenty, stary żołnierz Kuncewicz Kazimierz, Lisiecki Marcin, Mazur Michał, Machnicki Paweł, Marciniecki Michał, Marus Michał, Mitas Józef, Paluszkiewicz Ignacy, Pomorski Jan, Rutkowski Andrzej, Stępowski Józef, Szczygłów Marcin, Tereszko Maksymiljan, Wesołowski Feliks i Zwierkowski Paweł, zbiegli do Francji,— Baczyński Adam, Grzegorzcyk Antoni, co pożyczył mi imienia, Jezierski Ksawery, Kosin Franciszek, Porzęcki Marcin, Rupejko Stanisław i legioniści Nadwiślańscy: Rymkiewicz Stanisław, Weremecki Djonizy wydaleny zostali do Anglii, Dominik Szczepan do Algeru, zaś do Nowego-Jorku wywieziono wysłużonego żołnierza Augusta Romanowicza i Kazimierza Gwiaździńskiego<sup>266</sup>).

Ci, co z kraju nie uszli, a należeli do szkoły podchorążych, jak Kasper Babski i Nereusz Rożański, odcierpieli

trzechletnią karę w rotach aresztanckich. Inni, zdolni do służby wojskowej, służbę przez lat 15 na Kaukazie odbywać musieli, a niezdolni, otrzymali przebaczenie i rozproszyli się po całym kraju.

Tak skończył żywot pułk 1-szy strzelców pieszych.

Powracając do opisu moich przygód osobistych, z ciężkiem sercem wspominam sobie tę chwilę, gdy późnym wieczorem, w dzień św. Michała<sup>267</sup>), w wyszarzających płaszczach żołnierskich, z kijem w rękę i z torbą przez ramię opuściliśmy wojsko w Dobrzyniu i długo niepokojni, kręcili się nad Wisłą dla wynajęcia czółna i przewodnika. Jakiś poczciwy kowal więcej dla miłosierdzia, niż z chęci zysku, ofiarował nam swoje usługi, wyszukał łódź i o północy, cichutko, przeprowadził nas do przeciwnego brzegu. Ukrywając czółno w wiklinie, wprowadził nas do głębokiego lasu w zamiarze wyprawienia na gościniec pod miastem Kowalem.

Pragnąc wyzyskać noc i odskoczyć od Wisły jak najdalej, rozmachaliśmy nasze nogi potężnie, ufni w geograficzne wiadomości wulkanowego syna. Jakież jednak przerażenie owładnęło nasze umysły, kiedy z brzaskiem dziennym, ubiegłszy przynajmniej dwie mile, ujrzelśmy przed sobą Wisłę i czaty kozackie.

Rzecz dziwna, — w krwawych bojach ocieraliśmy się nieraz o piersi wyborowych pułków rosyjskich, nie doznając uczucia bojaźni i trwogi. Na kozaków żalowaliśmy częstokroć prochu, krzykiem lub ruchem kolby odpędzając od siebie, a teraz sam widok koczowiska kilku zaspanych kozuniów przejął nas tak wielką obawą i strachem, iż porzuciliśmy przewodnika i pojedynczo, na wyścigi uciekali do poblizkiego lasu. Zmarkocił się biedny kowal, pobiegł za nami, przeproszał i usprawiedliwiał pomyłkę, w wyborze dróg i ścieżek po omacku zaszła.

Ta zwykła igraszka zawistnego losu zepsuła nam do reszty i tak niewesoły humor, odebrała mowę i skazała nasze pięty, co najmniej na trzygodzinną pokutę, zanim nasz kowal odszukał na piaszczysto-lesistym wid-

nokregu szczyt wieżycy Kowala. Gościniec, do Kowala wiodący, roił się wojskiem rosyjskiem, maszerującym do Włocławka, dlatego pozostaliśmy zdaleka od niego, na brzegu lasu i wszedłszy w gęstwinę, ułożyli do spoczynku. Nasz przewodnik poszedł tymczasem do chałup pobliskich za kupnem mleka, jaj i ziemniaków, wyszukał gajowego, za którego poczciwość ręczył, i jemu oddał nas w dalszą opiekę.

Uściskaliśmy serdecznie i wynagrodzili hojnie dobrzyńskiego cabana i schlebiali, jak mogli, nowej gwiazdzie przewodniej.

Prześlizgnięcie się przez szosę w dzień jasny było rzeczą niebezpieczną. Siedzieliśmy więc w krzaku aż do zmierzchu, a wtedy z podwójną energją ruszyliśmy na całą noc do Kłodawy. Odszukawszy Wartę, za biegiem tej rzeki, w dzień śpiąc a nocą idąc, dostaliśmy się nareszcie, niespostrzeżeni przez Rosjan, do miasta Warty. Tam panował już głęboki spokój, bo miasto nie było nawiedzone klęskami wojny, a mieszkańcy i władze o wojnie, gdzie daleko od nich zwodzonej, już nawet zapomnieli. Pod miastem spotkaliśmy kilku naszych żołnierzy, powracających z innych stron do domu, którzy nas zapewnili, że od Warszawy ciągnie dosyć jeńców i lekko rannych, a nigdzie od władz wojskowych rosyjskich nie doznają przykrości. Na tak pomyślną wiadomość weszliśmy śmiało do miasta i rozgościli się w oberży.

W Warcie miałem dobrego przyjaciela Madimania, którego jako audytora farmacji poznałem w Warszawie, i dlatego po wypoczynku, poszedłem do niego. Ucieszył się niewymownie z moich odwiedzin, poznał ze swym stryjem aptekarzem, raczył jadłem i trunkami i zabawił rozmową do późnego wieczora.

Przyszedłszy na spoczynek do zajazdu, zdziwiłem się mocno, nie zastawszy w izbie moich towarzyszków podróżny, lecz znużenie uśpiło wkrótce mój umysł i obawy.

Rozkoszne łóżko, z którym się tak dawno nie spotykałem, zatrzymało mnie u siebie do południa; a ocknąwszy się, znalazłem moich kolegów zaspanych i chrapiących w tak gwałtowny sposób, iż żadnego z nich dobudzić się i do powstania nakłonić nie mogłem.

Po kilku frykcjach z zimnej wody, przyszli nareszcie do siebie i z tryumfem okazali pełne garście pieniędzy i dwa listy zastawne po 1,000 złp., które pod wodzą Stasia Dahlena<sup>268</sup>), mistrza w układaniu listów, szlagonom wiejskim, na targ przybyłym, przy zabawie w djabelka odebrali.

To niespodziewane wydarzenie polepszyło nasze finansowe położenie i już jak magnaci, we dwie bryki wyjechaliśmy z Warty do Wielunia. Przed miastem, widząc zdaleka placówki rosyjskie, opuściliśmy wozy dla niezdradzenia naszego charakteru żołnierskiego i nieśmiało zbliżyli się do stójek wojskowych, które nas przytrzymały i odprowadziły do komendanta placu.

Po usprawiedliwieniu się, iż jako wysłużeni żołnierze, po ukończonej wojnie, powracamy w Krakowskie do domów, otrzymaliśmy pozwolenie zanocowania w mieście, a nazajutrz nasze papiery z potwierdzeniem na dalszą drogę. Na wychodnym z oberży wchodzi do izby szynkowej oficer od ułanów rosyjskich, a zobaczywszy nas wiążących manatki, zapytał czystą polszczyzną, dokąd idziemy w drogę?

Wymieniwszy Częstochowę, jako cel naszej podróży, otrzymaliśmy odpowiedź, iż właśnie tam jedzie z oddziałem kozaków i nas ze sobą zabrać może. Podziękowaliśmy za życzliwość, wymawiając się, iż jako żołnierze, pozbawieni funduszów, skazani jesteśmy na pieszą pielgrzymkę i dlatego oddziałowi jazdy nie dotrzymamy kroku. Z odpowiedzi odgadł widocznie nasze lepsze pochodzenie, posłał kozaków po furmankę, kazał dać wina i zapuścił się z nami w rozmowę.

W ciągu takowej wynurzył się przed nami ze swej uczuciami dla sprawy polskiej i przyznał, że jest kato-

likiem i Litwinem, że pragnął szczerze być wziętym do niewoli i wcielonym do szeregów naszego wojska, w których służyło jego dwóch braci.

Po wymienieniu nazwiska: Ziemacki<sup>260)</sup>, nie mieliśmy przyczyny tajemnia przed nim naszych stopni wojskowych i powodów przywdziania płaszców żołnierskich. Jak zwykle wojacy, poznaliśmy się i zbratali w jednej chwili; a zanim podwoda nadeszła, zniknęła potężna pieczęć pod naszym zębem i nie jedna wyszła butelka.

W różowym humorze zdążaliśmy ku Jasnej Górze; a że na podwodzie było trochę ciasno, więc mnie i Ignatowicza, do którego jako Litwina odrazu przylgnął, wziął z sobą na odwodowe konie wierzchowe.

Kozacy jechali naprzód, za nimi podwoda i my we trzech konno, gwarząc wesoło i opowiadając doznane przygody.

Ziemacki twierdził, iż służył w pułku ułanów gwardji, na którym ostudziliśmy nasz pierwszy zapal w nocy 29-go listopada, i że mieszkał w koszarach, naprzeciw naszej szkoły podchorążych położonych.

Mieliśmy więc niemało przedmiotu do rozmowy; a na zapytanie, dlaczego teraz dowodzi kozuniami, wyjaśnił, iż pułk ułanów w ciągu kampanji tyle stracił ludzi i koni, iż resztki rozebrano na posługi sztabów i na urządzenie poczty wojskowej. Wiele ciekawych szczegółów opowiadał nam Ziemacki o przychylnem usposobieniu korpusu Litewskiego na początku kampanji, o duchu woj-ska i przebiegu wojny po stronie rosyjskiej, lecz opowiadań tych nie powtarzam, nie mogąc dać poręczenia za ich wiarogodność.

W Częstochowie, zawalonej jazdą i artylerją korpusu ks. Wirtemberskiego, ułatwił nam Ziemacki nocleg i wizę paszportów.

Rano, klęcząc szeregiem, wysłuchaliśmy mszy św. przed cudownym obrazem naszej Opiekunki i Królowej, dziękując głośno za opiekę nad naszym życiem i zdrowiem, i prosząc o litość nad biednym krajem i braćmi na-

szymi. Paulin, co czytał mszę św., rozczulił się do łez nad nami i po mszy zaprosił do refektarza, gdzie gościnnie uraczeni, z błogosławieństwem na dalszą drogę odprawieni zostaliśmy.

W oberży czekało nas jednak niemiłe spotkanie. W izbie jadalnej siedziało kilku oficerów i junkrów, hałaśliwych i buńczucznych, którym młode dziewczę przygrywało na klawicymbale. Zobaczywszy nas, wchodzących we drzwi, dla zapłacenia za nocleg i zabrania rzeczy, skłonili je prośbą i groźbą do zaśpiewania: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Postępek ten oburzył nas w wysokim stopniu, a wypaliwszy im potężny *pater noster*, jako od uczciwych nieprzyjaciół spodziewaliśmy się uszanowania nieszczęścia, a nie urągowiska i obrazy, wyrzuciliśmy z izby nasze drobiazgi i na ulicy zbierali się do drogi. Trzech oficerów wyszło za nami, przepaszali za postępek swoich kolegów, zapraszali na wino i zgodę, lecz nie wyrzekliśmy ani słowa odpowiedzi i ze wzgardą w sercu odeszli.

W Siewierzu, zapełnionym wojskiem, nocowaliśmy w stajni obok żołnierzy rosyjskich, a nie nagabywani przez nikogo, ze wschodem słońca wyruszyliśmy na Sławków do Olkusza.

W Olkuszu podaliśmy sobie ręce, — żegnając się na wieki...

Moi towarzysze poszli drogą ku Krakowowi, a ja, jak prorok turecki, obdarty i goły, powlokłem się sam jeden na Trzebinę do Kościelca, dóbr Franciszka hr. Szembeka, stryja Jasia, który mnie frugnął od kompanji z ewangelickiego cmentarza i więcej się przy pułku nie pokazał.

Gościnnie przyjęty, wykąpany, podkarmiony i przebrany, odwieziony zostałem do Poręby, gdzie z szaloną radością przez matkę i siostry, a z życzliwem sercem przez szwagra, Józefa hr. Szembeka, powitany i do domu przyjęty zostałem.

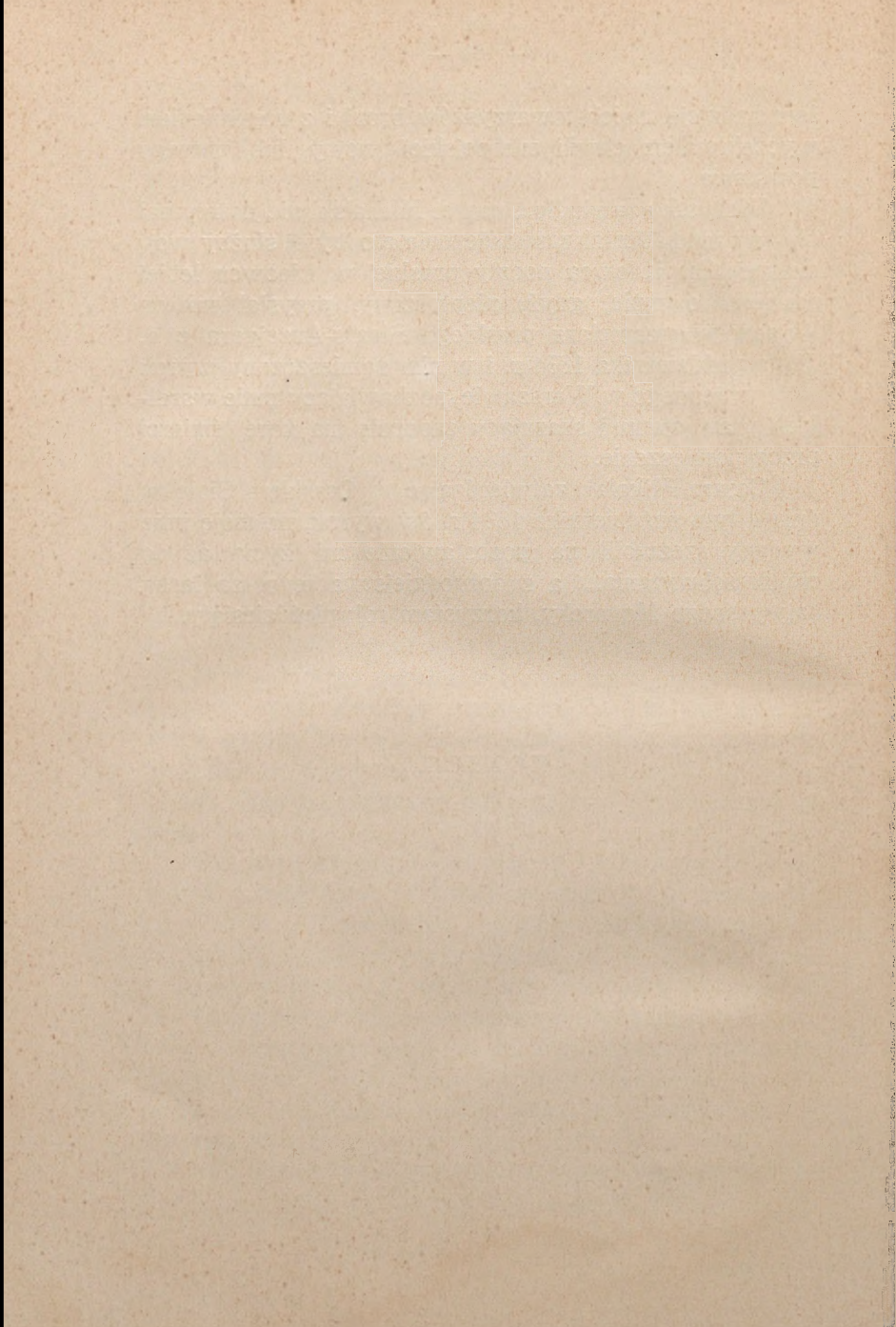
Tak zakończyłem mój zawód wojskowy... choć długo jeszcze sercem i myślą zwracałem się ku Francji, żywi-

łem nadzieje moich towarzyszków broni i z utęsknieniem wyczekiwałem chwili europejskiej wojny lub nowego powstania.

Wszystko zawiodło... nawet Michalski nie dotrzymał słowa i nie nadesłał zaświadczenia z odbytej służby wojskowej. Zawiadowca poczty pruskiej w Lipowcu lepiej pamiętał o mnie, gdyż, nieproszony, przysłał mi do Kwaczały egzemplarz pruskiego Staats-Anzeigera z d. 29-go października 1834 r. i w nim zamieszczony wyrok sądu wojennego w Warszawie, pozbawiający mnie wszelkich praw stanu i skazujący zaocznie na karę śmierci przez powieszenie.

Cesarz Mikołaj, zatwierdzając w Czerskiem Siole w dniu 4-tym października 1834 r. ów wyrok, na moje imię wydany, zezwolił na pozostawienie mi życia aż do chwili schwywania..., a z dobrodziejstwa tego, za łaską najwyższego Monarchy, korzystam rok pięćdziesiąty...

K O N I E C .



## PRZYPISY.

---

<sup>1)</sup> Nazwa gramatyki łacińskiej, używanej w szkołach jezuickich i wydanej w r. 1574 przez Emanuela Alvaresa.

<sup>2)</sup> Generał Aleks. Roźniecki, dowódca jazdy polskiej, szef tajnej policji, człowiek powszechnie znienawidzony.

<sup>3)</sup> Prawdopodobnie r. 1822, ponieważ w księdze rodowodowej pułku 1-go strzelców autor zapisany został, jako żołnierz d. 8-go stycznia 1823 r.

<sup>4)</sup> Piotr hr. Szembek, ur. 1788, wychowaniec Akademji wojskowej w Berlinie, wstąpił w lipcu r. 1807 w szeregi narodowe, jako kapitan sztabu legji 3-ej, w r. 1808 przeszedł do pułku 11-go piechoty, postąpił d. 26-go lipca 1809 r. na szefa bataljonu do pułku 16-go piechoty, d. 4-go kwietnia przeszedł do pułku 11-go piechoty, z którym odznaczył się w obronie Gdańska 1813 r. W nowej organizacji wojska wstąpił d. 25 marca 1815 r. do bataljonu wzorowego strzelców pieszych, który następnie otrzymał nazwę bataljonu gwardji. Po zwinięciu tego oddziału w r. 1817, Szembek objął dowództwo pułku 1-go strzelców pieszych, w r. 1829 mianowany generałem brygady z przydzieleniem do świty królewsko-polskiej. Wskutek przyłączenia się z swym pułkiem do powstania d. 2-go grudnia 1830 przechylił szalę na jego stronę; od d. 6-go do 16-go t. m. pełnił obowiązki gubernatora m. Warszawy. D. 26-go stycznia Szembek objął dowództwo dywizji 4-ej piechoty i na jej czele walczył dzielnie d. 19-go lutego pod Grochowem. Dzień 25-ty lutego nie był dla niego tak pomyślnym. Osobista nieprzyjaźń ze Skrzyneckim, mianowanym wodzem naczelnym, skłoniła Szembeka do podania się do uwolnienia, które otrzymał d. 21-go marca. Gdy w sierpniu Krukowiecki został prezesem rządu, powołał Szembeka do służby czynnej, co jednak nie

przyszło do skutku dla szybko postępujących wypadków. Zmarł w r. 1866.

<sup>3)</sup> Sędziwy i szanowny Łukasz Dobrzański, pułkownik artylerji.

<sup>4)</sup> Strzelcy piesi gwardji i ulani gwardji byli zwinięci w r. 1817 ze względu na szczupłość funduszów Królestwa.

<sup>7)</sup> W. ks. Konstanty nosił zwykle wicemundur pułku Podolskiego kirasjerów.

<sup>8)</sup> Było zdanie powszechne, że w. książę był wzrostu nieco wyższego od średniego.

<sup>9)</sup> Ignacy Przyborowski wstąpił do wojska r. 1809, otrzymał stopień oficerski r. 1814, mianowany kapitanem d. 27 marca 1822 r., majorem d. 13-go czerwca 1831, ozdobiony krzyżem srebrnym Zasługi Wojskowej za czasów Księstwa, złotym i kawalerskim w r. 1831.

<sup>10)</sup> W bitwie pod Almonacid w Hiszpanji d. 11-go sierpnia 1809 r. pułkownik Maciej Sobolewski poległ na czele pułku 7-go piechoty Księstwa Warszawskiego.

<sup>11)</sup> Waga broni piechotnej z bagnetem modelu rosyjskiego, przyjętego w wojsku polskim, wynosiła 10 funtów 88 zołotników; wagę innych szczegółów uważamy również za przesadzoną.

<sup>12)</sup> Kompanja karabinjerska od r. 1822, gdy szefem pułku mianowany został w. ks. Mikołaj, następca tronu, nosiła na naramiennikach litery W. X. M., i taki właśnie mundur podajemy na załączonej rycinie; od r. 1826 kompanja ta miała lit. M. — I.

<sup>13)</sup> Kita karabinjerska u strzelców pieszych, a grenadjerska w piechocie linjowej mierzyła 24 cali miary polskiej.

<sup>14)</sup> Manewry pod Brześciem Litewskim odbyły się jesienią r. 1823; wzięło w nich udział 68,796 ludzi.

<sup>15)</sup> Michał Cichocki dowodził w r. 1813 pułkiem 4-tych piechoty, złożonym ze szczątków dawnego pułku 4-go, 7-go i 9-go, w r. 1814 mianowany generałem brygady, zmarł w r. 1827.

<sup>16)</sup> Manewry pod Brześciem wykazały, że wojsko było przygotowane raczej do parad, niż do wojny, tem nie mniej ces. Aleksander i w. ks. Konstanty zostali z popisu zadowoleni i o żadnym nagłym przerwaniu ćwiczeń nie było mowy. Wydarzył się wprawdzie wypadek, że koń jednego pułkownika uderzył cesarza w chorą nogę, lecz nie miało to następstw.

<sup>17)</sup> W wydaniu pierwszym podany jest mylnie rok 1823; dalej również błędnie podane są daty o jeden rok wcześniejsze.

<sup>18)</sup> Ur. 1784 w Sławucie na Wołyniu, uczęszczał do uniwersytetu lwowskiego, wstąpił w r. 1806 do służby wojskowej,

do sztabu marsz. Suchet, w r. 1809 przeszedł w stopnie kapitana do pułku 3-go piechoty Księstwa Warszawskiego, w r. 1812 został szefem bataljonu, w r. 1813 pod Lipskiem dostał się do niewoli, d. 18-go marca 1831 mianowany generałem brygady, d. 11-go września generałem dywizji oraz wodzem naczelnym ostatnim wojska, um. w Paryżu d. 17-go stycznia 1874 r.

<sup>19)</sup> W księdze rodowodowej pułku jest wzmianka, że Patelski postąpił na podoficera d. 10-go stycznia 1824 r.

<sup>20)</sup> Feliks Michalski wstąpił do wojska r. 1806, otrzymał pierwszy stopień oficerski r. 1812, stopień kapitana d. 12-go maja 1821, w r. 1831 postąpił na majora i był adjunktem sztabu głównego, d. 9-go września 1831 postąpił na podpułkownika w pułku 1-ym strzelców pieszych.

<sup>21)</sup> Krzysztof Markowski wstąpił do wojska r. 1812, otrzymał stopień oficerski 1817, postąpił na porucznika d. 25-go kwietnia 1825 r., w r. 1831 był adjutantem placu m. Warszawy, d. 25-go stycznia 1831 przeszedł do pułku 5-go strzelców pieszych.

<sup>22)</sup> Franciszek Żarski wstąpił do wojska r. 1809, został podporucznikiem 1812, kapitanem d. 25-go kwietnia 1825 r. i d. 9-go stycznia 1831 adjutantem gen. Szembeka.

<sup>23)</sup> Jakób Obalski wstąpił do służby r. 1806, został podporucznikiem 1812 r., kapitanem d. 25-go kwietnia 1825 r., majorem d. 3-go maja 1831 z przeniesieniem do pułku 2-go piechoty linjowej.

<sup>24)</sup> Franciszek Frezer wstąpił do wojska 1815 r., mianowany podporucznikiem 1816, porucznikiem d. 16-go maja 1824, kapitanem d. 6-go lutego 1831 i komendantem militarnym w Lubelskiem.

<sup>25)</sup> Rajmund Rembeliński, ur. 1775 r., w r. 1794 służył wojskowo w stopniu pułkownika, w r. 1809 został prezesem izby administracyjnej departamentu Łomżyńskiego, następnie pełnił urząd prefekta dep. Płockiego i był intendentem armji, później był prezesem komisji wojew. Mazowieckiego, a w r. 1820 marszałkiem sejmowym; był urzędnikiem zdolnym i energicznym, człowiekiem światłym i postępowym, um. r. 1841.

<sup>26)</sup> Podług księgi rodowodowej Patelski postąpił na sierżanta starszego d. 31-go maja 1824 r.

<sup>27)</sup> Pułk 1-szy strzelców pieszych tworzył brygadę z pułkiem 3-im tej broni, dowodzonym przez pułkownika Wacława Sierakowskiego, o nim pisze Patelski niżej.

<sup>28)</sup> Aleks. Sajdler wstąpił do wojska w r. 1809, został podporucznikiem 1817, porucznikiem d. 25-go kwietnia 1825 r. i dowódcą kompanji 1-ej karabinjerskiej, kapitanem d. 6-go lutego 1831 i komendantem rezerwy pułku, d. 14-go września

wziął uwolnienie dla słabości zdrowia, d. 17-go t. m. ozdobiony został krzyżem złotym.

<sup>29)</sup> Zdaje się, że autor poplątał daty. Pułk 1-szy strzelców pieszych nazwany został pułkiem strzelców pieszych Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. ks. Mikołaja Nr. 1 rozkazem dziennym z d. 13-go stycznia 1822 r., a więc przed wstąpieniem autora do pułku; rozkazem zaś z d. 22-go stycznia 1826 nazwany pułkiem Jego Królewsko-Cesarskiej Mości Nr. 1.

<sup>30)</sup> Maciej Rolbiecki, dowódca 1-go bataljonu, a od d. 7-go grudnia 1830 r. dowódca pułku, zmarł d. 6-go marca 1831 r.

<sup>31)</sup> Walezył w r. 1794, w r. 1806 objął dowództwo pułku 2-go piechoty Księstwa Warszawskiego, mianowany generałem brygady d. 20-go marca 1810, po r. 1815 generałem dywizji, i r. 1830 generałem broni i dowódcą całej piechoty, zabity w d. 29-ym listopada 1830, o czem niżej.

<sup>32)</sup> Spodnie płócienne letnie.

<sup>33)</sup> Józef Siemiątkowski, szef sztabu korpusu gen. Dąbrowskiego w r. 1813, dowódca pułku 2-go ułanów w r. 1814, po r. 1815 mianowany generałem brygady, pełnił obowiązki szefa sztabu głównego, zabity d. 29-go listopada 1830 r.

<sup>34)</sup> Miał tytuł szefa sztabu Jego Cesarzew. Mości W. ks. Konstantego, był jego najbliższym doradcą i powiernikiem, Grek rodem.

<sup>35)</sup> Gen. Knorring, dowódca pułku Podolskiego kirasjerów.

<sup>36)</sup> Gen. Strandmann, dowódca pułku Grodzieńskiego huzarów gwardji.

<sup>37)</sup> Tak zwano odwach na dziedzińcu Saskim od strony dzisiejszej ulicy Czystej.

<sup>38)</sup> Pułkownik Józef Aksamitowski, major placu Warszawy.

<sup>39)</sup> Leon Tarnowski, audytor dywizji 1-szej piechoty.

<sup>40)</sup> Wacław Sierakowski po wybuchu powstania otrzymał dowództwo pułku 17-go linjowego, d. 14-go maja objął dowództwo nad oddzielnym korpusikiem w sile 4.000 głów dla działania między Pułtuskim i Szelkowem, następnie w składzie korpusu Dembińskiego działał na Litwie i powrócił d. 3-go sierpnia do Warszawy; d. 10-go t. m. mianowany generałem brygady. Jego zdolności strategiczne były niezaprzeczone.

<sup>41)</sup> Aleksander Wierzbicki, adjutant placu, w r. 1825 był porucznikiem.

<sup>42)</sup> Cesarz przybył do Warszawy d. 27-go kwietnia.

<sup>43)</sup> Dn. 13-go maja.

<sup>44)</sup> Ces. Aleksander zmarł d. 1-go grudnia 1825 r. w Ta-ganrogu.

<sup>45)</sup> Oficerowie piechoty, jako znak służby, nosili pod szyją blachy metalowe z orłem czyli ryngrafy.

<sup>46)</sup> Izydor Krasieński, dowódca regimentu 18-go piesze-go w r. 1794 i generał-major, potwierdzony w tym stopniu d. 24-go grudnia 1806, od r. 1812 dowodził dywizją, mianowany generałem dywizji d. 6-go stycznia 1813 r., 1825 generałem pie-choty; w d. 1-ym grudnia 1830 roku objął zarząd ministerjum wojny, na tem trudnem stanowisku, pomimo najlepszych chę-ci, nie okazał należytęj energii i zdolności, d. 9-go marca 1831 opuścił ten urząd.

<sup>47)</sup> Józef Lancaster, ur. w r. 1778 w Londynie, był je-dnym z wynalazców i krzewicieli metody wzajemnego nauczania.

<sup>48)</sup> Franc. Bobiński wstąpił do wojska w r. 1808, miano-wany podporucznikiem 1817 r., porucznikiem 12-go maja 1821, kapitanem d. 6-go lutego 1831, majorem 20-go kwietnia, pod-pulkownikiem i tymczasowym dowódcą pułku 1-go strzelców pieszych d. 1-go sierpnia i pułkownikiem d. 24-go t. m., po przejściu granicy dowodził dywizją, za bitwę grochowską oz-dobiony krzyżem złotym.

<sup>49)</sup> Księga nosi tytuł: „Opis żałobnego obchodu po wie-kopomney pamięci Najjaśniejszym Aleksandrze I. Cesarzu Wszech Rossyi Królu Polskim w Warszawie, w dniach 7, 9, 10, 11, 12, 13, 17, 19, 23 kwietnia 1826 roku uroczyście odbytego. W Warszawie nakładem i drukiem N. Glücksberg... 1829“.

<sup>50)</sup> Nazwa ta datuje się jeszcze od czasów Stanisława Augusta, gdy milicja marszałkowska nosiła wysokie i wąskie kaszkiety blaszane, kształtem zbliżone do głowy śledzi.

<sup>51)</sup> Andrzej Franciszek Dybek, ur. 1783 i um. d. 6-go lu-tego 1826 r., jeden z najzasłużeńszych lekarzy polskich, w r. 1806 wstąpił do służby wojskowej, w r. 1812 mianowany chirur-giem naczelnym dywizji jazdy polskiej w korpusie Latour-Maubourg, w r. 1813 naczelnym chirurgiem wojska polskiego, w r. 1815 lekarzem dywizji ułanów; wybitny lekarz i pra-wy człowiek.

<sup>52)</sup> Adam Prosper Burzyński, były Reformat, udał się w r. 1790 w celach misyjnych do Afryki, po wkroczeniu Bonapartego do Egiptu przyłączył się do jego wojska, w r. 1815 powrócił do kraju. Wskutek wstawiennictwa gen. Za-jączka, namiestnika Królestwa, z którym się zaprzyjaźnił w Egipcie, otrzymał biskupstwo Sandomierskie r. 1819, um. r. 1830.

<sup>53)</sup> August Fryder. Ludw. Viesse de Marmont, ur. 1774,

w r. 1806 dowódcą armji dalmackiej, a następnie gubernator tej prowincji, w r. 1809 mianowany marszałkiem Francji; zdradził Napoleona w r. 1814; Ludwik XVIII obsypał go łaskami, w r. 1836 wyprawiony został jako ambasador do Rosji na koronację cesarza Mikołaja.

<sup>54)</sup> Franciszek Valentin d'Hauterive, pułkownik kwartmistrzostwa generalnego, dowodził brygadą na Litwie 1831. utonął w Niemnie podczas tej wojny.

<sup>55)</sup> Szkoła ta powstała w lipcu 1815 r., jej celem było przygotowanie młodych wojskowych na stopnie oficerskie, największy w niej nacisk był położony na służbę frontową. Nagromadzenie podchorążych było ogromne, a na oficerów awansowano corocznie małą tylko liczbę; wzgląd ten jak i niezmierną surowość, panująca w szkole, wywołały niezadowolenie wśród podchorążych i pragnienie zmian; stąd u nich pierwszych znalazło wyraz to uczucie, które obejmowało całe wojsko, przez udział szkoły w d. 29-ym listopada 1830 r.

<sup>56)</sup> Ksawery Ołędzki, służbista, posiadający wielką wiedzę wojskową; na pozór surowy i bardzo wymagający, był jednak sprawiedliwy i posiadał w gruncie rzeczy znaczne serce, przez co był przez podwładnych lubiany.

<sup>57)</sup> Stanisław Trębicki, oficer wielkich zdolności, lecz niezmiernie surowy i nieugięty, poległ z ręki podchorążych d. 29-go listopada.

<sup>58)</sup> Felicjan Drzewiecki, mianowany majorem d. 3-go maja 1831, podał się do dymisji, lecz powrócił do pułku d. 28-go lipca, za bitwę warszawską ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>59)</sup> Jan Bortnowski poległ jako kapitan w bitwie pod Grochowem d. 25-go lutego.

<sup>60)</sup> Piotr Wysocki, z podporucznika awansowany wprost na kapitana i adjutanta wodza naczelnego d. 25-go stycznia, otrzymał następnie dowództwo pułku 10-go piechoty linjowej; d. 6-go września został wzięty do niewoli w szanłach wolskich i zesłany na Syberję.

<sup>61)</sup> Antoni Zabłocki mianowany porucznikiem d. 6-go lutego 1831 r. i kapitanem d. 13-go czerwca.

<sup>62)</sup> Stan. Paczkowski postąpił na porucznika 1831 r., a następnie na kapitana d. 6-go lutego do pułku 2-go strzelców pieszych, został wzięty na Litwie do niewoli, z której się jednak zdołał uwolnić.

<sup>63)</sup> Piotr Grudziński postąpił na podporucznika d. 9-go grudnia 1830 r. i porucznika 13-go kwietnia 1831 r.

<sup>64)</sup> Kamil Mochnacki z pułku 1-go strzelców pieszych postąpił na podpor. d. 9-go grudnia 1830, porucznika 13-go czerwca, przeszedł do pułku 10-go piechoty d. 10-go sierpnia.

mianowany kapitanem d. 3-go września, stopnia majora nie posiadał.

<sup>65)</sup> O Edmundzie Zarębie nie mamy pewnych wiadomości. Na liście podchorążych, mianowanych podporucznikami, niema go, w spisach pułku 1-go linjowego jest wzmianka, że, jako podporucznik, został uwolniony d. 1-go stycznia 1831 r. On, czy jego imiennik, Edmund Zaręba, był kapitanem w sztabie gen. Giełguda na Litwie.

<sup>66)</sup> Od d. 4-go lutego 1826 r.

<sup>67)</sup> Od d. 20-go maja 1829.

<sup>68)</sup> Aleksander Łaski z pułku grenadjerów gwardji, mianowany porucznikiem 26-go marca 1831, kapitanem d. 30-go lipca, majorem 24-go września t. r. z przeniesieniem do pułku 16-go piechoty, za bitwę warszawską ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>69)</sup> Rozkazem dziennym z d. 4-go czerwca 1829 ces. Mikołaj postanowił, by w. ks. Aleksander należał do pułku grenadjerów gwardji; w r. 1830 następcą tronu został mianowany szefem tego pułku.

<sup>70)</sup> Tomasz Puchalski, ozdobiony krzyżem wojskowym za udział w bitwach grochowskich.

<sup>71)</sup> Postąpił na podporucznika d. 9-go grudnia 1830 r., na porucznika d. 13-go czerwca następnego.

<sup>72)</sup> Józ. Lubowidzki przeszedł w stopniu podporucznika d. 9-go grudnia 1830 do pułku 4-go piechoty linjowej i poległ d. 26-go maja pod Ostrołęką.

<sup>73)</sup> Mich. Ostroróg z pułku 2-go strzelców pieszych przeszedł do pułku 4-go linjowego, był zesłany do Bobrujska.

<sup>74)</sup> Jan Szembek postąpił na podporucznika 9-go grudnia 1830 w pułku 1-ym strzelców pieszych.

<sup>75)</sup> Jan Przyborowski, porucznik pułku 1-go strzelców pieszych, poległ 14-go kwietnia, za bitwy grochowskie był ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>76)</sup> Hipolit Mierosławski z pułku 1-go strzelców pieszych, mianowany podpor. 17-go grudnia 1830, porucznikiem d. 30-go lipca 1831 i kapitanem d. 4-go października, ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>77)</sup> Aleks. Sudnik z pułku 4-go linjowego postąpił na podpor. 9-go grudnia 1830, przeszedł do pułku 22-go piechoty, awansował na porucznika d. 13-go czerwca, po wojnie zesłany do Orenburga na żołnierza.

<sup>78)</sup> Ant. Proszkowski, sierżant z pułku 1-go strzelców pieszych, podpor. d. 9-go grudnia 1830, por. 30-go lipca, kap. 4-go października, otrzymał w czerwcu krzyż złoty, udał się na emigrację po wojnie.

<sup>79)</sup> Wiktor Tyłski postąpił na podpor. d. 9-go grudnia, na por. 13-go czerwca i w tym miesiącu ozdobiony krzyżem złotym; po upadku powstania obwiniony był przez rząd o zabójstwo gen. Blumera d. 29-go listopada.

<sup>80)</sup> Karol Szlegel, podpor. z pułku grenadierów gwardji, w d. 22-im września został podpułkownikiem, za bitwy grochowskie otrzymał krzyż złoty, za obronę Warszawy krzyż kawalerski, zginął we Francji w pojedynku d. 5-go lipca 1832 r.

<sup>81)</sup> Józ. Dobrowolski z pułku 1-go piechoty linjowej mianowany kapitanem d. 24-go maja 1831 r.

<sup>82)</sup> Wszyscy wymienieni są w rozkazie dziennym z d. 9-go grudnia, jako postępujący na podporuczników.

<sup>83)</sup> Pułków Podolskiego kirasjerów, Grodzieńskiego huzarów gwardji i ułanów gwardji.

<sup>84)</sup> Kompanje te wyszły z koszar na Ordynackiem, lecz gen. Kurnatowski wstrzymał je na placu Trzech Krzyży.

<sup>85)</sup> Feliks Michalski kapitan przeszedł do sztabu głównego d. 1-go lutego 1831 r.

<sup>86)</sup> Winc. Nieszokoć, porucznik w Dyrekcji materiałów artylerji, miał z dwoma działami szkoły bombardjerów, w której był profesorem, połączyć się ze szkołą podchorążych, wskutek jednak nieporozumienia połączył się z wojskami, wierne mi w. ks. Konstantemu, d. 24-go stycznia mianowany został dowódcą kompanji 6-ej pozycyjnej, d. 6-go lutego kapitanem, d. 24-go września podpułkownikiem, za bitwę warszawską ozdobiony krzyżem złotym; człowiek powszechnie szanowany, był dotknięty kalectwem głuchoty.

<sup>87)</sup> Niektóre źródła podają, że byli to ułani gwardji.

<sup>88)</sup> Nereusz Rożański.

<sup>89)</sup> Aleks. Stryjeński, mianowany porucznikiem d. 26-go marca, kapitanem d. 1-go lipca, ozdobiony krzyżem złotym za bitwy grochowskie, odkomenderowany na instruktora na Litwę.

<sup>90)</sup> Jan Przyborowski, patrz o nim wyżej.

<sup>91)</sup> Józefat Teodor Wojakowski, starszy sierżant z pułku 4-go strzelców pieszych, przeszedł jako podpor. d. 9-go grudnia do pułku 3-go linjowego, d. 13-go czerwca jako porucznik do pułku 10-go.

<sup>92)</sup> Maurycy hr. Hauke, legjonista, wślawiony obroną Zamościa 1813 r., po r. 1815 powolne narzędzie w rękę w. ks. Konstantego.

<sup>93)</sup> Józef Rautenstrach wyniesienie swoje zawdzięczał zdolnościom kancelaryjnym, posiadał zupełne zaufanie w. księcia; od d. 4-go grudnia 1830 do d. 1-go czerwca 1831 pełnił obowiązki dyrektora w Komisji wojny. Straciwszy zaufanie

publiczne, usunął się od obowiązków i udawał chorego aż do chwili wkroczenia wojsk rosyjskich do Warszawy, poczem przyjął służbę rosyjską i był użyty do spraw, tyjących się byłych wojsk polskich.

<sup>94)</sup> Filip Meciszewski.

<sup>95)</sup> Tomasz Kiciński, sierżant z pułku 2-go strzelców pieszych.

<sup>96)</sup> Józef Nowicki służył zawsze w sztabach, człowiek powszechnie szanowany.

<sup>97)</sup> Jan Pawłowski, sierżant z pułku 4-go linjowego, przeszedł jako podpor. d. 25-go stycznia do pułku 5-go strzelców pieszych, d. 6-go maja do pułku 6-go strzelców, mianowany kapitanem d. 25-go września, emigrował.

<sup>98)</sup> Ignacy Lipowski postąpił na porucznika d. 13-go czerwca.

<sup>99)</sup> Ant. Czarnecki postąpił na por. d. 6-go lutego, na kapitana d. 13-go czerwca, był w partyzantach do d. 19-go sierpnia, ozdobiony krzyżem złotym, um. w Orleanie d. 9-go maja 1839 r.

<sup>100)</sup> Generał-major Essakow, dowódca pułku Wołyńskiego gwardji i brygady 3-ej gwardji.

<sup>101)</sup> Ignacy Blumer, generał brygady, dowódca brygady 2-ej, dywizji 2-ej piechoty.

<sup>102)</sup> Karabinów dla piechoty 34,311, karabinków jazdy 1,277, pistoletów jazdy par 3,479, szabel 11,217.

<sup>103)</sup> Podpułk. Piotr Chorzewski, dowódca baterji, długo wahał się z przystąpieniem do rewolucji.

<sup>104)</sup> Antoni Roślakowski, kapitan z pułku 4-go, postąpił na majora d. 6-go maja do pułku 1-go strzelców pieszych, awansował na podpułk. d. 24-go września, ozdobiony krzyżami złotym i kawalerskim, w Prusach po przejściu granicy dowodził brygadą.

<sup>105)</sup> Franc. Malczewski, podporucznik bataljonu saperów.

<sup>106)</sup> Naczelnik tajnej policji rosyjskiej.

<sup>107)</sup> Aleks. Ekielski z baterji konnej gwardji postąpił d. 13-go kwietnia na porucznika, ozdobiony krzyżem złotym i kawalerskim.

<sup>108)</sup> Podporucznik Maksymiljan Piotrowski.

<sup>109)</sup> Julian Zajączkowski postąpił na porucznika d. 3-go maja; ozdobiony krzyżem złotym za obronę Warszawy.

<sup>110)</sup> Przyszły dyktator, niechętny ruchowi, skrył się w pierwszych chwilach powstania w mieszkaniu pułk. Sobieskiego w gmachu ministerjum wojny.

<sup>111)</sup> Ludw. hr. Pac, dymisjonowany generał dywizji w r. 1814, wezwany w nocy z 29-go na 30-ty listopada na członka

Rady administracyjnej. W nieobecności gen. Chłopickiego powierzono temu dawnemu wojskowemu, senatorowi, patrijocie i używającemu dobrej opinji publicznej, dowództwo nad siłą zbrojna.

<sup>112)</sup> Juljan Sierawski, generał brygady, nie będący w służbie czynnej, aresztowany przez gen. Siemiątkowskiego, pozostawał w pierwszym dniu wybuchu powstania w jego mieszkaniu; uwolniony, ofiarował swoje usługi Radzie administracyjnej, która mianowała go gubernatorem stolicy.

<sup>113)</sup> Stan. Wąsowicz, były oficer sztabu Napoleona, naówczas pułkownik dymisjonowany, d. 30-go grudnia mianowany szefem sztabu gen. Paca, a później gen. Chłopickiego; d. 13-go czerwca mianowany generałem brygady.

<sup>114)</sup> Jakób Antonini, jeden z najwaleczniejszych oficerów wojska, dowódca pułku od d. 6-go maja, we wrześniu dowodził dywizją 3-ą piechoty, ozdobiony krzyżami złotym i kawalerskim.

<sup>115)</sup> Kaz. Paprocki, mianowany d. 6-go lutego kapitanem.

<sup>116)</sup> Rafał Koszutski, porucznik z pułku 3-go strzelców pieszych, przeszedł do pułku 4-go linjowego w stopniu kapitana d. 6-go lutego.

<sup>117)</sup> Maciej Rolbiecki, dowódca 1-go bataljonu, dowódca pułku od d. 7-go grudnia, zmarł d. 6-go marca.

<sup>118)</sup> Naówczas dowódca pułku 8-go linjowego, znajdował się w mieszkaniu gen. Siemiątkowskiego w chwili wybuchu powstania.

<sup>119)</sup> Ludw. Kieki, pułkownik dymisjonowany od r. 1821, d. 8-go marca mianowany generałem brygady, jeden z najdzielniejszych oficerów wojska, poległ d. 26-go maja pod Ostrołęką.

<sup>120)</sup> Ewald Gierhard, mianowany porucznikiem d. 6-go lutego i kapitanem d. 3-go maja z przeniesieniem do pułku 1-go strzelców konnych, ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>121)</sup> Był to rozkaz do kompanji wyborczych łączenia się z pułkiem.

<sup>122)</sup> Dnia 3-go grudnia.

<sup>123)</sup> Ks. Lubeckiego.

<sup>124)</sup> Na placu Krasińskich.

<sup>125)</sup> Gen. Winc. Krasiński, zelżony przez lud, przysiągł wierność sprawie narodowej, lecz wkrótce udał się do Petersburga. Zygm. Kurnatowski, nie biorąc czynnego udziału w powstaniu, pozostał w Warszawie, a następnie przeniósł się do Wrocławia.

<sup>126)</sup> Obecnie Nr. 12 na rogu ul. Kapitulnej.

<sup>127)</sup> Obydwaj postąpili na podporuczników w pułku 4-ym strzelców konnych d. 4-go października i emigrowali.

<sup>128)</sup> Ludw. Dmuszewski, ur. 1777, zm. 1847, znakomity artysta i autor dramatyczny, oraz tenor. Po 26-cio letniej pracy na scenie, uwieńczonej świetnem powodzeniem, d. 15-go czerwca 1826 ostatni raz wystąpił na scenie.

<sup>129)</sup> Obowiązki gubernatora pełnił od d. 6-go do 16-go grudnia.

<sup>130)</sup> Aleks. Seidler postąpił na kapitana d. 6-go lutego, za bitwę warszawską otrzymał krzyż złoty i d. 14-go września otrzymał uwolnienie dla słabości zdrowia.

<sup>131)</sup> Postąpił na porucznika d. 26-go marca, na kapitana d. 4-go października.

<sup>132)</sup> August Frezer, mianowany podpor. d. 1-go stycznia, poruczn. d. 6-go lutego, kapitanem d. 13-go czerwca, uwoln. dla interesów familijnych d. 30-go czerwca.

<sup>133)</sup> Mianowany podpor. d. 1-go stycznia, porucznikiem d. 6-go lutego.

<sup>134)</sup> Maurycy Mochmacki, słynny publicysta i polityk, mianowany został podporucznikiem d. 6-go lutego, d. 1-go lipca otrzymał krzyż złoty.

<sup>135)</sup> Adam Gurowski hr., publicysta, o wielce zmiennych przekonaniach.

<sup>136)</sup> Szymon Konarski, mianowany podporucznikiem d. 22-go marca, porucznikiem d. 1-go lipca, w końcu kapitanem.

<sup>137)</sup> Postąpił na podpor. d. 13-go czerwca z zakładu piechoty.

<sup>138)</sup> Mianowany podporucznikiem d. 13-go czerwca.

<sup>139)</sup> Przeszedł do pułku 1-go strzelców z pułku 21-go linjowego d. 3-go lipca, emigrował.

<sup>140)</sup> Paweł Solecki, mianowany podpor. d. 13-go czerwca.

<sup>141)</sup> Uwolniony d. 24-go lipca dla słabości zdrowia.

<sup>142)</sup> Pułk wyruszył z Warszawy d. 6-go lutego.

<sup>143)</sup> Gabrjel Zambrzycki.

<sup>144)</sup> Feliks Kurniewicz postąpił d. 6-go lutego na majora do pułku 6-go linjowego.

<sup>145)</sup> Józ. Zadolski i Ign. Przyborowski postąpili d. 19-go marca na majorów do pułku 2-go linjowego.

<sup>146)</sup> Antoni Noffok, podpułk., mianowany dowódcą pułku d. 1-go lutego.

<sup>147)</sup> Mianowany majorem i przeniesiony do pułku 1-go strzelców d. 6-go lutego, postąpił na podpułk. d. 27-go września i ozdobiony krzyżem złotym.

<sup>148)</sup> Konst. Chlewski, mianowany majorem d. 6-go lute-

go, był wzięty do niewoli d. 14-go kwietnia, przyjął służbę rosyjską 1832 r.

<sup>149)</sup> Onufry Dunin został majorem d. 6-go lutego.

<sup>150)</sup> Józ. Plendus, mianowany podporucznikiem d. 1-go lutego, Józ. Paszkowski d. 6-go lutego (licząc od d. 29-go listopada). Józ. Zalewski d. 6-go lutego, ostatni był posłem na sejm.

<sup>151)</sup> Ulica Bednarska.

<sup>152)</sup> Praca ta jest w rękopisie.

<sup>153)</sup> Był to dzień piątkowy.

<sup>154)</sup> Podczas wyborów na wodza d. 20-go lutego Szembek otrzymał po Radziwille największą liczbę kresek.

<sup>155)</sup> Głębocki, autor wielu dzieł wojskowych, Seweryn Dornfeld i Leon Koss.

<sup>156)</sup> Kompanja 2-ga pozycyjna piesza podpułk. Franciszka Piętki liczyła dział 12; w czasie bitwy Chłopicki przysłał jej w pomoc dwa działa z artylerji konnej byłej gwardji.

<sup>157)</sup> Kap. Franc. Żarski, adjutant gen. Szembeka.

<sup>158)</sup> Kaz. Paprocki, porucznik z pułku 1-go strzelców pieszych, Mich. Gościński, por. z pułku grenadierów.

<sup>159)</sup> Maj. Józ. Kościelski, dowódca 3-go bataljonu.

<sup>160)</sup> Jeden bataljon pułku 2-go jegerskiego, będąc opuszczony od innych, a pragnąc dotrzymać placu, cały niemal legł na miejscu.

<sup>161)</sup> Wiktor Rajski.

<sup>162)</sup> Wszyscy trzej byli ozdobieni krzyżem srebrnym.

<sup>163)</sup> Jan Zagrodzki mianowany kapitanem d. 6-go lutego.

<sup>164)</sup> Pułki 3-ci i 4-ty morskie.

<sup>165)</sup> Jan Frezer, porucznik, otrzymał dymisję d. 13-go marca dla słabości zdrowia.

<sup>166)</sup> Czy podpor. Stan. Bobiński czy kap. Franc. Bobiński?

<sup>167)</sup> Dzień 20-ty lutego był niedzielny.

<sup>168)</sup> Obecnie istniejący, wystawiony na pamiątkę wybudowania szosy.

<sup>169)</sup> Brygadę gen. Łopuchina stanowiły pułki huzarów Sumski i Olwiopolski.

<sup>170)</sup> Aleks. Seidler otrzymał za bitwę warszawską krzyż złoty i wziął uwolnienie d. 14-go września dla słabości zdrowia.

<sup>171)</sup> Stan. Karwowski postąpił na kapitana d. 4-go paźdz.

<sup>172)</sup> Wziął dymisję dla słabości zdrowia d. 24-go lipca. Zdaniem gen. Prądzyńskiego, Kościelski powinien być być osądzony i rozstrzelany nazajutrz po bitwie.

<sup>173)</sup> Otrzymał żądane uwolnienie rozkazem dziennym z d. 21-go marca, stosownie do postanowienia rządu z d. 17-go t. m.

<sup>174)</sup> Adam ks. Czartoryski.

<sup>175</sup>) Rozkazem dziennym z d. 10-go marca przeznaczono pułkowi 12 krzyżów złotych i 31 srebrnych.

<sup>176</sup>) Konstanty Chlewski.

<sup>177</sup>) Wysłany został w połowie marca nad Narew celem zniesienia korpusu gen. Sackena.

<sup>178</sup>) Pułku 2-go Krakusów w korpusie gen. Umińskiego nie było, nie był on wtedy jeszcze sformowany.

<sup>179</sup>) D. 16-go marca.

<sup>180</sup>) D. 30-go marca.

<sup>181</sup>) Seweryn Kamiński, ozdobiony d. 15-go marca krzyżem złotym, postąpił d. 1-go lipca na kapitana.

<sup>182</sup>) Tomasz Dąbrowski, mianowany d. 22-go marca podporucznikiem, przeszedł do nieprzyjaciela.

<sup>183</sup>) Potyczka miała miejsce dnia poprzedniego.

<sup>184</sup>) Józef Breza, major z kwaterymistrzostwa generalnego.

<sup>185</sup>) Pułki 1-szy i 2-gi karabinierów hr. Barclaya de Tolly.

<sup>186</sup>) Męciński Konst., ozdobiony krzyżem złotym d. 4-go października.

<sup>187</sup>) Pułki ułanów Polski i Tatarski oraz strzelców konnych Arzamaski. Pułk 1-szy ułanów położył około 100 trupem i zabrał do niewoli około 300 oficerów i żołnierzy oraz przeszło 200 koni.

<sup>188</sup>) Wojciech Goetzalkowski „Wspomnienia lat ubiegłych“. Kraków 1862.

<sup>189</sup>) Jan Przyborowski był ozdobiony za Grochów krzyżem złotym.

<sup>190</sup>) Józ. Przyborowski, do dyspozycji komisji wojny d. 4-go marca.

<sup>191</sup>) Pułk powrócił do Rożana d. 24-go kwietnia.

<sup>192</sup>) Wojciech Józwik, Wojciech Hajnycht (Heinrich), Aleksander Konarski był ozdobiony d. 4-go października krzyżem złotym, Jan Strykowski emigrował.

<sup>193</sup>) Dnia 8-go maja.

<sup>194</sup>) Franciszek Młokosiewicz, były szef bataljonu 4-go piechoty Księstwa Warszawskiego.

<sup>195</sup>) Pułk. Langermann objął dowództwo brygady dnia 25-go maja.

<sup>196</sup>) Pułk. Breański objął dowództwo pułku d. 25-go maja.

<sup>197</sup>) Paweł Jutrzenka, podpułkownik, objął dowództwo pułku 6-go strzelców pieszych d. 5-go maja.

<sup>198</sup>) Franc. Bobiński został majorem d. 20-go kwietnia.

<sup>199</sup>) Mianowany majorem d. 13-go czerwca.

<sup>200</sup>) Pierwsi trzej postąpili na podporuczników d. 3-go maja, Gustaw Conrad d. 17-go kwietnia, Franc. Milewski d.

6-go maja, ostatni był zesłany do Orenburga na prostego żołnierza po ukończeniu wojny.

<sup>201)</sup> Stan. Macewicz.

<sup>202)</sup> Łączyński przeszedł z pułku 2-go linjowego do 1-go strzelców d. 24-go marca.

<sup>203)</sup> Aleks. Ekielski z baterji 4-ej lekkiej konnej byłej gwardji.

<sup>204)</sup> Pułk stracił w dniu tym poległego 1-go oficera i rannych 7, żołnierzy poległych 30 i rannych 27.

<sup>205)</sup> Mianowany kapitanem 1-go lipca.

<sup>206)</sup> Objęcie dowództwa ogłoszone było w rozkazie dziennym z d. 25-go maja.

<sup>207)</sup> Tomasz Skrodzki przeszedł d. 4-go czerwca do pułku 6-go strzelców pieszych.

<sup>208)</sup> Kap. Tomasz Olędzki, dowódca 1-ej kompanji strzeleckiej, wzięty do niewoli d. 26-go maja.

<sup>209)</sup> Erazm Machwitz.

<sup>210)</sup> Słynny pułk 4-ty piechoty linjowej.

<sup>211)</sup> Stanisław Karpiński.

<sup>212)</sup> Józef Stępkowski.

<sup>213)</sup> Jan Mańko postąpił na majora d. 13-go czerwca.

<sup>214)</sup> Jan Czerwiński postąpił na kapitana d. 13-go czerwca.

<sup>215)</sup> Franc. Szamota postąpił na porucznika d. 13 czerwca.

<sup>216)</sup> Mateusz Szeliski przeszedł d. 20-go czerwca do pułku 6-go strzelców.

<sup>217)</sup> Faustyn Pawłowicz.

<sup>218)</sup> Dział 62.

<sup>219)</sup> Straty pułku 16-go linjowego wynosiły: dwóch oficerów poległych, z tych podpułk. Józ. Gajewski, dowódca pułku, oraz 102 podoficerów i żołnierzy, rannych 5 oficerów i 198 podof. i żołnierzy, wzięty do niewoli 1 oficer, ogółem wybyło z szeregów 308 ludzi.

<sup>220)</sup> Józef Pstrokoński.

<sup>221)</sup> Erazm Machwitz, Celestyn Białowiejski, Jan Jabłonowski, Józ. Bądkowski, Nereusz Rożański.

<sup>222)</sup> Jan Mejzner, Jan Piaskowski, Tomasz Skrodzki, Franc. Bobiński, doboż Ant. Hertman, Solecki Paweł, Dąbrowski Ignacy, Pieńkowski Marcin, Gratkowski Tomasz, Zuleniec Grzegorz, Krawiec Józ., Leszczyce Wojciech.

<sup>223)</sup> Obydwaj z pułku 2-go ułanów.

<sup>224)</sup> Ten Bayard polski, jak go powszechnie nazywano, piękny, młody, zręczny, łączący największą waleczność z wykwintnem obejściem towarzyskiem, poległ w 40-ym roku życia. Gdy po wojnie wdowa chciała przenieść zwłoki Kiekiego na poświęcone miejsce i uczcić pogrzebem, feldm. Paskiewicz

miał wydać rezulucję, że jeżeliby zezwolić na wydobycie zwłok Kiekiego, to chyba na to, aby go do szubienicy przywiązać. (Pam. gen. Prądyńskiego, str. 682, t. II).

<sup>225</sup>) Autor otrzymał krzyż złoty d. 17-go września.

<sup>226</sup>) Kap. Ludw. Petrulewicz otrzymał krzyż złoty d. 7-go czerwca, por. Józ. Marecki, podpor. Ant. Proszkowski, Walery Breański i wielu innych d. 7-go czerwca, podpor. Kamil Mochnacki d. 13-go czerwca i Maurycy d. 1-go lipca.

<sup>227</sup>) Atak baterji 4-ej artylerji lekkiej konnej bylej gwardji, dowodzony i zainicjonowany przez pułk. Bema, oniśmiał Rosjan do deboszowania za armją polską, będącą w odwrocie.

<sup>228</sup>) Dowódca 1-go szwadronu.

<sup>229</sup>) Aleks. Ekielski.

<sup>230</sup>) Objął dowództwo rozkazem dziennym z d. 13-go czerwca.

<sup>231</sup>) Józef Godlewski postąpił na podpułkownika i dowódcę pułku 9-go d. 14-go lipca.

<sup>232</sup>) Maj. Ludw. Ćwierciakiewicz przeszedł do pułku 3-go strzelców pieszych d. 13-go czerwca.

<sup>233</sup>) Tomasz Skrodzki w stopniu kapitana przeszedł do pułku 6-go strzelców pieszych d. 4-go czerwca.

<sup>234</sup>) Wszyscy trzej rozkazem dziennym z d. 13-go czerwca.

<sup>235</sup>) Jan Czerwiński otrzymał stopień kapitański d. 13-go czerwca i pozostał nadal w służbie.

<sup>236</sup>) August Frezer, mianowany kapitanem d. 13-go czerwca, otrzymał uwolnienie dla interesów familijnych z pozwoleniem noszenia munduru d. 30-go t. m.

<sup>237</sup>) Aleks. Grzegorzewski, Walenty Wężyk, Paweł Sołdecki i następni postąpili na podporuczników rozkazem dziennym d. 13-go czerwca.

<sup>238</sup>) D. 23-go czerwca.

<sup>239</sup>) D. 28-go czerwca.

<sup>240</sup>) Pułk Tatarski ułanów i pułki 13-ty i 48-my jęgrów.

<sup>241</sup>) Wojciech Krzyżanowski, Celestyn Białowiejski, Władysław Ignatowicz, Piotr Wasilewski, Michał Łażniewski, Aleks. Grzegorzewski, Kaz. Wołowski.

<sup>242</sup>) Rozkazem dziennym z d. 1-go sierpnia, Suarce został oddany d. 7-go t. m. do dyspozycji Komisji Wojny.

<sup>243</sup>) Pod przenością; pułk nie wziął swoich chorągwi w pole, pozostawiając je, równie jak i inne pułki, w arsenał warszawskim.

<sup>244</sup>) D. 15-go sierpnia wskutek bitwy pod Szymanowem.

<sup>245</sup>) Dział sześć i jedna hakownica, mianowicie jednoróg pudowy, półpudowy, 3 działa 12-o funtowe, działo 6-o funtowe.

Komendantem sztańca był maj. Łabęcki z pułku 1-go strzelców pieszych.

<sup>246)</sup> D. 5-go czerwca.

<sup>247)</sup> Konstanty Ordon z baterji 4-tej lekkiej artylerji konnej b. gwardji był ozdobiony d. 6-go czerwca krzyżem srebrnym, d. 13-go czerwca postąpił na podporucznika, d. 2-go września mianowany komendantem artylerji w sztańcu Nr. 54, został d. 6-go września wzięty do niewoli.

<sup>248)</sup> Pułki 2-gi i 12-ty linjowe.

<sup>249)</sup> Gustaw Conrad, podporucznik.

<sup>250)</sup> Antoni Ostrowski, wojewoda.

<sup>251)</sup> D. 9-go września.

<sup>252)</sup> Ostatniego wodza naczelnego.

<sup>253)</sup> Feliks Michalski.

<sup>254)</sup> Władysław Ignatowicz i Stanisław Dahlen.

<sup>255)</sup> Podpułkownik od d. 24-go września, Ludw. Fiszer.

<sup>256)</sup> D. 8-go października.

<sup>257)</sup> Franc. Bobiński, ostatnio pułkownik, Jan Mejzner, Celestyn Białowiejski i August Szmudy majorowie, Aleks. Stryjeński kapitan i Jan Jabłonowski (tak) porucznik.

<sup>258)</sup> Hieronim Markowski, jako porucznik d. 13-go czerwca przeszedł do pułku 12-go linjowego.

<sup>259)</sup> Ant. Proszkowski kapitan.

<sup>260)</sup> Jan Januszewski por., Feliks Szymanowski podpor., Kamil Mochnacki por., Stan. Rydecki por.

<sup>261)</sup> Ludw. Petrulewicz.

<sup>262)</sup> Kap. Feliks Zdzitowiecki.

<sup>263)</sup> W pułku 2-im Mazurów do d. 30-go czerwca.

<sup>264)</sup> Ant. Berensdorf.

<sup>265)</sup> Mirza Samuel Musielewicz.

<sup>266)</sup> Krosnowski w swym „Almanach historique“, wydanym w Paryżu r. 1847, podał 42 nazwiska oficerów, 2 lekarzy i 46 niższych stopni z pułku 1-go strzelców pieszych, będących na wychodźstwie.

<sup>267)</sup> D. 29-go września.

<sup>268)</sup> Stan. Dahlen, mianowany podporucznikiem d. 4-go października.

<sup>269)</sup> Podpor. Michał Ziemański służył w jeździe Poznańskiej.

## SPIS OSÓB.

- Achilles, 31.  
Afrozimow, gen., 122.  
Agaciński, żołn., 150.  
Ajaks, 155.  
Aksamitowski Józ., pułk., 46,  
57.  
Albert ks. pruski, 129.  
Aleksander I, ces., 14, 24, 36,  
49, 52, 53, 56, 57, 58, 71, 73,  
78, 79, 84.  
Aleksander II, ces., 73, 74.  
Andrychiewicz Walenty,  
gen., 137.  
Anna Fedorówna, w. ks., 19.  
Antonini Jakób, ofic., 102.
- Babski Kasper, ofic., 86, 175.  
Baczewski Jędrz., ofic., 86.  
Baczyński Adam, żołn., 175.  
Barclay de Tolly, feldmarsz.,  
140.  
Barocco, cukiernik, 112.  
Bartel Florjan, akadem., 113.  
Bądkowski Józ., ofic., 154.  
Bem Józ., gen., 155.  
Berek, szpieg ros., 135, 136,  
137, 144.  
Berensdorfi Ant., ofic., 175.  
Białowiejski Ant., ofic., 150.
- Białowiejski Celestyn, 154,  
161, 174.  
Bielewski, obywatel, 102.  
Bieliński Julian, pułk., 123.  
Bijas, 58.  
Biliński Leon, 116.  
Biström, gen., 148.  
Blumer Ign., gen., 96, 98.  
Bobiński Franc., ofic., 55,  
123, 126, 133, 146, 154, 161,  
162, 164, 165, 167, 173, 174.  
Bobiński Stan., ofic., 164.  
Bogucki Karol, ofic., 157.  
Bogusławski Ludw., gen.,  
152.  
Bontemps Piotr, gen., 99.  
Bortnowski Jan., ofic., 64,  
68, 69, 97.  
Borzęcki, obywatel, 160.  
Brandys Wojc., obywatel,  
166.  
Breañski Feliks, ofic., 145,  
148, 154, 157.  
Breañski Walery, ofic., 146,  
154, 155.  
Breza Józ., ofic., 138.  
Briggen, gen., 168.  
Brzeziński Maksym., podof.,  
161.

- Bugajny, podof., 50, 51, 52.  
 Bukowski Ludw., gen., 159.  
 Burzyński, ks., 60.  
 Byszewski, ofic., 123.
- Caraman hr., pułk., 60.  
 Cendrowicz Jan, żołn., 161.  
 Cerber, 68.  
 Chlewski Konst., ofic., 117,  
 134, 139, 140, 146.  
 Chłapowski Dezydery, gen.,  
 147.  
 Chłopicki Józ., gen., 13, 100,  
 101, 104, 109, 110, 115, 117,  
 118, 120, 121, 125, 128, 145.  
 Chodorowski Ant., żołn., 150.  
 Chrzanowski Wojc., gen.,  
 160, 161.  
 Cichocki Mich., gen., 24.  
 Cieszkowski Walenty, żołn.,  
 150.  
 Conrad Gustaw, ofic., 146,  
 154, 168.  
 Ćwierciakiewicz Ludw., 157.  
 Cyprysiński, 57, 58.  
 Cytron, 28, 29.  
 Cytronowa, 29.  
 Cywiński Mich., żołn., 175.  
 Czaadajew, gen., 121.  
 Czajkowski Stanisław, ofic.,  
 155, 174.  
 Czaplewski, kompozytor, 56.  
 Czarnecki Ant., ofic., 96.  
 Czarnecki Stefan, hetm.,  
 148, 150.  
 Czartoryski ks. Adam Jerzy,  
 24, 101, 106, 158, 159.  
 Czerwiński Jan, ofic., 150,  
 151, 157.  
 Czetwertyński Janusz, ofic.,  
 101.
- Dahlen Stan., ofic., 174, 178.  
 Darasz, obywatel, 115.  
 Darewski Ant., 135.
- Dąbrowski Jan Henr., gen.,  
 13, 59, 109.  
 Dąbrowski Ignacy, podof.,  
 154.  
 Dąbrowski Tomasz, ofic.,  
 137.  
 Dederko Jan, muzyk, 56.  
 Dembiński Henr., gen., 48,  
 172.  
 Dębińska, 169.  
 Dmuszewski, 114.  
 Dobrowolski Józ., 86, 100.  
 Dobrski Wikt., audytor, 135.  
 Dobruszyn, gen., 125.  
 Dobrzański Łukasz, 17.  
 Dominik Szczepan, żołn., 175.  
 Don Pedro, 161.  
 Dornfeld Seweryn, ofic., 122.  
 Doroszko Maksymil., podof.,  
 175.
- Drewnicki Leon, 121.  
 Drzewiecki Felicjan, ofic., 64.  
 Dunin Onufry, ofic., 117.  
 Dunowski Ferdyn., żołn.,  
 128.
- Dwernicki Józ., gen., 120.  
 Dybek Andrzej, lekarz, 59.  
 Dybicz (Diebitsch), feldmar-  
 szałek, 78, 79, 121, 136.  
 Dziekoński Kaz., gen., 133.
- Ekielski Aleks., ofic., 100,  
 146, 156.  
 Engelman, gen., 96, 100.  
 Essakow, gen., 96, 100.
- Fiszer Ludw., ofic., 157, 174.  
 Frezer Aug., ofic., 115, 157.  
 Frezer Franc., ofic., 30, 39,  
 40.  
 Frezer Jan, ofic., 126.  
 Fryderyk August., ks. war-  
 szaw., 78.  
 Fryderyk W., 125.

- Gajewski Stan., ofic., 175.  
 Gaucz Winc., ofic., 82.  
 Gawlikowski Tom., 175.  
 Geismar, gen., 165.  
 Gendre, gen., 76.  
 Giełgud Ant., gen., 48.  
 Gieraltowski, podof., 161.  
 Gierhard Ewald, ofic., 105.  
 Gleinich Baltazar, 175.  
 Głębocki Józ., ofic., 122.  
 Goczałkowski, hr., 74.  
 Goczałkowski Wojc., ofic., 141.  
 Godebski Cypr., pułk., 174.  
 Godlewski Józ., ofic., 157.  
 Godlewski Juljan, ofic., 175.  
 Godyński, dzierzawca, 143.  
 Golowin, gen., 160, 161, 162.  
 Gorczałow ks., gen., 165.  
 Górowski Ant., podof., 175.  
 Gościmski Mich., ofic., 123.  
 Gratkowski Tomasz, podof., 154.  
 Grefkowicz Bernard, podof., 31, 157.  
 Gregorczyk Ant., podof., 173, 175.  
 Gresser, ofic., 96.  
 Grodzicki Aleks., ofic., 158.  
 Grudzińska Joanna, 19, 66.  
 Grudziński Piotr, ofic., 66, 67, 87.  
 Grzegorzewski Aleks., ofic., 116, 157, 161.  
 Gurowski Adam, 116.  
 Gwiaździński Kaz., żołn., 175.
- H**auke Maurycy, gen., 95.  
 Heinrich (Hajnrycht) Wojc., lek., 144.  
 Hermanowski Józ., ofic., 175.  
 Heród, 51.  
 Hertman Antoni, dobosz, 154.  
 Hessen-Homburg, ks., 74, 78.
- Ignatowicz Wład., ofic., 161, 174, 179.
- Jabłonowski Jan, ofic., 154.  
 Jabłonowski ks. Stan., ofic., 144.  
 Jabłoński Jan, ofic., 174.  
 Janicki, żołn., 154, 175.  
 Jankowski Ant., gen., 159.  
 Janowski Nepom., 172.  
 Januszewski Jan, ofic., 86, 174.  
 Jarzyński Franc., podof., 175.  
 Jaszowski Józ., ofic., 134, 139.  
 Jezierski Ksaw., żołn., 175.  
 Jordan Stan., podof., 175.  
 Józwiak Wojc., lek., 144.  
 Judasz z Kariotu, 83.  
 Jutrzenka Paweł, ofic., 75, 145.
- Kaczanowski, ofic., 83.  
 Kaczor Kaz., podof., 150.  
 Kadłubowski, podof., 33.  
 Kalinowski, żołn., 150.  
 Kamieński Sewer., ofic., 136, 137.  
 Karpiński Stan., ofic., 149.  
 Karwowski Romuald, ofic., 175.  
 Karwowski Stan., ofic., 115, 130.  
 Katarzyna II, 159.  
 Kędrzyński Maciej, ofic., 158.  
 Kiciński Tomasz, ofic., 95.  
 Kicki Ludw., gen., 105, 108, 155.  
 Kiełczewski, ofic., 94.  
 Kijewski, podof., 141.  
 Kijok, piwowar, 166.  
 Kikiewicz Ign., ochotn., 149.  
 Klicki Stan., gen., 108.  
 Kludenew, pułk., 165.  
 Klug Jan, podof., 175.

- Knorring, gen., 44.  
 Kochanowski, kamerdyner  
 w. ks., 112.  
 Kołodziejski Winc., ofic., 173.  
 Konarski Samuel, lek., 144.  
 Konarski Szymon, ofic., 116,  
 146.  
 Konstanty, w. ks., 14, 16, 17,  
 18, 19, 24, 31, 33, 34, 37,  
 38, 40, 41, 44, 46, 47, 48,  
 54, 57, 58, 60, 61, 63, 65,  
 66, 70, 73, 75, 76, 77, 79,  
 80, 81, 83, 84, 90, 92, 94,  
 100, 101, 103, 104, 105, 106,  
 107, 108, 109, 112, 113.  
 Kościelski Józ., ofic., 116,  
 123, 124, 125, 129, 131, 134.  
 Kościuszkó Tad., 59, 114.  
 Kosin Franc., żołn., 175.  
 Koss Leon, ofic., 122.  
 Koszutski Leopold, ofic., 116.  
 Koszutski Rafał, ofic., 103.  
 Kowalski Jan, ofic., 156.  
 Kowalski Winc., żołn., 175.  
 Kozłowski Benedykt, ofic.,  
 86.  
 Kozłowski Bruno, akademik,  
 130.  
 Koźmian, bisk. kaliski, 79.  
 Krasiński Izydor, gen., 54.  
 Krasiński Winc., gen., 110.  
 Krawiec Józ., żołn., 154.  
 Kriwcow, gen., 99.  
 Krukowiecki Jan, gen., 108,  
 120.  
 Krzeczkowski Ludw., podof.,  
 175.  
 Krzyszka, podof., 154.  
 Krzyżanowski Wojc., ofic.,  
 161.  
 Kuczewski Wikt., 149.  
 Kulikowski Leon, ofic., 175.  
 Kuncewicz Kaz., żołn., 175.  
 Kurnatowski Zygm., gen.,  
 110.  
 Kurniewicz Feliks, ofic., 116.  
 Kuruta, gen., 44, 47, 83.  
 Lamarque, gen., 145.  
 Lange, gen. ros., 100.  
 Langermann Jerzy, pułk., 145,  
 149, 151, 152, 153, 155, 167.  
 Lankaster, 54.  
 Laskowski Łukasz, kapel-  
 mistrz, 144.  
 Lefevre, ofic., 161.  
 Lelewel Joachim, 172.  
 Leszczyc Wojc., żołn., 154.  
 Lewartowski Piotr, żołn.,  
 147.  
 Lewicki, gen. ros., 95.  
 Lipiński, restaurator, 127.  
 Lipiński Leon, ofic., 86, 174.  
 Lipowski Ign., ofic., 96.  
 Liprandi, gen., 164.  
 Lisiński Marcin, żołn., 175.  
 Louis Ign., akademik, 113.  
 Lourse, cukiernik, 112.  
 Lubecki ks. Franc., minister,  
 121.  
 Lubowidzki Józ., ofic., 83.  
 Lubowidzki, wiceprez. m.  
 Warszawy, 28.  
 Lutkowski, gen. ros., 164.  
 Lutomski Melchjor, por.,  
 131.  
 Łabęcki Piotr, ofic., 163.  
 Łaski Aleks., ofic., 73, 76,  
 84, 97.  
 Łatek, żołn., 161.  
 Łazarek, podof., 154.  
 Łażniewski Mich., ofic., 161.  
 Łączyński Paulin, ofic., 146.  
 Łopuchin, gen., 122, 128.  
 Łubieński Tomasz, gen., 151.  
 Macewicz Stan., ofic., 146.  
 Machnicki Paweł, żołn., 175.

- Machwitz Erazm, ofic., 149, 154.  
 Maciejowski Eustachy, ofic., 175.  
 Maciosek Ant., żołn., 123.  
 Madaliński Maksymil., podoficer, 175.  
 Madimania, 177.  
 Majerek, d-r, 113.  
 Makrott, 96.  
 Malczewski Franc., ofic., 98.  
 Malczewski Józ., ofic., 158, 175.  
 Mańko Jan, ofic., 150, 157.  
 Marciniecki Mich., żołn., 175.  
 Marecki Józ., ofic., 87, 155.  
 Markow, gen., 44.  
 Markowski Hieronim, ofic., 87, 174.  
 Markowski Krzysztof, ofic., 28.  
 Marmont ks. Raguzy, 60.  
 Martinow, gen., 152.  
 Marus Mich., żołn., 175.  
 Mazur Mich., żołn., 175.  
 Mazurkiewicz Stan., ofic., 86.  
 Meciszewski Filip, pułk., 95.  
 Mejsner Jan, ofic., 154, 174.  
 Męciński Konst., ofic., 141.  
 Michalska, kapitanowa, 27.  
 Michalski Feliks, 26, 27, 34, 35, 38, 51, 52, 88, 90, 93, 110, 116, 173, 181.  
 Michał, w. ks., 24, 37, 79.  
 Mickiewicz Adam, poeta, 163, 164.  
 Mierosławski Hip., ofic., 84.  
 Mierzejewski Paweł, podof., 175.  
 Mikołaj, ces., 24, 36, 39, 40, 56, 70, 71, 75, 78, 79, 181.  
 Milberg Henr., gen., 120.  
 Milewski Franc., ofic., 146.  
 Mitas Józ., żołn., 175.  
 Młokosiewicz Franc., gen., 145.  
 Mochnacki Kamil, ofic., 67, 146, 155, 174.  
 Mochnacki Maurycy, 106, 116, 154, 155, 175.  
 Modzelewski, żołn., 29.  
 Moszczeński Stan., ofic., 175.  
 Muchowski Paweł, gen., 153, 167.  
 Murawiew, gen., 166.  
 Musielewicz Mirza Samuel, ofic., 175.  
 Nabelak Ludw., ofic., 154.  
 Najmanowski Ant., ofic., 122.  
 Napoleon I, 12, 14, 56.  
 Napoleon III, 116.  
 Nawroński Stan., żołn., 147.  
 Newachowicz, dzierżawca akcyzy, 60, 163.  
 Niemojewski Zenon, akademik, 105, 108.  
 Nieszokoć Winc., ofic., 90.  
 Niewęglowski, ofic., 167.  
 Noffok Ant., ofic., 117, 134, 145.  
 Nowicki Józ., gen., 95.  
 Nowowiejski, ofic., 133.  
 Obalski Jakób, oficer, 30.  
 Obiedziński Szymon, ofic., 157.  
 Odolski, pułk., 161.  
 Ołędzki Ant., ofic., 154.  
 Ołędzki Ksaw., pułk., 64, 66, 69, 86.  
 Ołędzki Tomasz, ofic., 149.  
 Olszewski Andrż., ofic., 175.  
 Olszewski Nepom., ofic., 175.  
 Ordega, 113.  
 Ordon Konst., ofic., 163, 165, 166.  
 Orłowski, prof., 11.  
 Orłowski, obywatel, 26.

- Osiński Ludw., 53.  
Ostroróg Mich., ofic., 83.  
Ostrowski Ant., 171.  
Ostrowski J. B., 172.
- Pac Ludw., gen., 101.  
Paciorkowski Jan, ofic., 124.  
Paczkowski Stan., ofic., 64.  
Pahlen, gen., 124.  
Paluszkiewicz Ing., żołn., 175.  
Paprocki Kaz., ofic., 102, 103, 105, 123.  
Paskiewicz, feldm., 160.  
Paszkowski Józ., ofic., 117.  
Patelska Konstancja z Czyżowskich, 5.  
Patelski Paweł, 5.  
Pawłowicz Faustyn, ofic., 117, 150, 152.  
Pawłowski Jan., ofic., 96.  
Pecci Ant., podof., 175.  
Petrulewicz Ludw., ofic., 155, 174.  
Pękowski, obywatel, 102.  
Piaskowski Jan, ofic., 154.  
Pieńkowski Marcin, podof., 154.  
Piętka Franc., pułk., 121, 123, 125, 126, 128.  
Pilaziński Faustyn, podof., 175.  
Pinabel, gen., 138.  
Piotrowski Maksymiljan, ofic., 100.  
Plendus Józ., ofic., 117.  
Płachecki Mik., ofic., 158.  
Pogonowski, leśniczy, 143.  
Poleszko, gen., 146.  
Pomorski Jan, żołn., 175.  
Porzęcki Marcin, żołn., 175.  
Potocki Stan., gen., 37, 46, 92, 93, 94, 98, 108.  
Prażmowski, bisk. płocki, 79.
- Proszkowski Ant., ofic., 85, 155, 174.  
Przeździecki, podof., 154.  
Przyborowski Ign., 142.  
Przyborowski Jan, ofic., 84, 93, 116, 142.  
Przyborowski Józ., 20, 26, 88, 142.  
Przybylski, żołn., 35.  
Przysiecki Piotr, ofic., 175.  
Pstrokoński Józ., 154.  
Puchalski Tomasz, ks., 79.
- Radwański Ewaryst, ofic., 155.  
Radziwiłł ks. Mich., gen., 118, 128, 133.  
Rajski Wiktor, podof., 124, 133.  
Ramorino Hier., gen., 160.  
Ramotowski Konst., ofic., 175.  
Ramsay, ofic. ros., 147.  
Rautenstrauch Józ., gen., 95.  
Redel Jakób, gen., 99.  
Rembieliński Rajmund, 31.  
Richter, gen. ros., 99.  
Rodny Józ., ofic., 124.  
Rolbiecki Maciej, ofic., 36, 104, 105, 116.  
Romanowicz August, żołn., 175.  
Romanowski, ofic., 64.  
Romański Jan, pułk., 168.  
Rosen, gen. ros., 121, 126.  
Rosenfeld Stan., podof., 175.  
Roślakowski Ant., ofic., 98.  
Rożański Nereusz, ofic., 87, 92, 154, 175.  
Roźniecki Aleks., gen., 12, 44.  
Różycki Mik., podof., 161.  
Różycki Samuel, gen., 133.  
Rüdiger, gen., 159, 160, 162.  
Rupejko Stan., żołn., 175.

- Rutkowski Andrzej, żołn., 175.  
Rybiński Maciej, gen., 26, 75,  
145, 147, 172.  
Rydecki Stan., ofic., 174.  
Rylski Ludw., 113.  
Rymkiewicz Stan., żołn.,  
175.  
Rynkiewicz Domin., podof.,  
175.  
Rzeszotarski Domin., podof.,  
150.
- Sacken, gen., 121, 135.  
Sass, pułk. ros., 98.  
Sawicz, ofic., 150, 174.  
Seidler Aleks., ofic., 33, 115,  
130, 134.  
Siemiątkowski Tom., gen.,  
44, 46, 48.  
Sierakowski Wacł., gen., 32,  
44, 45, 46, 47, 48.  
Sierawski Julian, gen., 101.  
Skirmunt Teod., ofic., 175.  
Skobel, d-r, 113.  
Skrodzki Józ., ofic., 175.  
Skrodzki Ludw., ofic., 175.  
Skrodzki Tom., ofic., 144,  
148, 154, 157.  
Skrzynecki Jan, gen., 104,  
120, 121, 128, 132, 133, 134,  
143, 147, 158, 159.  
Skulimowski Jan, ofic., 157,  
175.  
Slesinger, podof., 175.  
Sliwicki, ofic. ros., 140.  
Słomczewski Paweł, ofic.,  
175.  
Sobolewski, minister, 103,  
106.  
Sobolewski Maciej, pułk., 20.  
Solecki Paweł, ofic., 116,  
154, 157.  
Staniecki Kasper, ofic., 175.  
Stanisław August, król, 63,  
86.
- Staszic Stan., 144.  
Stefański Teodor, ofic., 175.  
Stepaniak, żołn., 20, 21.  
Sternberg, brandmajster,  
169.  
Stępkowski Józ., 150, 161.  
Stępkowski Ksaw., ofic., 146,  
157.  
Stępniewski Eug., ofic., 146.  
Stępowski Józ., żołn., 175.  
Strandmann, gen., 44.  
Straszewski Jakób., ofic.,  
134, 147.  
Strusiński Ant., akademik,  
113.  
Stryjeński Aleks., ofic., 88,  
93, 124, 133, 147, 174.  
Strykowski Jan, lek., 14.  
Suarce Salomon, pułk., 157,  
160, 161, 162.  
Sudnik, sierż., 83, 84.  
Szabłowski Józef, podof.,  
175.  
Szamota Franc., 150.  
Szczepański podof., 161.  
Szczygielski, ekonom, 143.  
Szczygłów Marcin, żołn.,  
175.  
Szeliski Mateusz, ofic., 150.  
Szembek Aleks., 133.  
Szembek Franc., 180.  
Szembek Jan, ofic., 83, 87,  
102, 112, 115, 127, 130, 180.  
Szembek Józ., 13, 180.  
Szembek Piotr, gen., 5, 13,  
14, 16, 17, 18, 20, 21, 27,  
28, 29, 30, 31, 37, 38, 39,  
40, 42, 44, 52, 55, 56, 73,  
75, 76, 77, 81, 83, 84, 102, 103,  
104, 105, 106, 107, 109, 110,  
113, 115, 117, 118, 120, 122,  
123, 124, 125, 128, 132, 133,  
147, 155, 162.  
Szembekowa Fryderyka z  
Becków, 13, 14, 29.

- Szlegel Karol, ofic., 86, 90, 92.  
Szmudy August, ofic., 174.  
Szymanowski Feliks, ofic., 87, 174.  
Talon, gen., 60.  
Tarnowski, audytor, 47.  
Tereszko Maksymil., żołn., 175.  
Tittenbrun Juljusz, podof., 161, 175.  
Trębicki Stan., gen., 64, 82, 94, 96.  
Tylski Wikt., ofic., 85.  
Ugriumow, gen., 139.  
Umiński Jan, gen., 134, 135, 136, 137, 138, 142, 145, 164.  
Valentin d'Hauterive Franc., 62.  
Wasilewski Piotr, ofic., 161.  
Wąsowicz Stan., gen., 17, 104.  
Weremecki Dyonizy, żołn., 175.  
Wesołowski Feliks, żołn., 175.  
Wędrogowski Adam, ofic., 87.  
Węgierski Emiljan, gen., 152.  
Węgrzecki, obywatel, 102.  
Węzyk Walenty, ofic., 116, 157.  
Wierzbicki Aleks., ofic., 52.  
Wierzbicki Ant., ofic., 87.  
Więckowski Józ., ofic., 116.  
Wilhelm I, ces., 75.  
Wilk, żołn., 137.  
Windischgraetz ks., 17.  
Wirtemberski ks., 179.  
Władysław IV, król, 96.  
Wojakowski Józefat, ofic., 94.  
Wojda, 40.  
Wolski Stan., ofic., 147.  
Wołoszyński Ign., ofic., 88.  
Wołowski Kaz., 116, 161, 175.  
Woronicz Janusz, 97.  
Woronicz Jan Paweł, prymas, 71, 73.  
Wybicka, obywatelka, 102.  
Wysocki, prorektor gimn. św. Anny, 11.  
Wysocki Piotr, ofic., 64, 67, 86, 87, 88, 89, 90, 92, 93, 98, 115.  
Zabłocki Ant., ofic., 64.  
Zadolski Józ., ofic., 116.  
Zagrodziński Tom., 83, 111.  
Zagrodzki Jan, ofic., 124.  
Zajączek Józ., gen., 59, 60.  
Zajączkowski Juljan, ofic., 100.  
Zalewski Józ., ofic., 117.  
Zaliwski Józ., podpułk., 61.  
Zambrzycki Gabryel, ofic., 116.  
Zaręba Edmund, ofic., 68, 69.  
Zdzitowiecki Mich., ofic., 175.  
Ziemacki Mich., ofic., 179.  
Zimmermann Honorata, 112, 113.  
Zuliniec Grzeg., podof., 154.  
Zwierkowski Paweł, żołn., 175.  
Zwierkowski Walenty, 172.  
Zwoliński, podof., 161.  
Żaboklicki, szambelan, 70.  
Żarski Franc., ofic., 30, 31, 123.  
Żółtowski Marcelli, ofic., 155.  
Żurawski Stan., ofic., 174.  
Żużkiewicz Jakób, żołn., 124.  
Żymirski Franc., gen., 120, 122, 123.

## SPIS MIEJSCOWOŚCI.

- Adamków, 24.  
Almonacid, 20.  
Alwernia, 5, 11.  
Azowskie morze, 53.
- Balice, 79.  
Berezyna, rz., 16, 59, 156.  
Berlin, 13.  
Białoleka, 69.  
Bielany, 144.  
Błonie, 103, 104, 105, 106,  
107, 155, 162.  
Bolimów, 162.  
Borki, 147.  
Boulogne, 116.  
Brześć Litewski, 20, 24, 25.  
Brzeziny, 160.  
Bug, rz., 120.  
Bzura, rz., 161, 162.
- Carskie-Sioło, 181.  
Częstochowa, 178, 179.  
Czyste, 167, 168, 169.
- Dębe Wielkie, 137, 149, 160.  
Długosiodło, 146.  
Dniepr, 159.  
Dobre, 121, 132.  
Dobrzyń, 26, 176.  
Dźwina, rz., 159.
- Ebro, rz., 16.
- Fuengirola, 145.
- Garwolin, 159.  
Gdańsk, 13, 14.  
Góra, 144.  
Grochów, 6, 8, 78, 121, 125,  
126, 127, 130, 132, 134.  
Grodno, 174.  
Grzybów, 169.
- Ilowo, 81.
- Jabłonna, 171.  
Jakać, 147.
- Kaczy Dół, 121.  
Kalisz, 59.  
Kalwarja, 166.  
Kałuszyn, 120, 160, 161.  
Kapua, 158.  
Kłodawa, 177.  
Kołaki, 156.  
Kościelec, 180.  
Kostrzyń, rz., 143, 160.  
Kowal, 176, 177.  
Kraków, 5, 11, 12, 113, 173,  
180.  
Krzemieniec, 24.  
Kurszany, 48.  
Kwaczały, 181.

- Lipowiec, 181.  
Liw, 6, 120, 137, 138, 140,  
143, 148.  
Liwiec, rz., 120, 137, 138,  
139, 140, 141, 142, 143, 145,  
148.  
Lublin, 159.  
Lwów, 116.
- Łomża, 120.  
Łowicz, 108.
- Marymont, 61.  
Mężenin, 148.  
Miłosna, 121, 122, 124.  
Mińsk (mazowiecki), 6, 120,  
160, 162.  
Modlin, 120, 134, 171, 172.  
Mokotów, 103.  
Moskwa, 14.  
Muchawiec, rz., 143.
- Narew, rz., 135, 144, 148,  
149, 150, 151, 152, 153, 155,  
156.  
Nowy Jork, 175.
- Okuniew, 118, 120, 121.  
Olkusz, 180.  
Olszynka Grochowska, 126,  
127, 128.  
Ołtarzew, 105, 162.  
Opatówek, 59.  
Ostrołęka, 6, 134, 135, 151,  
154, 155, 162.
- Parysów, 79.  
Paryż, 14, 81, 109.  
Petersburg, 36, 47, 70.  
Piramidy, 60.  
Plewki, 146.  
Płaza, 83.  
Płock, 26, 27, 29, 41, 49, 81,  
108, 131, 172, 175.  
Poręba Żegota, 5, 11, 21, 180.
- Potycz, 160.  
Powązki, 34, 36, 60, 63, 162.  
Poznań, 13.  
Praga, 71, 118, 126, 128, 129,  
130, 156, 158, 159, 160, 161,  
162, 170, 171.  
Próżany, 174.  
Przetycz, 146.  
Pułtusk, 135, 151, 156.  
Pustelnik, 121.
- Rakowiec, 163, 166.  
Raszyn, 174.  
Rawa, 55, 56, 108, 123.  
Rożan, 134, 135, 136, 144,  
146, 156.
- Sahara, 62.  
Saska Kępa, 126, 128, 129,  
130, 134.  
Serock, 48, 120, 137.  
Siedlce, 120, 159.  
Siennica, 159.  
Siewierz, 180.  
Skierniewice, 64.  
Sławków, 180.  
Sochaczew, 55, 81, 84, 103,  
112, 115, 116, 134, 145, 162.  
Sokołów, 138.  
Sprewa, rz., 13.  
Srebrny potok, 161.  
Stanisławów, 120.  
Stoczek, 120.  
Stojadła, 160.  
Szelków, 135, 136, 137.
- Tczew, 13.  
Termopile, 86.  
Toruń, 14.  
Trojanów, 81.  
Trzebinia, 180.  
Tyber, rz., 16.  
Tykocin, 6, 148, 150, 151, 165.
- Utrata, rz., 162.

- Warszawa, 6, 13, 14, 28, 33,  
37, 41, 44, 46, 47, 48, 49,  
50, 52, 56, 57, 59, 63, 73,  
75, 78, 84, 103, 104, 105,  
106, 109, 112, 114, 115, 116,  
118, 124, 126, 127, 130,  
134, 137, 143, 151, 157, 158,  
159, 160, 162, 163, 166, 171,  
172, 173, 177, 181.
- Warta, 177, 178.  
Warta, rz., 177.
- Wawer, 78, 121, 126, 130,  
133, 146, 147, 152, 156, 165.
- Węgrów, 120, 138, 139, 142,  
143.
- Wiązownia, 159.  
Wieluń, 178.  
Wierzbno, 104, 108.  
Wilno, 24, 116.
- Wisła, rz., 60, 61, 71, 130,  
160, 161, 176.
- Wiśniewo, 159.  
Wiśniówka, rz., 161.  
Włocławek, 177.  
Włosienica, 11.  
Wodynie, 159.  
Wojcieszków, 159.  
Wola, 59, 60, 163, 164, 166.  
Wola Grzybowska, 121.  
Wyszków, 120.
- Zakrzew, 121.  
Zegrze, 144, 156.  
Zielona Karczma, 121.
- Żarnice, 141.  
Żelazna Karczma, 167.  
Żelechów, 159.
-



## SPIS RZECZY.

	Str.
Od wydawcy . . . . .	5
Wstęp . . . . .	9
I. Czasy studenckie. Pułkownik Szembek. Przedstawienie w. księciu . . . . .	11
II. Wstąpienie do wojska. Pakunek żołnierza. Rewja pod Brześciem . . . . .	20
III. Kapitanowa Michalska. Operacja śledziowa. Komo- ry pułkowe. . . . .	26
IV. Obowiązki sierżanta. Srogość postępowania. Bigos hultajski . . . . .	32
V. Węże. Przygoda w stolicy. Oddanie pułku w. księ- ciu Mikołajowi . . . . .	36
VI. Obóz pod Warszawą. Imieniny Szembeka. Pułkow- nik Sierakowski . . . . .	41
VII. Samobójca. Pobyt cesarza Aleksandra w Warsza- wie. Szkoła Lankastra . . . . .	49
VIII. Bal oficerski. Pogrzeb Zajączka. Kąpiel wiślana	55
IX. Szkoła podchorążych pieszych. Obrachunek Sruła Peterka. Zarebianka . . . . .	63
X. Koronacja cesarza Mikołaja. Uwięzienie. Obchód konstytucji . . . . .	70
XI. Zbliżanie się burzy. Chwila wybuchu powstania .	81
XII. Walka uliczna. Śmierć generałów. Zdobyte arsenału	88
XIII. Pierwsze dni powstania. Przybycie mojego puł- ku do Warszawy . . . . .	99

556399/26872

	str.
XIV. Nominacja na podporucznika. Pohulanka w mieście. Wymarsz na linię bojową . . . . .	111
XV. Asekuracja dział pod Wawrem. Ucieczka na Salską Kepe . . . . .	119
XVI. Dymisja Szembeka. Egzekucja na szpiegach. Szaniec przedmostowy nad Liwcem. Cholera . . . .	132
XVII. Grobla Tykocińska. Bój pod Ostrołką . . . .	145
XVIII. Wyprawa na schwywanie korpusów Rüdiger'a i Gołowina. Obrona Warszawy . . . . .	157
XIX. Rozwiązanie pułku. Powrót do domu . . . . .	171
Przypisy . . . . .	183
Spis osób . . . . .	199
Spis miejscowości . . . . .	207



BPP



63299/2